

„ORZEŁ BIAŁY“

(White Eagle)

(L'Aigle Blanc)

November 1966

Price 3/6

Cena 3/6

§ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

B.D.I.C.

SYRENA

LISTOPAD

1966

Nr 28/1175



Na Dziesiątą

Rocznice

Powstania

Węgierskiego

Rok 1956 był rokiem wielkich wstrząsów i wielkich nadziei, rokiem zrywu ku wolności w krajach ujarzmionych.

Rozpoczęli go robotnicy Poznania. Niezatarłą pamiątką ich bohaterstwa jest flaga narodowa zmoczona w krwi zamordowanego przez milicję chłopca. Zakończyła go bohaterska walka Węgrów.

Robotnicy i studenci w Budapeszcie pokładali nadzieję w polskim „październiku”. Pamiątką jest napis na transparentie manifestantów węgierskich: „Lengyer Madyar Baracsok” powołujący się na wiekowe braterstwo polsko-węgierskie.

Po dziesięciu latach nie tylko hold bohaterom i nie tylko gniew z powodu ich przegranej w samotnej walce ożywają nasze serca. „Nie wszystko umiera” a ofiara ich krwi rozpoczęła nieodwracalny choć powolny proces rozpadania się „komunistycznego monolitu”. I tym samym przybliżenia dnia triumfu wolności nad niewolą, zwycięstwa godności człowieka nad kłamstwem i tyranią.



FP 2156

fraszki

O tempora, o mores!

Uczciwość, mówią, teraz nie popłaca —
A praca?

O k a z

Przed telewizją siedzi na kanapie
Typowy homo sapiens.

Morał z westchnieniem

Nie jest wszystkim uroda,
A szkoda!

Oznaka stałego postępu

Zgon „z przyczyn naturalnych“
w historii pochodzie:
Dla dziadka? Jasne — w łóżku.
Dla wnuka? W samochodzie.

RAWICZ

W N U M E R Z E :

Paweł Zaremba: * * *	1
(p. h.): Anglia w hołdzie pamięci gen. Bora-Komorowskiego	1
P. Z.: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich	2
Z. S.: Pierwsza wyprawa zagraniczna prezydenta L. B. Johnsona	3
Tadeusz Podgórski: Młodzież niczyja	5
Krystyna Brzozowska: „7 dni życia“	7
W. Opolski: Podwyżka czynszu i wzrost realnych płac czyli nadużywanie cierpliwości mas pracujących	9
Andrzej Stypułkowski: Budżet czasu	10
Marian Czarnecki: Znowu o Katyniu	12
Zdzisław Stahl: Tymczasem przenoś nasze dusze utęsknione	14
(S): Sovietica	15
Dr Michał: Gawęda lekarska — ischias	16
Stefan Wóycicki: Chodźmy na promenadę	17
J. H. P.: Między plotką i anegdotą	18
(p. h.): W hołdzie poległym lotnikom	19
A. Czutulowski: Dni społeczne w Sheffield	20
Główne wnioski Zjazdu SPK W. Brytania	21
Kazimierz Vincenz: Arcybiskup Pragi Czeskiej kardynał Beran na obchodzie Millennium w Zurychu	23
Jerzy Paszkowski: Obchody millenijne w Szwajcarii	23
Krzyżówka:	24
Paula Powileńska: Pożegnanie Babilonu	25
St. Błaszczak: Ułani Małopolicy w Szkocji	27
W. Lewandowski: Wyprawa „Bliźniaków nr 11“	28
Mieczysław Paszkiewicz: Humor staropolski (IV)	29
Zbigniew Grabowski: Kartki z notatnika	34
Jan Claude: Mini, mikromini, supermini, antymini	38
Z moczarowej łąki...	40

N I E P O Ż Y C Z A J . . .

numerów „ORŁA BIAŁEGO“ przyjaciołom!
Raczej podaj nam ich adresy a my wyślemy
każdy numer.

JUBILEUSZ 20-LECIA

CENTRALI WYSYŁKOWO - BANKOWEJ HASKOBA LIMITED

Z OKAZJI 20-lecia istnienia naszej firmy ogłaszamy
bezpłatną loterię dla wszystkich KLIENTÓW zarejestrowanych w kartotece HASKOBY od 1 marca 1966
do 31 listopada 1966

N A G R O D Y :

I Samochód FORD ANGLIA de Luxe
(Grzejnik i pełne wyposażenie)

II Obraz z CASSEL ART GALLERY
(Do wyboru: Kossak, Niemcezyk lub Kłóś)

III Weekend w PARYŻU
(firma ANGLOPOL TRAVEL Ltd.)

LOSOWANIE 15 GRUDNIA 1966

Bliższe szczegóły w oddzielnych ogłoszeniach



Centrala wysyłkowa i dom bankowy

HASKOBA Ltd.

81, Cromwell Road, London, S.W. 7.

TELEGRAMY: HASKOBA, LONDON — Tel. FRE 7888

★

Komuniści rządzący Polską wykreślili z kalendarza narodowego Święto Niepodległości. Od lat obchodzą je Polacy w Kraju tylko w myślach. Tym większy jest obowiązek nas, wolnych Polaków walczących o niepodległość poza granicami Ojczyzny, by o Święcie tym pamiętać.

11 listopada 1918 r. powstało niepodległe państwo polskie po ponad wiekowym wykreśleniu z politycznej mapy Europy. Był to dzień triumfu i wypełnienia pragnień pokoleń. Było to ukoronowanie ich nieprzerwanych wysiłków i ani na chwilę nie przerwanej walki z trzema zaborcami. Był to jednak także dzień rozpoczęcia nowej walki: walki o sprawiedliwe granice nowo powstałego państwa i o utrzymanie świeżo zdobytej niepodległości, której natychmiast zagroziło nowe niebezpieczeństwo ze strony nowego imperializmu wschodniego, na odmianę czerwonego. 15 sierpnia 1920 roku zakończył zwycięsko dwutelni okres samotnej walki w obronie odzyskanej wolności.

Im dłuższa jest perspektywa czasu, perspektywa historii, tym te dwie daty bliżej siebie stają i zlewają się ze sobą w naszych sercach.

Są ludzie, rozgorzyczeni długą nową niewolą naszej Ojczyzny, którzy gotowi są pomniejszać znaczenie Święta Niepodległości, sprowadzając je do jednej z wielu wielkich dat naszej historii, pozbawiając je tym samym znaczenia na chwilę obecną. Jest to pogląd błędny. Święto Niepodległości większe ma może znaczenie dzisiaj niż miało między wojnami. Bo przypomina niedokończony obowiązek przywrócenia naszej Ojczyźnie wolności. Inne są warunki, inne są ramy życia narodowego. Inny jest cały świat. Niemniej wolność i niepodległość pozostały tym samym czym były w sercach i umysłach Polaków w dniu 11-go listopada 1918 roku; pozostały najgłębszą treścią naszej psychiki narodowej, najpierwszym celem naszego narodowego istnienia.

Nie lekceważmy symboliki i nie lekceważmy wspomnień, które są natchnieniem na przyszłość. Niewiele było Polaków którzy w roku 1914 mieli wiarę, że po czterech latach cierpień nastąpi dzień wyzwolenia. Lecz wszyscy mieli nadzieję.

Nadzieję tę powinniśmy pielegnować i dzisiaj, gdyż ona jest warunkiem trwania w walce i warunkiem ostatecznego zwycięstwa. Ogromna większość naszego społeczeństwa na uchodźstwie wywodzi się z szeregów wojska. Wojsko w dziejach Polski było zawsze czymś więcej niż tylko siłą zbrojną. Było szkołą ofiary i patriotyzmu, a często także namiastką własnej państwowości. W tym duchu pracuje dla Polski społeczność kombatancka poza granicami Kraju. Mówiąc o „duchu kombatanckim“ należy go rozumieć jako świadomość trwania na służbie chociażby bez munduru. W tym też duchu powinniśmy przygotować nasze dzieci i wnuki do przejęcia naszych narodowych obowiązków. Młodzież nasza, choć nie „kombatancka z pochodzenia“ powinna być „kombatancką“ z ducha.

Mало jest zadań, które moglibyśmy nazwać pilniejszymi.

PAWEŁ ZAREMBA



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 28/1175

LISTOPAD 1966

Rok XXVI

Anglia w hołdzie pamięci gen. Bora-Komorowskiego

Dnia 20 października br. odprawione zostało w katedrze westminsterskiej nabożeństwo żałobne za spójność duszy śp. gen. T. Bora-Komorowskiego. W katedrze było ponad 3.000 osób. Nabożeństwo miało charakter manifestacyjny i wzięło w nim udział n'e tylko społeczeństwo brytyjskie z przedstawicielami wysokich władz państwowych, wojskowych i kościelnych na czele, ale także społeczeństwo polskie, które raz jeszcze miało okazję oddać hołd b. Dowódcy Armii Krajowej.

Wchodzących do katedry gości witał przewodniczący komitetu organizacyjnego, John Yeowill, w samej zaś katedrze gości odprowadzali do wyznaczonych miejsc członkowie komitetu organizacyjnego oraz — jeśli chodzi o przedstawicieli polskiej emigracji — Akowcy w opaskach biało-czerwonych.

Panią Irenę Komorowską prowadził do pierwszego rzędu gen. W. Anders i amb. E. Raczyński. Uroczystą chwilą było wejście pocztów sztandarowych reprezentujących 7 jednostek Polskich Sił Zbrojnych, w tym sztandar lotników i AK. Nadto były poczty sztandarowe organizacji kombatanckich: polskich, belgijskich, francuskich oraz harcerstwa polskiego.

Mszę św. celebrował ks. prałat G. Tomlinson. W stallach zajęli miejsca: biskup polowy G. Tickle — reprezentujący ks. kard. Heenana, który n'e mógł przybyć osobiście na nabożeństwo z powodu odbywającej się właśnie w Londynie konferencji Episkopatu Anglii i

Przypominamy, że numer grudniowy „Orła Białego“ będzie numerem jubileuszowym dla upamiętnienia 25-ciu lat naszego pisma. Postaramy się w nim n'kreślić nie tylko nasze „ortowe“ dzieje — bogate i dla każdego z czytelników ciekawe — lecz także podzielić się naszymi troskami i przedstawić zamierzenia na najbliższą przyszłość.

Walii. Delegata Apostolskiego reprezentował ks. kan. A. Rivers, biskupa Worlocka, asystenta kościelnego Katolickiej Rady Pomocy Polakom — ks. kan. Guacelli, ojciec J. Babik — katolików słowackich w W. Brytanii. Nadto obecni byli ks. C. Pitt — główny kapelan rzymsko-katolicki marynarki brytyjskiej. W stallach zajęli także miejsce przedstawiciele duchowieństwa polskiego z ks. inf. W. Staniszewskim, ks. dr. Jasińskim z Fawley Court i z ks. prał. R. Gogolińskim na czele. Z innych wyznań chrześcijańskich obecni byli: ks. biskup sufragan Fulhamu A. F. B. Rogers — reprezentujący arcybiskupa Cantenbury, ks. biskup T. Craske — biskupa Londynu ks. bisk. Stopforda oraz ks. bisk. W. Fierla — reprezentujący Polsko - Ewangelicko - Augsburgski Kościół na Uchodźstwie.

Ponadto w nabożeństwie wzięli udział: b. premier Macmillan, Earl of Longford — reprezentujący min. spraw zagranicznych Browna, lord Hankey — z Foreign Office, opozycję reprezentował Enoch Powell, nadto przybyli Lord St. Oswald i Sir Hugh Fraser, liczni posłowie Izby Gmin oraz Lord Russell of Liverpool.

Ministerstwo obrony i brytyjskie siły zbrojne reprezentował marsz. lotnictwa sir John Slessor, marsz. lotnictwa sir William Elliot reprezentował najwyższe naczelne dowództwo sił alianckich. Poszczególne bronie brytyjskie reprezentowane były przez adm. A. F. F. Turnera, gen. J. A. D. Avigdor-Goldsmida i wicemarszałka lotnictwa E. Knowles.

Byli także obecni przedstawiciele ambasady amerykańskiej, holenderskiej, luksemburskiej, francuskiej oraz wysokich komisarzy Kanady i Nowej Zelandii.

(Dokończenie na str. 2)

Samodz. Brygada Strzelców Karpackich

NA 25-CIOLECIE JEJ PIERWSZEGO BOJU

„Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich“... Nazwa nieomal legendarna. Taką się przynajmniej wydawała gdy docierała pogłoską, rzadziej radiową wiadomością, do Kraju. Do Kraju co łaknął każdego słowa otuchy i każdego zastrzyku dumy narodowej, na tak ciężką narażoną próbę.

A na pustyni śpiewali żołnierze, że „maszeruje brygada, maszeruje“. Do Polski.

Maszerowała dzielnie, sprawnie i co nie mniej ważne z humorem. Tak mi się to wydaje z rozmów kolegami i z przyjaciółmi, którzy w Brygadzie mieli zaszczyt służyć. Ja tego zaszczytu nie miałem. O istnieniu Brygady dowiedziałem się w niewoli niemieckiej, już nie umiem dziś powiedzieć jaką drogą i dokładnie kiedy. Lecz pierwszą o niej wiadomość miałem gdy była jeszcze w powojakach, gdy się formowała w Syrii. Nazwa francuska: Brigade Polonaise-Sud. Dlaczego dotarła w francuskim brzmieniu? Było trochę kontaktów z jeńcami francuskimi, przez szpital główne. Nie była to hołota wyrzekająca na „drôle de guerre“, lecz dobrzy żołnierze z „Coloniale“. Więc pewno, którzy z nich o Brygadzie słyszeli. A potem dowiadywałem się więcej. Ktoś, drogą przez Warszawę podawał szczegóły. Prawdziwe i wyolbrzymione. Że to niby nie brygada, ale jedna z wielu brygad. Że jest pancerna. Że wyginęła w Grecji. Lecz były i wieści prawdziwe.

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Na mszę św. przybyli przedstawiciele wszystkich narodów Europy środkowo-wschodniej.

Polskie czynniki polityczne reprezentowali: dr T. Bielecki — przewodniczący Rady Jedności Narodowej, prezes A. Ciołkosz — przewodniczący Egzekutywy, członkowie Egzekutywy i Rady Jedności Narodowej, licznie reprezentowana była generalicja oraz organizacje społeczne, kombatanckie, kulturalne i młodzieżowe. Władze Koła AK reprezentowali gen. T. Pełczyński — przewodniczący Rady Naczelnej i Fr. Miszczak — prezes Zarządu Głównego Koła AK.

Po mszy św. zabrzmiały fanfary królewskiego pułku artylerii konnej a gdy organy zagrały hymn: „Boże coś Polskę“ — wszyscy Polacy podchwycili pieśń.

Marszem żałobnym Chopina wykonanym na organach, zakończone zostało nabożeństwo.

(p. h.)

I nazwiska tych co w niej służyli. Nie tylko oficerów. I także: „brygada przeszła z bronią do Palestyny po zdradzie Francji“. Dowodzi nią płk. Kopański... Nie słyszałem tego nazwiska, starsi koledzy wytłumaczyli mi kto zacz. Lecz znałem z innych nazwisk nazwisko Jerzy Zaremba i gdy o nim usłyszałem zrobiło mi się ciepło i pogodnie na sercu.

To tyle tych osobistych wspomnień. Nie powinienem może o nich pisać. Tak jak nie powinienem pisać o Brygadzie na spóźnione dwudziestopięcioletnie jej wejścia do boju w oblężonym Tobruku. Bo cóż znaczą później zebrane wiadomości, urywki wspomnień wysłuchanych i przeczytanych, czy wreszcie mozolne studia, ślęczenie nad dokumentami, relacjami i mapami w przygotowaniu do jakiejś pracy lub artykułu? Może wystarczą dla napisania obiektywnego „kawałka“ historii, lecz nie zastąpią przeżycia własnego.

Na szczęście Karpaczczyki napisali już wiele o sobie i ciągle jeszcze piszą. Już w roku 1951, w dziesięciolecie powstania, ukazała się praca zbiorowa, historyczna i literacka, żołnierzy S.B.S.K. Na trzystu stronach napisali żołnierze Brygady dzieje swych bojów, swych marzeń i zawodów, swych zwycięstw i swego śmiechu. Pięknie napisana książka. I poezji w niej sporo, ale nie tylko tej wierszowanej, lecz i tej zaklętej nieświadomości przez autorów-żołnierzy w kształt rapsodu rycerskiego. Napisał o Brygadzie wiele jej dowódca, generał Kopański w swej książce. Upamiętnił ją w powieści „Słowo o Bitwie“ — żołnierz Brygady Janusz Jasieńczyk. Pisze ciągle o niej wielu, żeby tylko wspomnieć „Gońca Karpackiego“.

Pisał o niej często i gęsto, a zawsze pięknie i szczerze, historycznie wiernie a literacko jak on to tylko umiał — nieodżałowanej pamięci Janek Bielatowicz.

Bielatowicza dzieło pośmiertne, to redakcja ogromnej większości książki, która się ukazała przed kilku zaledwie tygodniami staraniem Koła Ułanów Karpackich. „Ułani Karpaccy“ to najświeższa lecz na pewno nie ostatnia pozycja w bogatej bibliografii dziejów S.B.S.K. i jej rozrośniętego w dywizję dziecka — 3 D.S.K.

To bogactwo pisarskie Karpaczczyków to jedna z wielu cech wyróżniających ich od innych wielkich jednostek wojska polskiego. Zapewne cecha nie najważniejsza. Lecz warto o niej pamiętać. Była wynikiem składu personalnego

Brygady. Nazywano ją „inteligencją“, często z przekąsem, zawsze z przesadą. Prawda na tym polega, że służyło w niej bardzo wielu żołnierzy ze średnim czy wyższym wykształceniem i o zainteresowaniach czy o pretensjach pisarsko-dziennikarskich. Nie jest to zapewne najłatwiejszy element gdy o wyszkolenie chodzi. Żołnierz „mędrkujący“ to twardy orzech do zgryzienia dla dowódcy. Obawa, że mędrkuje spowodowała zapewne dziwną nieco scenę między generałem Sikorskim i generałem Kopańskim w czasie wizyty Naczelnego Wodza w oblężonym Tobruku. Naczelnny Wódz zainteresował się bowiem przede wszystkim sposobem redagowania „Naszycy Drog“ — brygadowej gazety. Z perspektywy czasu zakrawa to na pyszną anegdotę historyczną.

Rzecz w tym, że żołnierz Brygady nie „mędrkował“. Lecz myślał. Nie przeszkadzało mu to wcale, pomagało raczej, rozumieć wspaniale swój obowiązek żołnierski i obywatelski. I wykonywać go.

Miał to szczęście, że dowodzone nim tak jak na to zasługiwał. To znaczy fachowo w sensie wojskowym i po przyjacielsku w sensie ludzkim. W wyniku ma za sobą Tobruk i Gazalę. I wiele innych bitew już w rozrośniętych stanach 3 D.S.K. i całego 2 Korpusu.

Organizacyjnie dzieje S.B.S.K. stanowią prawdziwe curiosum w dziejach wojskowości. Ileż razy się przeorganizowywała, przeobrażała i przekształcała. Wszystko na przestrzeni krótkiego raczej czasu.

Bojowo legenda Brygady rodziła się nie z fantazji lecz z rzetelnych osiągnięć. Nie błyskotliwość, lecz rzetelna robota. Jak rzetelna świadczą słowa generała Scobie, dowódcy twierdzy tobruckiej, że z przybyciem Polaków wszystko się ożywiło na froncie walki. Trzy bataliony, pułk artylerii, pułk rozpoznawczy ułanów, pododdziały broni wspierających. Niekiedy trzy, niekiedy pięć tysięcy ludzi z dodatkiem, częściowo z Brygadą związaną, Legii Oficerskiej. Ilość nie duża. Lecz jej sława bojowa i jej legenda nie mierzy się stanami batalionów. Mierzy się miarą zasługi bojowej, wartością ducha i ogromem otuchy, którą z jej istnienia czerpali wszyscy Polacy.

P. Z.

POPIERAJ POLSKIE FIRMY



PIERWSZA WYPRAWA ZAGRANICZNA PREZYDENTA L. B. JOHNSONA

W przeciwieństwie do J. F. Kennedy'ego, prez. L. B. Johnson okazał się prezydentem, nieskłonny do wyjazdów za granicę. Dotychczas zrobił tylko kilka krótkich i mniejszej wagi wypadów, nie wykraczających poza zachodnią półkulę. Tym większe wrażenie zrobiła obecna podróż gospodarza Białego Domu, który w okresie między 17 października a początkami listopada odwiedzić ma stolice N. Zelandii, Australii, Filipin, Syjamu, Malezji i płd. Korei. Punktem szczytowym wielkiej imprezy będzie konferencja kilku, sprzymierzonych ze Stanami Zjednoczonymi państw pobrzeży oceanu Spokojnego w filipińskiej stolicy, Manili. Przewiduje się też nieoficjalnie, że L.B.J. odwiedzi również armię amerykańską w płd. Wietnamie.

Terminy tej podróży zostały tak wybrane i odmierzone, że prezydent powróci do Waszyngtonu tuż przed wyborami do kongresu, przypadającymi w połowie czteroletniej kadencji prezydenckiej i tego roku w dniu 8 listopada. Zbieżność tego rodzaju pomiędzy inicjatywą międzynarodową a ważnym aktem polityki wewnętrznej nie może być przypadkowa i niektórzy komentatorzy określają podróż zagraniczną Johnsona, jako po prostu przedwyborczą. Podparciem tego poglądu jest m.in., ogłoszona ostatnio książka publicysty amerykańskiego F. L. Geyelina pt. „Lyndon B. Johnson i świat”. Autor stwierdza w niej, że obecny prezydent Stanów Zjednoczonych nie uprawia polityki zagranicznej dla niej samej, ale uważa ją za funkcję sytuacji wewnętrznej w swoim kraju; że traktując z państwami innymi ma oczy zawsze zwrócone przede wszystkim na własną opinię i urny wyborcze.

GŁÓWNA TROSKA — WOJNA WIETNAMSKA

Przykładając tylko taką miarę do obecnej podróży L.B.J., podobnie jak do całej jego polityki, stawiającej na czele sprawy wewnętrzne, popełnilibyśmy jednak błąd. Nawet podporządkowana celom wewnętrznym i wyborczym, jako prowadzona przez największe mocarstwo świata wolnego, posiada ta polityka zawsze wagę ogromną, dotyczącą pośrednio wszystkich narodów i zasługuje na baczną uwagę.

Wojna wietnamska jest z pewnością główną troską bezpośrednią Stanów

Zjednoczonych, zaczyna coraz poważniej niepokoić społeczeństwo amerykańskie i pomniejsza popularność prez. Johnsona. Nic więc dziwnego, że wypełniając zarazem najpilniejsze zadanie polityki zagranicznej i próbując odzyskać zrażonych do siebie wyborców, LBJ wybrał się ku płd. wschodniej Azji, do państw, związanych z konfliktem w Wietnamie.

Prez. Johnson odziedziczył wprawdzie ten konflikt po poprzednikach, ale za niego dopiero zaangażowanie się Stanów Zjedn. na terenie Wietnamu przemieniło się w prawdziwą wojnę bez możliwości ukrywania tej rzeczywistości przy pomocy jakichś wymyślnych określeń propagandowych. Amerykańskie siły zbrojne, uczestniczące w walkach wietnamskich doszły już do 320 tysięcy (według amerykańskiej prasy opozycyjnej — do 443 tysięcy), na wiosnę 1967 mają przekroczyć z pewnością 400 tysięcy, a według oceny amerykańskich dowódców frontowych dopiero 750-tysięczna armia wystarczy do tak skutecznego „zapięczętowania” granic płd. Wietnamu, aby uniemożliwić infiltrację komunistyczną.

Przewidywanie to wydaje się zwłaszcza prawdopodobne, gdy weźmiemy pod uwagę dotychczasowe tempo wzrostu sił amerykańskich. Jak doniosła prasa Stanów Zjedn., przed rokiem liczba ich w Wietnamie wynosiła 180 tysięcy, czyli — w stosunku do dzisiejszych 320.000 — w ciągu roku wzrosła o 140 tysięcy. Równoległe wzrosły straty w ludziach i sprzęcie, wreszcie koszty wojenne, obciążające budżet Stanów Zjednoczonych i zaczynające już niepokoić kongres, mimo kwitnącej równocześnie gospodarki amerykańskiej.

Arcywojenny bilans rządów prez. Johnsona będzie dla niego szczególnie niewygodny podczas wyborów, kiedy Demokraci znajdą się naprzeciw Republikanów. Ci ostatni nie omieszkają bowiem przypomnieć wyborcom, pod jakimi hasłami zwyciężył demokratyczny kandydat na prezydenta przed dwoma laty republikańskiego Barry Goldwatera. Johnson wygrał wybory, jako rzekomy orędownik pokoju w Wietnamie, a kandydat Republikanów został pokonany, ponieważ wyborcy w 1964 r. uwierzyli, że będzie kontynuował wojnę wietnamską w taki właśnie energiczny sposób, jak robi to LBJ.

ZJAZD SPRZYMIERZĘCÓW WOJENNYCH — POD HASŁEM POKOJU

Niemniej, oczywiście ze względów wybozych, prez. Johnson rozpoczął swoją podróż pod hasłami pokojowymi, chociaż wybiera się odwiedzić te właśnie państwa, które udzielają Stanom Zjedn. w wietnamskiej wojnie pomocy i chociaż nic realnego nie wskazuje, aby spotkanie ich przedstawicieli na Filipinach miało dać w rezultacie rzeczywistą inicjatywę pokojową. Przeciwnie, celem konferencji w Manili jest dać wojskowemu współdziałaniu państw, przeciwstawiających się nad Pacyfikiem komunistycznej ekspansji pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych, dyplomatyczne zaplecze nowego ugrupowania, w którym uczestniczyć będą już tylko kraje tamtego, światowego regionu.

Dotychczas Stany Zjedn. miały na Pacyfiku, albo dwustronne przymierza, jak z Japonią, Formozą Czang Kai-szeka i płd. Koreą, albo zbiorowy Traktat Organizacji Płd. Wsch. Azji — SEATO, do którego wchodzi również mocarstwa europejskie (który jednak staje się też coraz bardziej martwą literą), albo bardziej ograniczony układ z Australią i Nową Zelandią, zwany ANZUS. Dyplomatycznym celem konferencji w Manili i całej podróży prez. Johnsona zdaje się być uporządkowanie i konsolidacja tych wszystkich powiązań dotychczasowych z położeniem akcentu na ich regionalny charakter i w konsekwencji na wyłączną dominację Stanów Zjednoczonych, jako państwa niewspółmiernie silniejszego od wszystkich partnerów.

Zamiarom tym towarzyszą normalne i adresowane głównie do amerykańskich wyborców hasła pokojowe, ale w rzeczywistości podczas wizyt LBJ nad oceanem Spokojnym i wybrzeżami Azji będzie z pewnością więcej mowy o wojnie wietnamskiej i niebezpieczeństwach jej rozprzestrzenienia się, niż o widokach pokoju oraz o możliwości jego rychłego ustanowienia.

AMERYKANOM EUROPEJSKIEGO POCHODZENA — TAKŻE OGAREK

Społeczeństwo Stanów Zjedn., które zachodnią granicą są brzegi Pacyfiku, mające naprzeciw Azję, a wschodnią, przez Atlantyk sąsiadujące z Europą, składa się z obywateli, kierunków politycznych czy stanów bardziej wrażli-

wych na azjatyckie albo europejskie sprawy. Do tych drugich należą, rzecz jasna, przede wszystkim stany nad Atlantykiem położone albo Amerykanie europejskiego pochodzenia, których poglądy albo może raczej uczucia, zwłaszcza przed wyborami, musi troskliwiej brać pod uwagę każdy polityk amerykański.

Prez. Johnson pochodzi z Teksasu, czyli ze stanu pld. zachodniego Ameryki i polityka jego, której obecna podróż jest mocnym wyrazem, skupia się głównie na sprawach azjatyckich. Nie może on jednak zaniedbywać zupełnie również spraw a szczególnie wyborców pochodzenia europejskiego czy też w ogóle nadatlantyckich. Toteż, zapalając świeczkę zachodnim „azjatyckim“ stanom, zapalił też ogarek — tym drugim. Był to rzeczywiście zaledwie ogarek, ponieważ „europejskie“ słowa prezydenta, wygłoszone przed podróżą ku Azji, były raczej powtórzeniem rozmaitych wątpliwości, co do możliwości urzeczywistnienia, propozycji gospodarczych.

Zawarte one zostały w przemówieniu, które prezydent Stanów Zjedn. wygłosił do Towarzystwa Amerykańskich Publicystów 7 października, czyli w okresie kilku rozmów z sowieckim Gromyką i nowym, dynamicznym a mownym ministrem spraw zagranicznych, W. Brytanii, George Brownem, drugim po Wilsonie gwiazdorem rządzącej Labour Party. Jest on chyba dobrze wybrany w czasie, kiedy W. Brytania nie może wiele realnego w polityce zagranicznej zrobić. Przedstawiciel jej więc będzie przynajmniej robił dużo szumu.

Europejskie propozycje LBJ polegały na projekcie zawarcia układów handlowych o klauzuli największego uprzywilejowania z państwami środkowo-wschodniej części naszego kontynentu, czyli dziś pod sowieckim zwierzchnictwem; dalej na zapowiedzi ewentualnego rozluźnienia przepisów wywozowych do tychże naszych krajów, wreszcie na obietnicy możliwej redukcji długów. Propozycje te określił LBJ jako program stopnowego „rozwoju“ gospodarczych i kulturalnych stosunków z komunistycznymi państwami“. O tym prez. Johnson już mówił parokrotnie pod adresem naszej części Europy i było to poprzednio nazwane przez niego „rzucaniem pomostów przez żelazną kurtynę“. O pomostach tych słyszeliśmy chyba najczęściej przed dwoma laty w roku wyborów prezydenckich i także nie mogły one wzbudzić naszego entuzjazmu. Naród polski ani jego sąsiedzi nie zamierzają pozostać krajami komunistycznymi, nawet z „pomostami“ przez żelazną kurtynę do świata wolnego.

OFERTA DLA MOSKWY — ODRZUCONA

Pakując do jednego worka europejskie narody strefy środkowo-wschodniej razem z panującą nad nimi Rosją Sowiecką, prasa anglo-amerykańska omawiała ostatnie wypowiedzi Johnsona pod łącznymi tytułami „stosunki Wschód-Zachód“. W rzeczywistości są to sprawy różne, ponieważ narody nasze a narzucone im reżymy komunistyczne to jest co innego i dlatego oferty Johnsona dla Moskwy należy omówić osobno.

Otóż, LBJ w tymże wyżej wspomnianym przemówieniu z 7 października wystąpił do Sowietów z ideą poprawy wzajemnych stosunków, które mogły by prowadzić do redukcji amerykańskich i sowieckich sił zbrojnych w Europie, do układu atomowego oraz do ogólnego rozszerzenia współpracy. Zaprosił też przywódców sowieckich do Waszyngtonu. Apel prezydenta był zapewne spowodowany z jednej strony przez zmagające się ataki „czerwonej gwardii“ Mao Tse-tunga na Sowiety, które — według doktryny amerykańskiej sowiektologii — miały by skłaniać Moskwę do ugody z Waszyngtonem, a z drugiej — przez chęć zjednania tzw. liberalnych czyli prosowieckich kół własnej partii Demokratów. Skupiając główną uwagę na sprawach azjatyckich, polityka amerykańska w starym duchu jałtańskim rachuje zawsze na życzliwość Rosji, zwłaszcza gdy ta znajduje się w konflikcie z Chinami.

Rachuby na „odprężenie“ z Sowietami zawiodły jednak tym razem zupełnie i Breżniew odrzucił ofertę LBJ bez zwłoki, a prasa sowiecka oceniła ją z miejsca ujemnie z komentarzami niezbyt pochlebnymi. Póki Stany Zjednoczone „atakują w sposób barbarzyński socjalistyczny kraj“ czyli Wietnam, jak oświadczył Breżniew i powtórzyły w brutalniejszym języku gazety moskiewskie, nie może być mowy o żadnej poprawie stosunków między Rosją a Ameryką, ani o żadnych wizytach.

KOMUNISTYCZNY „SZCZYT“ W MOSKWIE

Odrzucenie waszyngtońskiej oferty przez Moskwę było zaskoczeniem dla zachodniej opinii. Prasowy rzeczoznawcy spraw sowieckich, zwani sowiektologami, przewidywali upragnione od lat potępienie partii chińskiej przez komunistyczny „szczyt“, zwołany na połowę października do Moskwy i zarazem oficjalne zerwanie osi Moskwa-Pekin. Taki obrót spraw miał, według nich, spowodować w konsekwencji zmięczenie stanowiska Rosji wobec Stanów Zjednoczonych i gotowość do rokowań ugodowych.

Kiedy przewidywania te się nie spełniły i końcowy komunikat dziewięciu

delegacji partyjnych (Moskwa + 6 satelitów europejskich + Kuba + Zewn. Mongolia) nie zawarł upragnionych potępień Pekinu, prasa zachodnia-zapominając o negatywnej reakcji Moskwy na oferty prez. Johnsona — zaczęła natomiast rozwozić się optymistycznie nad wypowiedziami Gromyki. Wypowiedzi te dotyczyły rokowań nuklearnych i oznaczać miały jakoby „bardziej pozytywne“ stanowisko sowieckie. Tę większą pozytywność odkryć mogli tylko bliżej wtajemniczeni dyplomaci, ponieważ w tym węzlu morskim wieloletnich rokowań atomowych nikt się nie orientuje, nikt się nimi też nie interesuje, bo nie bierze ich na serio. Naprawdę zainteresowani w nich są chyba wyłącznie dyplomaci oraz ich żony ponieważ rokowania te pozwalają im za pieniądze publiczne wysiadywać co roku miesiącami nad pięknym Lemanem w szwajcarskich górach.

Dlaczego przewidywania zachodnie odnośnie do polityki sowieckiej wobec Pekinu znowu się nie spełniły i Moskwa znowu nie wpadła w otwarte ramiona Waszyngtonu? Jako aktualną przyczynę tego rozczarowania, należy uznać — moim zdaniem — niedoceniany fakt ogromnego wzmocnienia ostatnio pozycji Moskwy w sporze z Pekinem, wzmocnienia które mogło tylko uszytywnić stanowisko sowieckie. Polega ono na kompletnej niemal izolacji partii chińskiej w światowym ruchu komunistycznym i na przeniesieniu nawet tego sporu do wnętrza chińskiego komunizmu. Niczym innym bowiem nie może być w swojej istocie ostatni konflikt między chińskimi komunistami, czystki i powołanie „czerwonej gwardii“ jak zacieklą walkę Mao Tse-tunga ze zwolennikami współdziałania z komunizmem sowieckim i ratowania osi Moskwa-Pekin.

Otóż, podejmując w tej sytuacji jakiegokolwiek kroki manifestacyjne przeciwko partii chińskiej jako całości, Moskwa mogła by tylko ułatwiać Mao Tse-tungowi jej konsolidację pod hasłem antysowieckim. Konsekwentne natomiast wysuwanie przez Kreml zasady jedności komunizmu w walce z zachodnim „imperializmem“ jest najlepszą z pewnością taktyką w dążeniu do zachowania prymatu i przywołania partii chińskiej do porządku.

Wreszcie przywódcy sowieccy, którzy znają doskonale sytuację wewnętrzną czerwonych Chin ze wszystkimi jej wojskowymi i gospodarczymi niedomaganiem, nie ulegają też z pewnością zachodniej propagandzie o rzekomo wielkim zagrożeniu świata całego i samej Rosji przez chińskiego, ale tylko liczebnego giganta.

Z. S.

MŁODZIEŻ NICZYJA

PÓŁ MILIONA MŁODOCIANYCH SZLIFUJE W POLSCE BRUKI

GŁÓWNY Urząd Statystyczny ogłasza moc informacji o życiu w Polsce Ludowej, są jednak dziedziny, o których te publikacje nie mówią. Do takich zagadnień przemilczanych, lub pokrywanych sztuczkami rachunku statystycznego, należą m. in. zagadnienia ukrytego bezrobocia i zaniedbania opieki nad dorastającą młodzieżą. O tych sprawach niczego konkretnego ze statystyk dowiedzieć się nie można. To typowa tajemnica państwowa ustroju komunistycznego. Gdy nie ma się czym pochwalić wykazy statystyczne milczą.

Chociaż problemu zaniedbanej młodzieży oficjalne źródła państwowe wolą ze zrozumiałych względów nie pokazywać, czasem przypadkowo ujawnia go samo życie. Ujawnia potrzeba rozwiązań lokalnych. Ujawnia skromny, pozabawiony szerszych ambicji reportaż prowincjonalny.

Tak się właśnie przydarzyło z ujawnieniem problemu „młodzieży niczyjej“, młodzieży pozostawionej poza szkołą i niedopuszczonej do produktywniej pracy. Bliższą informację na ten temat zawdzięczam artykulowi Bolesławy Hajdukiewicz, ogłoszonemu niedawno w „Sztandarze Młodych“, centralnym organie partyjnego Związku Młodzieży Socjalistycznej. Skromna dziennikarka pisała o trudnościach społecznej działalności oświatowej Uniwersytetów Robotniczych. Ale ilustrując problem sięgnęła najwidoczniej do materiałów ze statystyk partyjnych i — najprawdopodobniej niechęcący — ujawniła ubocznie dużo większe zagadnienie niż trudności wychowawcze organizacji Uniwersytetów Robotniczych. Pokazała wielki problem „młodzieży niczyjej“, „młodzieży bez przydziału“, młodzieży skazanej na „szlifowanie bruków“.

Młodzieży takiej — jak się okazuje — mamy obecnie w Polsce ponad pół miliona. Stanowi ona ogromną armię dorastających obywateli, pozostawionych własnemu losowi, dla których nie ma w Polsce Ludowej pożytecznego zajęcia, którymi instytucje wychowawcze — tak reklamowane przez propagandę komunistyczną — nie chcą lub nie potrafią się zająć. Którzy — jak pisze autorka wzmiankowanego artykułu — „szlifują bruki“.

Dziennikarka „Sztandaru Młodych“ wysuwa propozycję, aby opiekę nad doszkoleniem tej młodzieży powierzyć Uniwersytetom Robotniczym. Takie właśnie rozwiązanie — nie wiedząc co zrobić ze swoją „młodzieżą bez przy-

działu“ — zastosowała Miejska Rada Narodowa w Koszalinie. Rozwiązanie może i dobre, ale na skalę jednego miasta, w którym prawdopodobnie problem ten nie przybrał jeszcze zbyt groźnych rozmiarów. W skali państwowej, w świetle przerażających cyfr ujawnionych przez dziennikarkę problematyki młodzieżowej, rozwiązanie takie przetrasta możliwości organizacyjne Uniwersytetów Robotniczych.

Okazuje się, że Uniwersytety Robotnicze nie mają na ten cel koniecznych środków. Borykają się z wykonaniem zadań o wiele łatwiejszych i znacznie skromniejszych w zasięgu. To jedno. Drugie to trudności techniczno-administracyjne. Uniwersytety Robotnicze, chociaż całkowicie podległe ZMS, a więc praktycznie partii, nie znajdują zrozumienia dla swojej akcji doszkalającej i wychowawczej. Nie mają podstawy i możliwości, aby swoją działalność rozszerzyć, bo administracja państwowa i przemysłowa, dysponująca przydziałem środków materialnych, skąpi tych środków na dokształcanie młodzieży pozostającej poza szkołą. Autorka pisze:

„Panowie księgowi domagają się „podkładki“ — a tej brak. Prawda jest taka, że wciąż brak przepisów państwowych, regulujących tryb finansowania kursów dla młodocianych“. Jak na stosunki krajowe powiedziano dość wyraźnie w czym rzecz. Myślę wszakże, że brakuje i czegoś więcej. Władzom partyjno-rządowym ze szczytów PZPR brakuje odwagi cywilnej. Nie potrafią się zdobyć na uczciwie i proste poinformowanie społeczeństwa o wielkim, na skalę państwową, problemie „młodzieży niczyjej“, o zasadniczych trudnościach rozwiązania zagadnienia „młodzieży bez przydziału“.

Bolesława Hajdukiewicz, ilustrując ogrom zadań Uniwersytetów Robotniczych, podaje taką informację: „Problem młodzieży niczyjej nie ogranicza się wyłącznie do młodocianych, którzy urwali się ze szkół przed ich ukończeniem. Wielu nastolatków szlifuje bruki już ze świadectwem siedmiu klas w kieszeni..., kiedy nikt nie potrafi nastoletniemu obywatelowi zaproponować coś konkretnego, co stwarzałoby określone perspektywy życiowe — najłatwiej zbijać bąki na rogu ulicy pod kioskiem. I tak urasta wielki problem społeczny: problem młodocianych bez przydziału. Oblicza się, że mamy ich obecnie ponad pół miliona“.

Co praktycznie oznacza takie stwier-

dzenie? Oczywiście, władze komunistyczne nie przyznają się do winy, ale odpowiedzialność może być tylko jedna. Polska Ludowa po dwudziestu dwóch latach niepodzielnych rządów komunistycznych dorobiła się ponad półmilionowego bezrobocia młodocianych. Bezrobocia, którego nie ujawniają oficjalne statystyki, które jednak niepokoi działaczy społecznych, bo jest już widoczne pod każdym kioskiem z piwem, gdzie beczynne gromady nastolatków „szlifują bruki“.

O tym wielkim i jakże tragicznym bezrobociu młodocianych nie informuje opinii, ani Rocznik Statystyczny, ani wykazy Wydziałów Zatrudnienia. Władze partyjno-rządowe nie chcą po prostu widzieć tego zagadnienia, bo nie pasuje ono do ich sloganów, które głoszą dla PZPR hymny pochwalne za zrealizowanie pełnego zatrudnienia i zapewnienie młodemu pokoleniu lepszego jutra. Dlatego o tej bolesnej sprawie można było napisać tylko mimochodem na marginesie relacji o działalności Uniwersytetów Robotniczych.

W połowie stycznia tego roku podporządkowany komunistom Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu ogłosił apel w sprawie młodzieży i jej przyszłości, w którym czytamy:

„Przed młodym pokoleniem otworem stanęły w Polsce Ludowej wszystkie drogi życiowe. Od jego kwalifikacji, żarliwości ideowej, oddania, zależy przyszłość ojczyzny. Pragniemy, aby pokolenie to wychowane w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu było bardziej dojrzałe do życia w świecie nowoczesnej nauki i techniki, w świecie socjalistycznych stosunków międzyludzkich“.

A w zakończeniu tej wielkiej odezwy rzucono hasło roku: „Naród swojej młodzieży“.

Jakież nie pasuje to hasło do opłakanej sytuacji ponad półmilionowej rzeszy „młodzieży niczyjej“, „młodzieży bez przydziału“, młodzieży, która pozabawiona szansy życiowej musi „szlifować bruki“.

Dlatego na każdym kroku trzeba zadawać komunistom polskim pytanie, dlaczego dopuścili do takiej sytuacji, że powstała w Polsce pół milionowa armia młodzieżowego bezrobocia?

Ileż to razy najwyżsi dygnitarze partyjni z Gomułką i Cyrankiewiczem na czele zapewniali społeczeństwo o wielkich możliwościach życiowych, jakie polityka PZPR roztacza przed młodym pokoleniem. Teraz zaś okazuje się, że

mamy w Polsce półmilionową armię bezrobotnej młodzieży, która w oczekiwaniu na nieliczne kursy dokształcające Uniwersytetów Robotniczych szlifuje bruki.

Muszę być sprawiedliwy. Przyznaję, że powojenne szkolnictwo polskie — ma poważne osiągnięcia. Tak jak Polska Niepodległa zbudowała w okresie dwudziestolecia międzywojennego gruntowne podstawy szkolnictwa powszechnego i wykształciła własny system nauczania, tak szkolnictwo powojenne ma duże osiągnięcia w rozbudowie sieci szkół, zwiększeniu ilości wyższych uczelni i instytutów naukowych. Są to fakty, którym nie zamierzam przeczyć. Potrafię również zrozumieć poważne trudności z powojennym kształceniem i wychowaniem tak licznych roczników młodzieży. Można wreszcie zrozumieć, że polityka wychowania i polityka zatrudnienia młodzieży może mieć różne potknięcia. W kraju trzydziesto-milionowym są to rzeczy nieuniknione. W żaden jednak sposób nie da się zrozumieć i wytłumaczyć, dlaczego rząd komunistyczny ukrywa te fakty przed społeczeństwem i falszuje statystyki? Nie można zrozumieć, dlaczego młodzieży, która opuszcza szkoły nie rejestruje się z miejsca w Wydziałach Zatrudnienia?

Przecież w krajach Europy Zachodniej młodzież, która kończy lub przerywa naukę szkolną, automatycznie zgłasza się do urzędów zatrudnienia jako poszukująca pracy. Tak samo powinno się dziać i w Polsce. Nie ma się czego wstydić, że nie cała młodzież chce się uczyć (zresztą, jak dobrze wiadomo, szczególnie w ostatnich latach, nie dla całej młodzieży, która chciałaby się uczyć starcza w Polsce miejsc w szkołach i uczelniach). Rzecz w tym, aby dla całej dorastającej młodzieży wystarczyło stanowisk pracy, bo młodzież wychodząca ze szkół ma prawo do pracy. Państwa zachodnie umiały ten problem po wojnie rozwiązać. Okazuje się za to, że komuniści polscy, przechwalający się swoimi osiągnięciami, z tak ważnym dla przyszłości narodu zagadnieniem nie potrafią sobie poradzić. Dopuszcili do powstania półmilionowej armii bezrobotnej młodzieży.

Całe zagadnienie ma jeszcze problem uboczny. Dużo się teraz mówi i pisze o szerzącym się w kraju chuligaństwie młodocianych. Zajął się tym zagadnieniem nawet Sąd Najwyższy, klasyfikując i oceniając — zresztą w sposób mało precyzyjny i jasny — przestępczość tego typu. A jednocześnie zaniedbano podłoże na którym problem chuligaństwa wyrasta. Nie ma bowiem wątpliwości, że pozostawienie bez pracy ponad półmilionowej rzeszy „młodzieży nieczyjej“ na pewno przyczynia się bezpośrednio do rozkwitu chuligaństwa.

Bolesława Hajdukiewicz pocziwie doradza: trzeba powierzyć tę młodzież opiece i wychowaniu Uniwersytetów Robotniczych. Trzeba się nią zająć na kursach dokształcających. Brzmi w tym nuta społecznej troski, jednak brzmi to jednocześnie niepoważnie. Uniwersytety Robotnicze nie mają — i nie będą miały — możliwości rozwiązania tak wielkiego problemu, z którym nie umiało się uporać państwowe szkolnictwo ogólne i zawodowe. W ostatnim półroczu z kursów dokształcających na Uniwersytetach Robotniczych skorzystało zaledwie pięćdziesiąt tysięcy słuchaczy, w tym wielu dorosłych. Tymczasem, co roku około sześćdziesięciu tysięcy młodocianych opuszcza szkoły bez otrzymania świadectwa podstawowego wykształcenia. Ogólną ilość takich obywateli „Sztandar Młodych“ ocenia co najmniej na pół miliona. Co tu może poradzić dorywcza akcja doszkalająca Uniwersytetów Robotniczych?

Sedno zagadnienia polega na czym innym. Artykuł 14 konstytucji PRL postanawia: „Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela“. A artykuł 58 tej konstytucji dodaje: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do pracy, to znaczy do zatrudnienia za wynagrodzeniem według ilości i jakości pracy“. Oznacza to, że młodzież opuszczająca szkoły powinna w myśl konstytucji uzyskać zatrudnienie.

Otóż półmilionowa armia „młodocianych bez przydziału“ nie posiada przywileju korzystania z tego prawa. Dla niej rząd komunistyczny pracy nie ma. Ustalone przez partię i rząd limity zatrudnienia nie przewidują wzrostu zatrudnienia młodocianych. Według ostatnich sprawozdań urzędowych limity zatrudnienia nieletnich zostały nawet przekroczone o 20 tysięcy małoletnich. Przemysł, chociażby chciał, chociażby potrzebował, nie może przyjąć na naukę zawołu więcej młodocianych. Nie pozwalają na to rygory administracyjne. A jednocześnie władze partyjne deklamują hasła o wielkich możliwościach młodego pokolenia pod rządami komunistycznymi. Co dziwniejsze, już dziś wiadomo, że za parę lat rozwijający się przemysł polski będzie miał poważny niedobór wykwalifikowanych robotników. Jednak teraz, gdy jest na to pora, gdy z górą pół miliona młodocianych pozostaje bez zajęcia administracyjne zarządzenia hamują wzrost zatrudnienia młodocianych w nauce zawodu.

Jaką logiką kierują się władze komunistyczne, że dopuszczają do takich absurdów? Trzeba w dodatku zaznaczyć, że jest to w całości młodzież urodzona i wychowana w Polsce powojennej, za której przyszłość rządząca Pol-

ską PZPR ponosi wyłączną odpowiedzialność.

W Polsce Ludowej obowiązują — tak się to głosi — zasady gospodarki planowej. Obowiązuje powszechna rejestracja obywateli. Partia i rząd musiały wiedzieć wcześniej o półmilionowym bezrobociu „młodzieży bez przydziału“. Muszą również wiedzieć o przewidywanym braku fachowców za kilka lat. Nie ma nic bardziej oczywistego, jak konieczność zapewnienia tej młodzieży pracy i nauki zawodu. Leży to w ogólnym interesie narodowym.

Jeśli tak koniecznych miejsc pracy dla tak licznej młodzieży planiści partyjni nie zaplanowali, jeśli popełnili w tej sprawie tak ogromne przeoczenie, rząd i partia powinny się przyznać do popełnionego błędu i jak najrychlej go naprawić. Należy bez dalszej zwłoki zrewidować plany zatrudnienia, młodzieżowego funduszu płac i programów szkolenia. W przeciwnym wypadku — co sygnalizują już nowe wieści z kraju odnośnie tych, co w tym roku pokonczyli szkoły — ilość młodzieży „zbijającej bąki i szlifującej braki“ będzie nadal rosta.

Tadeusz Podgórski

PARTIA PRZED CZYSTKĄ IDEOWĄ?

(FEI) W Warszawie mówi się ostatnio, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR) nie ma już rzekomo większych trudności z rekrutacją członków. Blisko 10-letnia odbudowa organizacyjna tej partii, po jej „załamaniu się“ w jesieni 1956 roku, została w zasadzie zakończona. PZPR liczy przeszło 1,800.000 członków i do końca bieżącego roku jakoby łatwo może powiększyć swe szeregi do 2 milionów, jeżeli będzie kontynuować politykę otwartych drzwi.

Przeciwko tej polityce wypowiada się szereg członków KC PZPR. Ma ona swoich zwolenników także w Politbiurze. Twierdzą oni, że warunki przyjęcia i stażu muszą być usztywnione, ponieważ dotychczasowy werbunek odbywał się dość chaotycznie. Nie zwracano uwagi na postawę ideową przyjmowanych kandydatów, przeskakiwano przepisy i różne formalności. W partii znalazło się dużo elementu nieideowego, z którego musi się oczyścić jej szeregi. Dotyczy to głównie większych miast i ośrodków przemysłowych. • W mniejszych miastach i na wsi liczba zwerbowanych członków w ostatnich latach nie jest wielka.

Zwolennicy przeprowadzenia czystki „ideowej“ wypowiadają się także za

zaostrzeniem dyscypliny partyjnej, która uległa mocnemu rozluźnieniu. Wielu członków i kandydatów lekceważyło obowiązki partyjne, nie chodziło na zebrania komórek partyjnych i tak zwane zebrania otwarte, przeważnie szkoleniowe, dostępne dla całej załogi danego zakładu. Zebrania te traktuje się powszechnie jako nudną formalność.

„TREFNE“ TEMATY DYSKUTUJE SIĘ PRYWATNIE

Dotąd w dziennikach i czasopismach partyjnych nie ma potwierdzenia, że w PZPR dyskutowane są te sprawy. Nie ukazują się również krytyczne artykuły lub sprawozdania, z których wnosić by można, że PZPR znajduje się w przededniu jakichś czystek. Od kilku lat zresztą sprawy wewnętrzno-partyjne stały się „trefne“ dla redakcji pism komunistycznych w Polsce. Jeżeli ukazywały się nieraz na ten temat informacje, dotyczyły jedynie prowincjonalnej komórki partyjnej lub organizacji partyjnej w jakiejś fabryce czy zakładzie pracy. O „skreśleniu“ i „wydaleniu“ członków z partii, a więc przeprowadzonej czystce, informowano w krótkich komunikatach, przeważnie dwa razy w roku, podając stan liczebny partii, liczbę przyjętych kandydatów i wydalonych członków.

Niemniej jednak „trefne“ tematy, o których nie pisze prasa partyjna, dyskutowane są prywatnie. Mówi się o nich przy różnych okazjach i spotkaniach. Po jakimś czasie stają się one publiczną tajemnicą. Należy więc przypuszczać, że nadchodzące z Warszawy informacje o możliwości jakiejś większej czystki w PZPR, zostaną po pewnym czasie potwierdzone oficjalnie na łamach gazet partyjnych. Nie może to być jednak czystka „ideowa“, z czego zdaje sobie sprawę kierownictwo partii. Taką czystką musianooby objąć przynajmniej 1/3 członków. Również warunki przyjęcia do PZPR nie mogą być poważnie zastrzone czy usztywnione, gdyż problem rekrutacji nie przedstawia się tak różowo, jakby tego życzyło sobie kierownictwo partii.

W pierwszej połowie bieżącego roku, o czym informowała niedawno „Trybuna Ludu“ (nr. 223), zwerbowano do PZPR ponad 91.000 kandydatów, z czego około 42.000 robotników. W tym samym czasie odeszło z partii lub zostało wyrzuconych przeszło 22.200 osób. Jaki procent wśród nich stanowili robotnicy — „Trybuna Ludu“ nie ujawnia. Z jej komunikatu dowiadujemy się, że PZPR liczy 1.848.037 członków i kandydatów. Ale znowu pismo to nie podaje, jak przedstawia się obecnie skład socjalny partii czy jaki procent stanowią w jej szeregach robotnicy.

„7 DNI ŻYCIA“

W 1961 r. „Tygodnik Powszechny“ ogłosił konkurs na temat: „Tydzień mojego życia“ Warunkiem konkursu było spisanie autentycznego dziennika z dowolnie wybranego tygodnia. Dziennik ten miał „dawać obraz wszystkiego, co autor robił, myślał i przeżywał w czasie siedmiu dni“, a więc „zarówno mikrowydarzenia dnia, kronikarsko odnotowane w tym dokumencie, jak i myśli, refleksje, komentarze, wszystko co akurat w tym dniu przyszło piszącemu do głowy i serca“.

Oddźwięk na apel był duży. Nadeszło 406 prac konkursowych, które drukowane były na łamach „Tygodnika“, wywołując żywe reakcje wśród czytelników, listy skierowane do autorów, dyskusje, a nawet stawały się sposobem nawiązania znajomości za pośrednictwem inicjatora konkursu „Spodka“ (Marka Skwarnickiego).

44 spośród tych dzienników opracował „Spodek“, wydając je w 1965 r. w postaci książki pt. „7 dni życia“. Dzienniki te ułożone zostały w grupy, według wieku autorów: Poranek — Około Południa — Południe — Ku Wieczorowi.

I. grupę rozpoczyna 16-letni uczeń Samuel, „Na stacji był przyjaciół“, a ostatnią kończy Antonina (lat 69), krótkim dzienniczkiem pt. „Różowe jutro“.

Przesuwają się przed nami fragmenty życia 44 osób; 40 z nich żyje w Polsce, 4 poza jej granicami (Francja, Szwecja, Hiszpania i U.S.A.).

Co jest w nich wspólnego? — Obawa wojny atomowej i bezradność wobec owikłań politycznych świata przewija się wśród notatek dojrzałego pokolenia. We wszystkich niemal widać pozytywną postawę wobec religii. Wśród młodzieży problem niewystarczających stypendiów i związana z tym konieczność zarobkowania i kombinowania, niełatwa dla wchodzących w życie. Przyjaźń gra w grupie młodzieżowej dużą rolę, jak również ambicja osiągnięcia czegoś, nie w dziedzinie materialnej jednak, chodzi tu raczej o znalezienie właściwej drogi i możliwość wypowiedzenia się w swym działaniu. Jest i miłość — nieśmiała i mnikająca nawet tego słowa, które brzmi zbyt patetycznie. Czasem kamieniem u szyi bywa ojciec, pijak i awanturnik, budzący pogardę.

Wśród dojrzałego pokolenia mowa jest często o ciężkim wysiłku pracy zarobkowej obojga małżonków, co w połączeniu z wychowywaniem dzieci i trudnościami w zaopatrywaniu rodziny w żywność i odzież jest ciężkim trudem. Na brak czasu na własne życie, poświę-

cone swemu rozwojowi intelektualnemu czy artystycznemu, skarży się wielu pamiętnikarzy. „Jest bardzo późno. Szkoda. Zawsze mi szkoda dnia, który się kończy. Dnia, w którym zaledwie w minutach mogę wyrazić odcinek czasu, mój własny, „prywatny“... Zawsze się cieszę na taki wolny „mój“ czas, cieszę się, jak pijak na wódkę. Ale najczęściej — kiedy się chce napić tego czasu, knajpa dnia jest zamknięta“, — pisze Józef (lat 28) w dzienniku pt. „Na ulicach jest ciemno“.

Przemęczenie i trudności życiowe są przyczyną kłótni wśród małżeństw, które znajdują uczciwe odzwierciedlenie w dzienniczkach. Kończą się zwykle obustronnymi ustępstwami.

Życie rodzinne i dzieci, dla których średnie pokolenie podejmuje na nowo swój trud, są wielką radością i odbija się ona w notatkach. Ale w związku z przyszłością dzieci spotyka się także refleksje: „...rozmawialiśmy dzisiaj o tzw. „naszych czasach“. O dalszym ścieraniu się z człowiekiem i tak już nie słychanie cienkiej powłoki szlachetności, miłości, dobroci... Przeżyłem okupację jako mały chłopak, ale tamte sprawy zbyt są dla mnie świeże, bym mógł zapomnieć, że istnieją w drugiej połowie wieku atomowego; że nad głową mojej córki wisi bomba iluś tam milionów ton trotylu, że uderzyć może wskutek pomylki mózgu elektronowego. Najgorsza jest bezsilność i konieczność“.

Dojrzałe pokolenie ma również i bliższe troski. W dzienniku Alicji (lat 32) pt. „Jutro będzie lepiej“ czytamy: „Wyobraź sobie (mówi mąż), że ta cenna aparatura, o której ci opowiadałem w zeszłym tygodniu, już jest uszkodzona. Jakiś bałwan zaczął ją uruchamiać, oczywiście nie chciało mu się przestudiować przedtem instrukcji, pokreślił gałkami tak „na wyczucie“, spalił lampy i urządzenie djabli wzięli. Chwila nieuwagi i strata 300.00 zł. Taki piękny, precyzyjny instrument! Można stracić w ogóle ochotę do pracy, gdy się widzi jak inni pracują!“

Inny wrzód, który zatruwa organizm życia społecznego w Polsce, odsłania Włodzimierz (lat 67). Po kilkunastu latach wydajnej pracy w przedsiębiorstwie, po wybudowaniu dla niego biur i magazynów, w którą-to budowę włożył „całe doświadczenie, całą pasję i wiedzę“, zostaje wezwany do „naczalstwa“, które wyraża mu „pełne uznanie“. Przedsiębiorstwo zwiększyło dzięki niemu dwukrotnie obroły, rezultaty jego pracy mówią same za siebie... Ale

cóż zrobić? Muszą się z nim rozstać. „Siła wyższa. Poza tym o dwa lata przekroczona granica wieku“. „Cały zaś smaczek tego wypowiedzenia tkwi w tym, że: primo: do uzyskania prawa do renty brakuje mi dwa i pół roku; secundo: jestem inwalidą wojennym; tertio: zwolnienie może nastąpić tylko za zgodą ministra właściwego resortu i quarto: posiadam na piśmie gwarancję powrotu do Wydziału, w razie, gdyby mi praca na tym stanowisku nie odpowiadała.“ Otóż najciekawsze, że żadnego z w/wym. punktów nie brano pod uwagę — pisze autor dziennika pt. „Gorycz“. Aby ominąć wszystkie wymienione przez niego punkty, „naczelstwo“ prosiło, aby zachował dyskrecję i głosił wszędzie, że stan zdrowia nie pozwala mu na dalszą pracę i że sam prosi o zwolnienie.

Tu leży sedno sprawy i punkt wyjścia dalszych moich rozważań. W państwie totalitarnym, rządzonej monopartyjnie, żadne gwarancje nie mają wartości. Społeczeństwo, wraz ze wszystkimi instytucjami regulującymi jego życie, zostaje nakryte szczelnym kloszem monopartii. Wszelka sprawiedliwość zostaje spod klosza wypompowana. Prawa i sądy nie służą bowiem sprawiedliwości ale partii, a bardzo często po prostu ich prywatnym celem. Społeczeństwo traci grunt pod nogami, nie znajduje żadnej ochrony przed ciosami, które mogą uderzyć w każdej chwili, ciosami — nie do odparowania.

W tych warunkach jest rzeczą naturalną, że każdy członek społeczeństwa, żyjąc w równowadze chwiejnej, niepejny jutra, obojętnie na losy innych ludzi, z własnym mając dosyć kłopotu.

I dlatego zdumiewające jest zjawisko, które nastąpiło po wydrukowaniu w „Tygodniku Powszechnym“ dziennika Ewy (lat 34) pt. „Ból“. Ewa jest ciężko chora. Po dwóch nieudanych operacjach cierpi tak, że zatrzuwa się narkotykami i prosi Boga, jeśli już musi umrzeć młodo, „o łaskę śmierci skrytej, nocej“. Kilka stron jej pamiętniczka — to bezustanna skarga na cierpienie i na trucizny, które brane nieustannie nie mogą zabić bólu. Po przeczytaniu pamiętniczka myślimy ze współczuciem, że Ewa dostąpiła już chyba łaski śmierci. Otóż nie. Marek Skwarecki mówi nam, że żyje i pracuje. Została wyleczona przez lekarzy, którzy zaryzykowali jeszcze raz próbę.

Ale przywrócenie Ewie życia, to potrosze dzieło wielu jeszcze osób: rodziny, przyjaciół, którzy wpłynęli na jej decyzję powrotu do szpitala, urzędników i kolegów z pracy, którzy umożliwili jej powrót do warsztatu tej pracy po długiej chorobie, jak również ponad dwustu osób, które po przeczytaniu jej pamiętniczka nadesłały listy, zagraniczne lekarstwa, pieniądze itp.

Drugim świadectwem, że współczucie jest jeszcze ciągle żywe w społeczeństwie polskim — jest „Hiob“ (Ludwik). „Hiob“ jest garbatym karłem, o krzywych nogach i długich rękach. Budzi obawę i wywołuje naiwne, głośnie uwagi wśród dzieci, kpiny gawiedzi, współczucie u dorosłych, przed którym się broni: „...szukałem spojrzaniem wśród przechodniów młodych, ładnych, zgrabnych dziewcząt i młodych chłopaków. Sycę oczy widokiem tego, czego nigdy nie miałem... Kocham młodość z jasnymi loczkami i młodość w obcisłych spodniach, długonogą, rozwichrzoną. Szukam na twarzach młodzieży serdecznego, słonecznego uśmiechu przeznaczonego dla mnie. Bez kpiny, bez złośliwości, chamstwa, a także bez litości, która dławi w gardle. Czasem — znajduję. Karmię się tymi uśmiechami, jak witaminą!“

„Hiob“ otrzymał wiele listów i nie jest już tak samotny, wiedząc, jak wielu ludzi interesuje się nim serdecznie.

Ubogie są te dzienniczki ludzi zamkniętych w szarej codzienności walki o byt. Są sprawy, które na pewno bardzo ich poruszają, o których jednak nie wolno im mówić publicznie. Świadczą jednak te notatki o tym, że żyjąc swym szarym życiem w małych komórkach rodzinnych związań są religią z całym światem chrześcijańskim, pracą — ze społeczeństwem. To drugie powiązanie uderza zwłaszcza w drugiej części książki, jak np. w tekstach: „W biurze projektów“, „Przy operacyjnym stole“, „Na budowie“, „Za kierownicą“, „W centrali“.

Książka stanowi, zdaniem inicjatora konkursu, „mały dokument społeczny“, bo daje wycinkowy wprawdzie i przypadkowy, a jednak interesujący obraz życia społeczeństwa w kraju.

ZAMYKAJĄC książkę pomyślałam, o ile bogatszy byłby wynik takiego konkursu, ogłoszonego przez któreś z pism emigracyjnych. Nie tylko dlatego, że tutaj ludzie mogliby się wypowiedzieć szczerze, ale również i dlatego, że Polacy rozrzucony są po wszystkich kontynentach, żyją w dziesiątkach bardzo odmiennych krajów, w tak rozmaitych klimatach, wśród tylu narodów, pracują w tak różnych, dziwnych nieraz zawodach, że dzienniki takie, uczciwie napisane, powiedziałyby nam naprawdę wiele.

Było wiele emigracji polskich, żadna jednak nie zostawiła po sobie tego rodzaju dokumentu. Może jednak warto byłoby spróbować?

Krystyna Brzozowska

Próba ta zostanie podjęta. Redakcja „O.B.“ porozumiała się z Autorką artykułu, prosząc o przygotowanie ram i rysu „Konkursu Przeżyć i Myśli“ Polaków, żyjących poza Krajem.

HANDEL POLSKI Z KRAJAMI BLOKU SOWIECKIEGO

(FEI) Polska utrzymuje obecnie stosunki handlowe ze 144 krajami. Najpoważniejszymi partnerami w wymianie handlowej — jak informuje warszawska „Dokumentacja Prasowa“ — są kraje należące do tzw. Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG), a więc Bułgaria, Czechosłowacja, Mongolia, Niemcy Wschodnie, Rumunia, Węgry i Związek Sowiecki. W roku 1965 — stwierdza pismo — obroty Polski z tymi krajami osiągnęły 11 miliardów 55 milionów złotych dewizowych, to jest 60 procent całości polskich obrotów z zagranicą.

Główną pozycję zajął Związek Sowiecki — 6 miliardów 39,2 miliona zł dewizowych. Drugim z kolei czołowym partnerem Polski była Czechosłowacja — 1 miliard 810,2 mln zł dewizowych, trzecim zaś — Niemcy Wschodnie — 1 miliard 698 mln zł dewizowych. Wartość obrotów z Węgrami wyniosła 766,5 miliona zł. dew., z Bułgarią — 338,8 mln. zł. dew., z Rumunią — 321,9 mln. zł. dew., a z Mongolią — 34,6 mln. zł. dewizowych.

Ogólna wartość obrotów towarowych z tymi krajami wyniosła w latach 1961-1965 ponad 45,9 miliarda zł. dewizowych. W okresie tym ujemne dla Polski było saldo w obrotach surowcami, paliwami i materiałami do produkcji. Przekroczyło ono sumę 2 miliardów 741 mln. zł. dew., nadwyżka zaś w wymianie przemysłowych towarów konsumpcyjnych — tylko 878,6 mln. zł. dew.

„W polskich warunkach — stwierdza cytowane czasopismo — możliwości wyrównania ujemnego salda istnieją tylko przez wzrost eksportu maszyn i urządzeń fabrycznych oraz artykułów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego. Takie są też zadania handlu zagranicznego Polski na następne lata. Dominującą rolę w eksporcie polskim maszyn, urządzeń fabrycznych i środków transportu odgrywają trzy pozycje: tabor kolejowy, statki i kompletne obiekty przemysłowe, natomiast zbyt niski jest udział w wywozie tzw. masówki maszynowej — obrabiarek, aparatury laboratoryjnej i przemysłowej, narzędzi, urządzeń, sprzętu technicznego itd.“. Czasopismo zapowiada, że według założeń planu obecnej 5-latki „w latach 1966 udział maszyn i urządzeń fabrycznych w eksporcie do krajów-członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej zwiększy się do około 56 procent“.

Czytaj książkę polską

PODWYŻKA CZYNSZU I WZROST REALNYCH PŁAC, czyli NADUŻYWANIE CIERPLIWOŚCI MAS PRACUJĄCYCH

W DNIU 14 sierpnia ub. roku reżymowa rada ministrów wydała rozporządzenie o zmianie czynszów, które weszło w życie już po dwóch miesiącach, bo już w dniu 1 października 1965 roku i objęło wszystkie osoby zarobkujące, a zamieszkujące zarówno w domach stanowiących własność państwa jak i stanowiące własność prywatną. Dotychczasowy czynsz, obliczony na zasadzie jednego złotego za każdy metr kwadratowy, podwyższono od 2.X. do 3,70 zł. czyli o 100 do 400 procent. Za metraż w większych miastach wymierzono lokatorom dodatkowo jeszcze 10 procent, a tym, którzy posiadają ogródek 15 %.

Od podwyżki zwolniono lokatorów, zajmujących mieszkania w domach spółdzielczych, gdzie opłata za metr kwadratowy wynosiła już przeciętnie 5 złotych oraz tzw. „tymczasowe pomieszczenia“, tj. różnego rodzaju ubikacje w piwnicach i na strychach, używane na cele mieszkaniowe.

Dla uspokojenia tych wszystkich, dla których nowa podwyżka czynszów byłaby stanowiła drastyczne obniżenie i tak już niskiej stopy życiowej, rozporządzenie wprowadziło tzw. „tymczasowy dodatek wyrównawczy“, jako miesięczny dodatek do zarobku. Wysokość tego dodatku była równa różnicy między starym a nowym czynszem, ale miała stopniowo ulec obniżce, w miarę jak zarobkujący uzyskał podwyżkę płacy. Przyjęto, że całkowita likwidacja dodatku nastąpi w okresie dwóch lat.

Jednak cytowane rozporządzenie zawiera również i sankcje karne, nawracające do dekretu z 1950 roku, o dyscyplinie pracy. Pracownik, który został zwolniony lub opuścił pracę bez uprzedniej zgody pracodawcy, jak również ten, który bez uzasadnionego powodu opuścił choćby tylko jeden dzień pracy, traci dodatek za cały miesiąc.

Równoległe z wydaniem rozporządzenia, prasa partyjna otrzymała i opublikowała przesłane jej z rady ministrów uzasadnienie podwyżki czynszów. Wyjaśniono, że dotychczasowe czynsze, obliczone na zasadzie jednego złotego za metr kw. pokryły tylko 25 procent kosztów, wypłacanych ze skarbu państwa na utrzymanie domów i ulepszenie warunków mieszkaniowych. W roku 1965 np. wydatki na ten cel obliczono na 4,9 miliarda złotych. Wydatki te, tak wyjaśniono, w dalszym ciągu wzrastają, bo

comy wymagają coraz to większych napraw, a ponadto skarb nie posiada dostatecznych środków na techniczne ulepszenia. Jednak teraz, tak zakończyła swoje komentarze prasa, gdy skarb państwa nareszcie otrzyma potrzebne fundusze, lokatorzy będą niedługo świadkami, jak naprawa ich mieszkań ruszy z miejsca.

Po 14 sierpnia rady narodowe zabrały się gwałtownie do pracy nad obliczeniem zajętego przez lokatorów metrażu, bowiem w ciągu tylko 6 tygodni miały dostarczyć zakładom pracy podstawy do „tymczasowego dodatku“. Prace cechowała często już spotykana chaotyczność jak również i dobrze znana biurokratyczna arbitralność. Nowe rozporządzenie uprawniało zastosowanie wyższych stawek, jeśli lokator korzystał z komfortu, obojętnie czy stworzył go sobie własnym kosztem. Takim komfortem jest np. łazienka czy prysznic. Protesty lokatorów, którzy zwracali uwagę, że oni już się przyczynili do ulepszenia stanu budynków, nie odniosły żadnego skutku.

Należy stwierdzić, że czynsze płacone przed podwyżką były istotnie za niskie, ale utrzymywano je celowo na tak niskim poziomie dla celów propagandowych. Delegacjom zachodnich związków zawodowych przedstawiano ten fakt, jako jedno z ważnych osiągnięć rządu ludowego, który zlikwidował wyzysk mas pracujących przez kamiecników-kapitalistów. Wprowadzano ich do wzorowego mieszkania, w nowo wybudowanych domach, najczęściej do mieszkania dozorczy domy, korzystającego ze specjalnych przywilejów, ale nie pokazywano im takich np. mieszkań, o których na dwa tygodnie przed wydaniem wspomnianego rozporządzenia, bo w dniu 3 sierpnia 1965 r., pisało paxowskie Słowo Powszechne: że „nowe zasady oszczędnościowe zastosowane w budownictwie mieszkaniowym, obniżyły standart mieszkań. M.in. w nowych mieszkaniach urządzają się dla tuzina ludzi jedną toaletę, wspólną łazienkę i wspólną kuchnię.“

Po roku

Entuzjazm prasy partyjnej o zmianie rewolucyjnej w dziedzinie napraw i ulepszenia technicznego mieszkań, wyrażony w ubiegłym roku nie trwał długo, zwłaszcza, że już w czasie dokonywania nowych wymiarów metrażu wpływały

do redakcji protesty pokrzywdzonych. Ale i te, z dobrze znanych powodów, szybko ucichły. Jednak po roku, widocznie pod naciskiem członków partii, z którą partia musi się liczyć, sprawa wypłynęła na nowo. Powstało pytanie, w jaki sposób fundusze z podwyższonych czynszów zostały użyte i gdzie jest zapowiedziane tak głośno wykonawstwo. Na pytanie odpowiedział Głos Pracy, w dwóch artykułach, z 18 i 26 sierpnia br. Warto przeto zapoznać się z ich treścią:

Pod nagłówkiem „Z pozycji lokatora“, autor stwierdza, że lokatorzy stali się niecierpliwi. Przed rokiem mówiono im, że gdy tylko podwyższone czynsze zaczną wpływać do skarbu państwa, to polityka konserwacji domów ulegnie zasadniczej zmianie. Mieli zresztą prawo być optymistami, bo już przez trzy lata przed podwyżką czynszów, administracje domów pracowały nad szczegółowym planem, w jaki sposób i które mieszkania korzystać będą z napraw. Ale po roku lokatorzy czują się zawiedzeni. Reforma czynszów nie przyniosła zmian. A więc co się stało?

Autor przytacza szereg przyczyn, które zresztą nie są wcale nowe. Stwierdza, że od 20 lat gospodarkę mieszkaniową pozostawiono na marginesie w całkowitej polityki gospodarczej państwa. Tymczasem wprowadzono rygorystyczne limity w funduszu płac, a zatem ograniczono liczbę zatrudnionych przy naprawie budynków ludzi. Odeszli lepsi rzemieślnicy (którzy jak wiadomo pracują na własną rękę), a pozostali tylko patałachy i partacze. Podczas gdy w innych dziedzinach gospodarki niskie zarobki dniówkowe uzupełniają premie za zwiększoną produkcję lub punktualne wykonanie planów, „naprawiacze“ z premii nie korzystają i pracują według własnej zasady „czy się stoi, czy się leży dniówka się należy“. Na dowód autor przytoczył ekipę malarzy, którzy w styczniu br. rozpoczęli malowanie klatki schodowej w domu przeciętnej kubatury, a w końcu maja wciąż jeszcze malowali.

Inną przyczyną jest brak materiałów. Jak zwykle, odpowiedzialne czynniki usiłują tłumaczyć ten fakt złą dystrybucją. A materiały może i są, ale zarządzają nimi magazynierzy, których płaca wynosiła do niedawna 1.200 zł. miesięcznie. Teraz mają otrzymać od 1.400 do 1.800, ale nie należy zapomnieć, że dy-

sponują oni dobrem społecznym wartości milionów złotych. Trudno się dziwić, by wykazywali większe zainteresowanie dobrem społecznym i wymagać od nich cnoty moralności. Podobnie jest z administratorami domów miejskich, których płaca wynosi od 1.800 do 2.300 miesięcznie, a o których się mówi, że mają pokaźne uboczne dochody. Wreszcie ważną osobą są również dozorycy jednego lub kilku domów, którym pobory podniesiono ostatnio o ...120 zł. miesięcznie.

Remontowcom podobno przyznano teraz premie od 30 do 40 procent płacy dniówkowej. Ale przecież są to ci sami, którzy malują klatkę schodową przez pięć miesięcy. Miliony złotych, kończy autor artykułu, wpłacone w postaci dwu i czterokrotnie podwyższonych czynszów, wpływają od roku na konta bankowe, przeznaczone na naprawę domów. Leżą tam bezużytecznie, bo nie ma żadnej możliwości, by mogły być użyte na cel, na który je się ściąga.

„A gdy się nacieszą“, taki nagłówek nosi drugi artykuł. Mówi o tych, którzy od wielu lat czekali na przydział mieszkania i wreszcie je otrzymali. Ale niedługo się cieszyli, bo np. w Katowicach wprowadzili się do reklamowanych w Trybunie Robotniczej wieżowców „Gorni“ i „Bederowiec“. Zastali tam niedomykające się okna i drzwi, przeciekające kranie, wadliwą instalację elektryczną, źle położone posadzki i odpadające w mieszkaniach tynki.

Zaalarmowano władze, ale od wielu miesięcy lokatorzy czekają na usunięcie braków. Niektórzy naprawiają je sami, płacąc w tym samym czasie podwyższone czynsze za komfort, za który zapłacili z góry, kaucją. Braków nie usunęto, ale nie zwrócono im również i kaucji.

Z innych województw napływają podobne alarmy. Drzwi i okna wykonane zostały najczęściej ze świeżego, jeszcze mokrego, drzewa. Lokatorzy skarżą się na przecieki wodno-kanalizacyjne i centralnego ogrzewania. Z województwa wrocławskiego lokatorzy biją na alarm, bo gdy spadnie deszcz, wtedy woda leje się przez wszystkie kondygnacje. W Zgorzelcu, w nowych blokach mieszkalnych i w tzw. hotelach robotniczych istnieje wadliwa instalacja gazowa, grożąca wybuchem gazu. I tu za ten komfort lokatorzy zapłacili już z góry kaucje, której im nie zwrócono. W nowych domach, na skutek pęknięcia rur instalacji sanitarnej, potworzyły się zacieki, a mieszkańcy czekają beznadziejnie na przybycie ekip remontowych.

Podwyżka płac

W związku z ogłoszeniem z dniem 1 sierpnia podwyżki płac dla najmniej zarabiających, obserwatorzy zachodni przyjeżdżają ten fakt, jako rzecz niezwykłą. Uzasadnienie podwyżki, że była ona

możliwą dzięki lepszej sytuacji gospodarczej i wykonania planu w roku bieżącym, przyjęto jako dobrą monetę. Wyjaśnienie, że wyniesie ona od kilku do 12%, a minimalna płaca wzrośnie z 750 do 850 zł. przedstawiają jako jakiś „wielki skok“. Nikt nie przypomniał sobie zeszłorocznej podwyżki czynszów, cytowanej przez nas wcześniej, która wyraźnie tłumaczyła, że tzw. „tymczasowy dodatek mieszkaniowy“ ulegać będzie obniżeniu, w miarę jak obciążony podwyżką czynszu uzyska podwyżkę zarobku. A zatem z ostatnio przyznanej podwyżki płac, skreślona zostanie, tak należy przyjąć, połowa tego dodatku; drugą połowę skreśli się przy następnej podwyżce płac. W rezultacie ma miejsce zamrożenie zarobków na okres dwóch lat. Fakt, że takie skreślenie będzie miało miejsce potwierdził Józef Kulesza, zastępca Logi-Sowińskiego, w wywiadzie udzielonym prasie, w dniu 14 sierpnia br.

Jednak równoległe z podwyżką zarobków, podwyższone zostały ceny za niektóre towary spożywcze, jak np. ryby i

papierosy. Żato obniżono cenę tłuszczu wieprzowego o 5 złotych na kilogramie oraz za aparaty telewizyjne, które wyprodukowano „na wyrost“.

Ale jeśli przyjmujemy, że z ostatnio uchwalonej podwyżki istotnie coś jeszcze zarobkującemu pozostanie, to odda różnicę „dobrowolnie“ na fundusz mileńjny budowy szkół albo na „fundusz solidarności dla walczącego Wietnamu“.

Zapomniano Poznań i politykę reżymu, która doprowadziła do reakcji mas pracujących. Usiłowania odpowiedzialnych za rozruchy członków władz centralnych i związków zawodowych, by wypadkom nadać charakter dywersji, przygotowanej przez agentów imperialistycznych zdementował wtedy Gomułka twierdząc, że takie oskarżenie było nonsensem. Kategoriecznie stwierdził, że „wina leżała w samej partii i w rządzie“. Dzisiaj, po 10 latach, pod jego egidą, powtarza się ta sama polityka nadużywania cierpliwości mas pracujących.

W.Opolski

ANDRZEJ STUPEŁKOWSKI

BUDŻET CZASU

Ciekawe wyniki ankiety Europejskiego Ośrodka Koordynacji Badań i Dokumentacji Nauk Społecznych

Ile czasu zużywa przeciętny mężczyzna na pracę zawodową, dojazdy, na sen, na jedzenie, na gospodarstwo domowe i życie rodzinne, na rozrywki, na doszkadzanie zawodowe...?

Oto pytania postawione obywatelom 10-ciu krajów europejskich i USA w ankiecie socjologicznej, której wyniki omawiane były na światowym Zjeździe Socjologów w Evian we Francji, który odbył się we wrześniu br. Z inicjatywy francuskiego Instytutu Statystyki i Studiów Ekonomicznych, oraz Europejskiego Ośrodka Badań i Dokumentacji Nauk Społecznych przeprowadzono w roku ubiegłym szereg badań ludności w możliwie typowych średnich miastach zamieszkałych przez ok. 100 tys. osób. Jeśli chodzi o Polskę wybór padł na Toruń, gdzie na pytania postawione w ankiecie odpowiedziało 2765 osób reprezentujących typ przeciętnego pracującego Polaka.

Wyniki ankiety omówione na łamach „Życia Warszawy“ przedstawiają się zaskakująco:

Praca zawodowa

Jeśli wierzyć socjologom, to najdłuższą pracują Węgrzy, bo aż 50 godzin tygodniowo (kobiety 42,5), a najkrócej Amerykanie — 42,5 godz. tygodniowo (kobiety 33) i rzekomo Rosjanie (42,5 i 40 godz. tygodniowo)! Polska znajduje

się pośrodku: przeciętna dla mężczyzn wynosi 46 godzin, a dla kobiet 40 godz.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w krajach pod rządami komunistycznymi kobiety pracują o wiele dłużej niż na Zachodzie. Także pięciodniowy tydzień pracy jest „luksusem“ w krajach komunistycznych, gdyż korzysta z niego zaledwie 10 % pracujących, podczas gdy w Ameryce i Niemczech Zachodnich stanowi niemal regułę dla połowy pracowników ankietowanych. W pozostałych krajach pracuje się na ogół pięć i pół dnia w tygodniu.

Dojazd do pracy

Pod tym względem sytuacja w Polsce w porównaniu z innymi krajami wygląda najgorzej. W miarę rozrostu miast, postępu deglomeracji itp. zwiększa się ilość czasu przeznaczona na dojazdy do miejsca pracy, przy czym przeciętna waha się tu wokół 1 godziny dziennie. W Polsce natomiast czas spędzony na dojazdach dochodzi nierzadko do 3 godzin dziennie, wobec słabo rozwiniętej sieci komunikacyjnej i braku własnych środków lokomocji. W tej dziedzinie różnice między krajami komunistycznymi, a Zachodem mówią same za siebie. W Europie zachodniej niemal co drugie gospodarstwo domowe posiada własny samochód, w Stanach Zjednoczonych każde, (często dwa) — podczas gdy w najbar-

dziej „zmotoryzowanym“ państwie komunistycznym tj. Czechosłowacji przypada 1 samochód na 6 rodzin. W Toruniu co 25-ta rodzina dysponuje własnym samochodem. Różnice są mniej jaskrawe jeśli chodzi o wyposażenie w rowery i motocykle.

Sen i posiłki

Trudno się dziwić, iż Polacy w Kraju mają „słabe nerwy“. Dojeżdżając długo do pracy i to w najgorszych warunkach, siłą rzeczy ograniczają czas przeznaczony na spoczynek, do niepełnych 7,5 godzin na dobę (wraz z posiłkami 9,3 godz.). W porównaniu z tym Belgiem i Francuzi śpią przeciętnie ponad 8 godzin na dobę. W krajach komunistycznych nie ma czasu na jedzenie, względnie jedzenie jest tak mało urozmaicone, że się nie poświęca tej czynności zbyt wiele czasu, bo zaledwie niecałą godzinę na dzień. Oczywiście rekordy w tym biją Francuzi-smakosze, bo przy stole spędzają minimum godzinę i 45 minut dziennie.

Czas wolny

Tutaj przeciętny Polak nie odbiega od innych narodowości: 4,8 godzin na dobę, czyli tyle ile przeciętny Czech, Niemiec, Amerykanin i obywatel ZSRR. Nieco mniej czasu wolnego mają Francuzi, Węgrzy i Bułgarzy.

Jeśli chodzi o to, co kto robi z wolnym czasem — to np. we wschodniej Europie poświęca się o wiele więcej czasu na dokształcanie (pół godz. dziennie w Polsce, 45 min. w ZSRR), podczas gdy we Francji i w USA zaledwie kilka minut dziennie. Ale za to Niemcy i Rosjanie biją wszystkich pod względem uprawiania sportu. Największe niespodzianki czekają nas jednak w odniesieniu do czytelnictwa. Otóż Polak, Amerykanin, Rosjanin i Belg spędzają na lekturze 54 minuty dziennie — przeciętny Francuz poświęca na to tylko ... 5 minut! Na 100 mieszkań francuskich 28 nie posiada ani jednej książki!

Najwięcej czasu poświęca się bezsprzecznie na radio i telewizję. Tutaj górują Amerykanie (2 godz. dziennie), natomiast Polacy spędzają przy głośnikach, lub przed ekranem telewizora ponad półtorej godziny. Wyposażenie w aparaty radiowe i telewizyjne kształtuje się w Polsce na poziomie zachodnio-europejskim, a więc na 100 gospodarstw domowych 93 posiada odbiornik radiowy, a 61 telewizyjny. (We Francji cyfry te wynoszą odpowiednio 95 i 67). Oczywiście nie są to dane odnoszące się do całości wyposażenia krajowego, lecz jedynie do miejscowości, w których przeprowadzono ankietę. Niemniej kilka danych zaczerpniętych przez korespondenta „Życia Warszawy“ z raportu Ośrodka Koordynacji Badań daje wiele do myślenia.

Nie zawadzi wspomnieć, iż na Kongresie Socjologicznym w Evian przewodniczącym Międzynarodowej Organizacji Socjologów wybrano Polaka, prof. J. Szczepańskiego, znanego i cenionego socjologa z Uniwersytetu Warszawskiego. Innym polskim uczestnikiem konferencji był dr Leopold Łabędz z Londynu, redaktor kwartalnika „Survey“ i wybitny specjalista z dziedziny socjologii politycznej krajów komunistycznych.

Andrzej Stypułkowski

P. Z. P. R. PARTIA URZĘDNIKÓW STAŁE KŁOPOTY Z WERBUNKIEM ROBOTNIKÓW

Widocznie skład socjalny PZPR pozostawia dużo do życzenia. Jak wiadomo podczas „rewolucji“ październikowej w 1956 roku i po powrocie do władzy Gomułka szeregi PZPR rozleciały się niemal zupełnie. Pozostali tylko urzędnicy prowincjonalnej administracji państwowej, kierownicy i biurokracja sektora gospodarczego i duża jeszcze masa elitarnych pracowników partii. Zwłaszcza ta ostatnia grupa, która — wykorzystując swoje wpływy — żyła w okresie stalinowskim bardzo dobrze, kurczowo trzymała się „władzy“. Przeprowadzane wśród niej „popaździernikowe“ redukcje i czystki objęły niewielki procent długoletnich aparatczyków.

Pierwsze informacje o stanie organizacyjnym partii („Nowe Drogi“, lipiec 1957 r.) potwierdzały wówczas, że — „robotnicza“ partia przerodziła się w partię urzędników. Wśród delegatów na konferencje wojewódzkie PZPR — jak podawał wspomniany miesięcznik — było „średnio“ 76,7% „pracowników umysłowych“, zaledwie 10,4% robotników i 4,6% chłopów. Przeprowadzona rekrutacja pod kątem poprawy składu socjalnego partii częściowo tylko zmieniła ten stan rzeczy. Zarówno w 1958 roku, jak w latach następujących do PZPR nie powróciło wiele tysięcy robotników, którzy opuścili jej szeregi w jesieni 1956 roku. Z werbunkiem robotników i chłopów partia miała i ma nadal poważne kłopoty.

„LEWY NURT“

Zbiór rozpraw i artykułów, pod redakcją dr. Józefa Żmigrodzkiego. Piszą: Adam Ciołkosz, Sk. J., Władysław Diamand, Irena Szymowicz, Tadeusz Podgórski, Jerzy Smulski, Lidia Ciołkoszowa, Dawid Klin, Józef Żmigrodzki, Stanisław Borezyk, Stanisław Górka, Bronisław Marczak, Benedykt Heydenkorn, Alfred Urbański, Wiktor Romanow-Głowacki i Jan Kleszcz.

Wydawnictwo Centralnego Komitetu PPS. Adres redakcji i administracji: 9, Balmuir Gardens, London, S.W.15. Cena egzemplarza 10 sh., 7 F, 1,50 dol. Wysyła po otrzymaniu należności.

KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W.7.

Great Britain.

B.D.I.C

POLSKA KSIĄŻKA

W POLSKIM DOMU:

- to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,
- to kulturalna rozrywka i odpoczynek,
- to najlepszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

POLSKIE PISMO

W POLSKIM DOMU:

- to najlepsza łączność z polskim życiem,
- to jedyny kontakt z rodakami w całym świecie,
- to polskie okno na świat i jego sprawy!

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest zaopatrzona we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych,
- prowadzi kolportaż wszystkich pism niepodległościowych wydawanych na emigracji,
- posiada na składzie podręczniki dla szkół nauczania przedmiotów ojczyńskich.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- jest składem głównym (na prawach wyłączności):
GRYF PUBLICATIONS LTD.,
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO
IM. GEN. SIKORSKIEGO,
POLSKIEGO TOWARYSTWA HISTORYCZNEGO W W. BRYTANII,
POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,
- jest bogato zaopatrzona w wydawnictwa krajowe.

KSIĘGARNIA S. P. K.

- zamówienia pocztowe załatwia odwrotnie,
- kołom S.P.K., szkołom i bibliotekom udziela rabatu,
- działa w oparciu o największą organizację społeczną, jaką jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Wszelkie zamówienia i wpłaty (czeki, P.O. i I.M.O. należy wystawić na: P.C.A. PUBLICATIONS LTD.), prosimy kierować na adres:

KSIĘGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,

LONDON, S.W.7.

Great Britain.

U w a g a: Przy przesyłaniu należności prosimy o podawanie numeru rachunku.

W POLSCE sprawę Katynia pokryła cisza; tak reżym jak i jego oficjalni dziennikarze nie zabierają na ten temat głosu. To słowo zniknęło nawet z „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej“, publikowanej obecnie przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe (tom V-ty z 1965 r.). Za to na Zachodzie Katyni raz po raz wypływa na powierzchnię, czy to w formie nowych opracowań, potwierdzających tezę winy sowieckiej, jak „Death in the Forest“ prof. Z. B. Zawodnego, lub najnowsza i kapitalnie opracowana książka „Le Massacre de Katyn“, której autorem jest zmarły w grudniu ub.r. prof. Henri de Monfort, czy też artykułów, starających się uniewinnić Rosjan.

Do tych ostatnich należy artykuł „Mon témoignage sur Katyn“ (Moje świadectwo o Katyniu), ogłoszony w kwietniu ub. roku w Paryżu, w popularnym miesięczniku historycznym „l'Histoire pour tous“, którego autorką jest Catherine Devilliers. Według niej nie ma najmniejszej wątpliwości; zbrodni dokonali Niemcy i Katyni jest największym i udanym fałszerstwem historycznym, jakiego kiedykolwiek dokonano.

Kim jest Catherine Devilliers? Urodziła się w 1924 r. we Francji, z ojca Rosjanina i matki Francuzki; jej właściwe nazwisko było Hacker-Anszyn. Rodzice przed wojną przyjechali do Polski i zamieszkiwali w jakimś małym miasteczku we wschodniej części kraju, gdzie Catherine miała stryja. Mówi ona oczywiście po polsku bezbłędnie. Po kampanii wrześniowej jej rodzina opotała na rzecz Sowietów i przy wymianie ludności opuściła część Polski okupowaną przez Niemców i młoda Katia (tak się sama nazywała) znalazła się w Moskwie. Po zaatakowaniu Sowietów przez Niemcy wstąpiła do armii czerwonej, gdzie podobno doszła do stopnia porucznika i po pewnym czasie przeniosła się do armii polskiej gen. Berlinga. Z grupą oficerów tej armii wyjechała zwiedzić groby w Katyniu (po zajęciu rej. Smoleńska przez armię czerwoną) i stąd jej „kompetencje“ w tej sprawie.

Po powrocie do Francji, po wojnie ukończyła studia dentystyczne i wyszła za mąż za niejakiego p. Leblanc, też dentystę. W r. 1962 wydała książkę pt. „Lieutenant Katia“, w której opisuje swe wojenne przygody. Jej stosunek do Polaków jest zdecydowanie wrogi, próbkę może stanowić następujący ustęp z tej książki: „Jeżeli chodzi o innych aliantów, okolicznościowych, to odtworzono armię polską z byłych jeńców wojennych, pod dowództwem niejakiego gen. Andersa. Ale ci wszyscy Polacy byli sukinsynami (fils de chien-

MARIAN CZARNECKI

Z N O W U

ne) i nie mieli żadnej ochoty bić się. Obiecali walczyć, gdy osiągniemy terytorium polskie i uważali, że do tego czasu należy ich utrzymywać... Na Francję nie mogliśmy liczyć, została okupowana i pozostawała bierna jak worek, mimo machinacji i inwestygacji niejakiego gen. de Gaulle'a, który zamiast pójść w podziemie dostawał kataru w londyńskiej mgle.“

Madame Anszyn-Leblanc-Devilliers (to ostatnie nazwisko jest pseudonimem literackim) bardzo wysoko oceniła swą książkę, bo posłała ją nawet do Komitetu nagrody Nobla, o czym pisała prasa francuska („Paris-Presse“ z 21.XI. 1962). Wkrótce napisała drugą książkę — „Retour à O.“ — gdzie już jest mowa o Katyniu. Miała wyjść trzecia część tej trylogii, ale na skutek kompletnej klapy drugiego tomu wydawca zrezygnował z reszty.

O Katyniu, jak pisze w swym artykule w kwietniowym numerze ub. roku „L'Histoire pour tous“, dowiedziała się w Rosji, ale mało ją ta sprawa interesowała, bo jedyny jej znajomy, a właściwie przyjaciel dzieciństwa, pdch. Zbigniew Bogucki, który był w Kozielsku, uciekł stamtąd w lutym 1940 r. i miała „pewne“ wiadomości, że w kwietniu 1941 r. był w więzieniu sowieckim w Brześciu nad Bugiem. Ponieważ według Niemców zbrodni dokonano na wiosnę 1940 r. jasne, że jej przyjaciela w Katyniu nie było. Inna rzecz, że ta „pewna“ wiadomość o pobycie Boguckiego w Brześciu pochodziła z drugiej ręki, bo od jakiejś grupy lwowskich studentów, którzy też rzekomo byli więzieni w brzeskiej fortecy i następnie zwolnieni. Autorka nie wymienia ani jednego nazwiska.

Po zajęciu Katynia przez armię sowiecką Katia Anszyn udała się tam z grupą berlingowców i ze zdumieniem stwierdziła, że na liście ofiar znajdował się jej stryj Christian A. (przypuszczalnie Anszyn) i pdch. Zbigniew Bogucki! Wszystkie wątpliwości znikają — to nazwisko jest dowodem, że zbrodni dokonano po kwietniu 1941 r., a więc w rok później po terminie ogłoszonym przez Niemców. Zbigniew Bogucki w Brześciu wpadł więc w ręce niemieckie i wraz z innymi został przez Niemców zamordowany w Katyniu.

Autorka wysuwa jeszcze inne argumenty na poparcie swej tezy. Twierdzi, że 1 marca 1941 r. Beria podpisał rozporządzenie, zakazujące jakiejkolwiek korespondencji z polskimi jeńcami wojennymi i to na całym terytorium so-

wieckim. To rozporządzenie wyjaśnia jej zdaniem, że korespondencja z jeńcami urwała się i że w Katyniu nie znaleziono listów z późniejszą datą. Co to rozporządzenie ma wspólnego z Katyniem — nie wiadomo, bo korespondencja z jeńcami urwała się rok wcześniej; chyba że w artykule nastąpiła pomyłka drukarska i autorka miała na myśli rok 1940. Pisze dalej, że było wiadomo, iż w tym czasie — w marcu 1941 r. — jeńców z Ostaszkowa, Starobielska i Kozielska przeniesiono i zgrupowano w okolicach Smoleńska dla naprawy dróg! Skąd „było wiadomo“ — nie podaje. Dalej przedstawia odtworzony już w własnej fantazji przebieg wydarzeń. Wymianę telegramów na temat zaginionych jeńców, między Londynem i Dtwem Armii Polskiej w Rosji, o tym jak to Niemcy te depeze przechwytyują, jak w okół rządu polskiego w Londynie roi się od agentów i prowokatorów niemieckich itd. Pisze dalej o organizacji niemieckiej Schellenberga (SS-Brigadeführer Walter Schellenberg stał na czele partyjnej Sicherheitsdienst) i twierdzi, że to ona na wielką skalę dokonała fałszerstwa dokumentów, znalezionych u pomordowanych w Katyniu. Wysyłała do rodzin zaginionych w Rosji jeńców innych jeńców polskich, takich co rzekomo uciekli z obozów i ci infiltrują Armię Krajową i nawiązują kontakt z rodzinami katyńskich ofiar, by wyostać od nich próbkę pisma, która będzie podstawą do fabrykowanie fałszywych dokumentów.

W kwietniu 1943 r. wybucha bomba katyńska. Katarzyna Anszyn przekreśla treść komunikatu rządu polskiego w Londynie i przytacza: „Ciała odkryte w Katyniu mogą być tylko oficerów z Ostaszkowa, Starobielska i Kozielska, dziesięć tysięcy żołnierzy zamordowanych przez Sowiety...“. Tymczasem ten komunikat wyraźnie mówi, że to Niemcy twierdzą, iż autorami zbrodni są Sowiety. Ciągnąc swoje opowiadanie dalej, autorka ironicznie pisze, że żądanie rządu polskiego, „niestety nie odpowiadało Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi. Jest on z pewnością mniej inteligentny od rządu polskiego w Londynie, gdy po prostu w głupi sposób odmówił interwencji na terytorium niemieckim, podlegającym władzy niemieckiej i pozostającym pod kontrolą niemiecką...“

Pisze dalej: Goebbels powołuje międzynarodową komisję. Składa się ona z 17 uczonych, pochodzących z podbi-

O KATYNIU

B.D.I.C

tych (przez Niemców) krajów. Jedyny wyjątek: dr Nawille, Szwajcar. To nie wystarczy rządowi polskiemu w Londynie, który wysyła trzech „ochotników“: Sliwskiego, Goetla i ks. Trzeciaka, gorących antybolszewików i fałszywców z przekonania. Mają kontrolować uczonych. Ponadto kontrola polska pod kontrolą niemiecką.“

Z lekceważeniem pisze o pracy międzynarodowej komisji: „Siedemnastu specjalistów bada ciała, odkrywa u każdego dziurę w czaszce. Bada świerki, zasadzone na grobach (już nie zasadzone, ale ułożone obok; przed otwarciem grobów należało je wyrwać), porównuje listy kiedyś pisane przez zmarłych ze znalezionymi na ich ciałach — i wydaje wyrok. Ilość zamordowanych wynosi 4.000. Znalezione listy wykazują, że chodzi tu o jeńców z Kozielska. Dziura w karku jest dowodem, że zbrodni dokonali Sowietciarze, bo to ich „typowy sposób zabijania“. Wiek drzew iglastych — trzy lata — umiejscawia datę egzekucji. Stan głębi grobów, ziemi i boków świadczy, że zwłoki tam pozostały od trzech lat. Jest rok 1943. Trzy lata wcześniej, w 1940, Sowiety były wyłącznymi panami okolicy, a więc masakra mogła być dokonana tylko przez nich. Dokładnie to, co chciał usłyszeć londyński rząd. I oczywiście Goebbels!“

Naturalnie ani słowa o badaniu samych zwłok i posuniętym stanie ich rozkładu. A komisja była złożona ze specjalistów lekarzy i do ich naukowych kompetencji nie tyle należało badanie drzew i dokumentów, ale przede wszystkim stanu trupów.

Dalszy ciąg tego zdumiewającego artykułu: „Wszystko rozwija się cudownie. Rozpoczyna się likwidacja warszawskiego getta, które broni się rozpaczliwie, ale absolutnie samo... porzucone przez Polaków, którzy myślą wyłącznie o aferze Katynia. Cały świat, zaabsorbowany aferą Katynia i wstrząśnięty haniebną zbrodnią sowiecką, nawet nie spostrzega tej tragicznej i samotnej walki. Wymienia się listy i telegramy między Londynem i Waszyngtonem, które skonsternowane ale ostrożne, decydują nie wypowiedzieć się. Takie bogactwo listów, znalezionych na ofiarach, wywołuje wątpliwości co do identyczności mordercy, ale... Nigdy nie wiadomo, świeże sukcesy sowieckie pod Stalingradem i Kurskiem zapowiadają ich końcowe zwycięstwo... i w takim wypadku zarysowuje się nowe nie-

bezpieczeństwo na horyzoncie świata. Trudno będzie negocjować z nieposzlakowanym zwycięzcą i którego apetyty i pretensje zatrzymają się nie wiadomo gdzie... Akty Katynia zachowa się więc na wypadek potrzeby. Nie popiera się londyńskich Polaków, ale i nie potępia się ich. Rząd polski w Londynie, na równi z Niemcami, podburza świat przeciw Sowietom. Masakra katyńska jest wielką aktualnością, która nakłada się na zbrodnie popełniane codziennie przez Niemców. Hitler jest zadowolony, może spokojnie likwidować niemieckich Żydów, trzymany w rezerwie na poważne okoliczności, zagazowywać miliony ludzi, uwaga świata jest w tej chwili odwrócona.“ (Brakuje tylko dosłownego stwierdzenia, że rząd polski w Londynie jest współodpowiedzialny za zbrodnie Hitlera).

Wreszcie inny „miażdżący“ argument Katarzyna Anszyn: „Skrupulatni eksperci tak starannie badali groby, grudki ziemi, plamy i najdrobniejsze pyłki, że nie zauważyli niemieckich kul, odpowiedzialnych za zbrodnię sowiecką. Dziura w karku była namacalnym dowodem, z pewnością Niemcy tak dobrze nie celowali. Te niemieckie pociski — których widok rzucił się w oczy zwykłym Waffen SS, którzy nie byli ekspertami — mogłyby zakłopotać nieposzlakowaną Komisję. Gdyby nawet im wytłumaczono, że ta amunicja datuje się z okresu Rapallo, niektórzy z ekspertów mogliby się zdziwić niewyczerpalnym charakterem tego zapasu. Mogłoby się im wydać dziwne, że Związek Sowiecki, w wojnie przeciw Japonii (1935—37), Polsce (1939), Finlandii (1939—1940), czekał wiosny 1940, by użyć amunicji dostarczonej — najpóźniej — w 1933... Ale eksperci nie stawiali sobie takich pytań. Wszyscy byli krótkowidzami — nie widzieli kul“.

Katarzyna Anszyn, alias Devilliers, pisze dla przeciętnego czytelnika francuskiego, który o takich szczegółach nic nie wie. Tłumaczenie francuskie polskiej pracy „Zbrodnia katyńska“ rozeszło się w małej ilości egzemplarzy i jest od lat wyczerpane. Książka Henri de Monfort wyszła później, po jej artykule. Toteż autorka nie stawia czytelnikom ani sobie innego pytania: dlaczego inna komisja ekspertów, tym razem sowiecka, mianowana przez Berię, też nie nalega na fakt, że amunicja była niemiecka? Czyżby była równie krótkowzroczna? Dlaczego autorka po-

tepia jedną komisję, a milczy o tej drugiej? Niestety komisja sowiecka musiała milczeć, choć już fakt amunicji niemieckiej był znany i publicznie ogłoszony. Za wielu świadków, bo cała armia gen. Andersa na zachodzie i druga, właśnie Berlinga, w Kraju, widziała na własne oczy, że NKWD była uzbrojona w pistolety kalibru 7,65 mm., a nie w rewolwery „Nagan“, i że amunicja niemiecka była w tym czasie w Sowietach. Pochodziła nie tylko z okresu Rapallo, bo Sowiety zagarnęły duże jej zapasy w Polsce i w krajach bałtyckich, które kupowały ją w Niemczech długo po Rapallo. A wojny, o których wspomina, prowadziło wojsko uzbrojone w Nagany, więc tej amunicji nie używało. Chyba, że w tych wojnach NKWD miała ręce równie pełne roboty..., jak w Katyniu.

Znawcy Katynia nie biorą poważnie artykułu Katarzyny Anszyn, rzekomo jej argumenty są naiwne, a sprawa amunicji dawno wyjaśniona. Kieruje nią jakaś zdecydowana antypatia do Polaków, nawet wrogość. Ale gdy ten artykuł ukazał się w ub. roku, posłano go do Londynu z wnioskiem, by nasi specjaliści natychmiast odpowiedzieli. Artykuł w gazecie codziennej, czy nawet tygodniowej ma zwykle krótki żywot — gazetę większość czytelników wyrzuca. Natomiast miesięcznik historyczny, czy nawet popularny, przechwuje się i nigdy nie wiadomo, czy taki artykuł nie będzie kiedyś dla kogoś źródłem. Nasi specjaliści zlekceważyli ten artykuł i stało się to, czego w Paryżu obawialiśmy się.

Książka prof. Henri de Monfort zrobiła we Francji wrażenie. Jego rygorystyczny sposób rozumowania i logiczne zestawienie dowodów usuwa jakikolwiek wątpliwości — zbrodnia katyńska obciąża Sowiety.

Reakcja nie dała na siebie długo czekać. Na książkę, która rozbodzi się w tysiącach egzemplarzy, odpowiedziało z artylerii wielkiego kalibru, która dociera do milionów ludzi — w radio.

Najpierw, w tym samym miesięczniku historycznym ukazały się w dwóch kolejnych numerach dwa artykuły na temat Katynia, których autorem jest dyrektor miesięcznika Alain Decaux. Opiera on je wyłącznie na argumentach Katarzyny Anszyn-Devilliers. A w niedzielę, 2 października bardzo popularna i długa (45 minut) audycja radia francuskiego, „Trybuna Historii“, nadawana w każdą niedzielę w godzinie dużego nasłuchu, bo o 20.30, była poświęcona Katyniowi. Mimo pozorów bezstronności, była ona odpowiedzią na książkę prof. Henri de Monfort i wybieleniem Sowietów. Autor audycji — ten sam Alain Decaux, dyrektor wymienionego miesięcznika historycz-

nego, który rok temu opublikował artykuł Katarzyny Devilliers. Znowu audycja opiera się na argumentach tego artykułu. Gdyby w ubiegłym roku rozprawiono się z nim, nie byłby on dzisiaj materiałem do tej audycji. A rozprawić się było łatwo, bo jak się okazuje po starannym sprawdzeniu podchorąży Bogucki nie figuruje na żadnej, opublikowanej dotychczas liście ofiar Katynia. Jeżeli Katarzyna Devilliers rzeczywiście widziała w Katyniu jego nazwisko, to umieściły je na liście władze sowieckie. Ale ciekawe, że tego faktu nie ogłosiły, a przecież tak poszukiwały dowodów, że w Katyniu byli ludzie, którzy żyli jeszcze w roku 1941. Z drugiej strony władze sowieckie twierdziły, że tam odkryły 11.000 ofiar, tymczasem wszystkie zebrane materiały wykazują, że ilość trupów katyńskich nie przekraczała liczby 4.500 i byli to tylko jeńcy z Kozielska. Narodziła się hipoteza, że przez to wysunięcie cyfry 11.000 władze sowieckie postanowiły zamknąć sprawę Ostaszkowa i Starobielska, wykazać, że nie było innych Katyniów. Wreszcie w telegramie amb. Harrimana do prezydenta Roosevelta, z 25 stycznia 1944 roku, jest mowa, że „większość odkopanych ciał to byli raczej zwykli żołnierze, a nie oficerowie, jak to ogłosili Niemcy“. Ten telegram opierał się na podróży jego córki z jednym z członków ambasady do Katynia, po zajęciu go przez armię czerwoną. Jeżeli tam byli zwykli żołnierze i to w dużej ilości, może to dowodzić tylko faktu, że ich ciała zostały zwiezione przez władze sowieckie, bo wszystkie uprzednie świadectwa jednogłośnie twierdzą, że w odkrytych grobach nie było zwykłych żołnierzy. Mogło więc tam być również przewiezione ciało Zbigniewa Boruckiego.

Czytelnik może się zdziwić, że tak długo rozwodzę się nad tą sprawą. Uważam jednak, że gdy „dossier“ Katynia zostało ponownie otwarte, to trzeba na nowo poruszone fakty oświetlić kompletnie, bo bez wyczerpującej odpowiedzi mogą stać się znowu podstawą do wystąpienia innego „historyka“. Zwłaszcza we Francji, gdzie robienie przyjemności i oddawanie usług Moskwie jest dziś dobrze widziane i w tonie oficjalnej polityki.

Wreszcie, może się znajdzie ktoś wśród czytelników, kto spotkał tę Katię Hacker-Anszyn (innym razem występuje pod nazwiskiem Aznov) w Związku Sowieckim czy we Lwowie. Ciekawym byłoby dowiedzenie się czegoś o niej. Dziś jest Francuzką, mówi, że jej ojciec był Rosjaninem, a wygląda, że była po prostu pół Polką, a może w ogóle Polką pochodzenia półrosyjskiego. „Dossier“ jest otwarte, może czytelnicy dorzucą do niego nowe elementy.

ZDZISŁAW STAHL

Tymczasem przenoś nasze dusze utęsknione

J. Męcarska, Wędrowka po Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej*)

KSIĄŻKA dr Józefy Męcarskiej odpowiada dokładnie tytułowi i — jak pisze w przedmowie prof. Władysław Wielhorski — czytelnik znajdzie w niej „wizerunek naszych rzek, gór, lasów, odtworzenie rzeźby całej powierzchni ziem wschodnich oraz przedstawienie gospodarczych, zawodowych zajęć mieszkańców tych ziem“. Na wizerunek ten składają się zwięzłe i bogato ilustrowane zdjęciami fotograficznymi oraz mapami opisy poszczególnych rejonów ziem wschodnich, od Wileńszczyzny na północy, poprzez Polesie, Wołyń i Podole, po Podkarpacie i huculskie połoniny na południu. Wilno na północy oraz Lwów na południu nie przesłaniają całości obrazu. Jak to nieraz w skrótach wiecowych czy dziennikarskich bywa, występują na należywym tle całości swoich regionalnych obszarów, dla których są głównymi, miejskimi ośrodkami.

„Wędrowka po Ziemiach Wschodnich“ dr Męcarskiej jest przystępną i zwięzłą a plastyczną geografią tego, drogiego nam, a oderwanego po wojnie obszaru, geografią w najszerszym znaczeniu tego słowa. Nie tylko jego zewnętrzna rzeźba i klimat, ale geologia, nie tylko terytorium, ale i ludność ze swoją gospodarką, kulturą i właściwościami etnicznymi, wreszcie ze swoją przeszłością i tragicznym losem, podczas II wojny światowej oraz po zapanowaniu nad nią moskiewskiego, czerwonego totalizmu, wszystko to zawiera się w książce i to znajdzie czytelnik, „wędrując“ za autorką po opisywanych przez nią krainach.

*) Nakładem SPK, Zjednoczenia Polek i ZHP, Londyn 1966, stron 125, ilustracji 114, mapy 3, cena 16/6.

Ta audycja radia francuskiego i argumenty Katarzyny Devilliers spotkają się w najbliższym czasie z odprawą. Wdowa po autorze książki „Le Massacre de Katyn“, pani Suzanne de Montfort, która zna problem, bo pomagała mężowi w jego pracy nad książką i major Józef Czapski, b. więzień Starobielska, zaborą na ten temat głos przed mikrofonem radia francuskiego. Postaramy się poinformować czytelników o tym co powiedzą.

Marian Czarnecki

Dr J. Męcarska, doktor lwowskiego uniwersytetu Jana Kazimierza i uczennica prof. Eugeniusza Romera, czołowego geografa polskiego światowej sławy, daje gwarancję naukowego poziomu „Wędrowki po ziemiach wschodnich“, książki pod względem formy popularnej. Tekst książki, ścisły i obiektywny, przenika dyskretny ale oczywisty sentyment autorki tego tematu, a ożywiają go zarówno wspomniane, liczne i doskonale dobrane ilustracje, jak wyjątki z utworów poetyckich, poświęconych rozmaitym rejonom naszych ziem. Regionalne ich właściwości są też sumiennie podkreślone. Obfita bibliografia przedmiotu jest cennym uzupełnieniem publikacji.

Graficznej oprawie wydawnictwa należy się szczególna uwaga. Na oszczędnej i skromnej, kartonowej okładce tabaczkowego koloru widzimy efektowny rysunek Tadeusza Terleckiego. Na tle starej mapy z XVI wieku, zaadaptowanej przez autora, archanioł Rafael, jako „boży rewindykator własności“, prowadzi młodzieńckiego Tobiasza, idącego po zwrot dziedzictwa ojców; nad mapą herb dawnej Rzeczypospolitej obojga narodów. Trudno o stosowniejszą i bardziej pomysłową ilustrację okładki dla „Wędrowki po Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej“, książki przeznaczonej głównie dla młodszego pokolenia. Jedyne, co budzi tu estetyczną wątpliwość, to proporcja rysunku do formatu książki. Odnosi się wrażenie, że ilustracja była skomponowana dla formatu mniejszego, tak by rysunek wypełniał powierzchnię okładki. Herb Rzeczypospolitej mógł by wtedy korzystniej spoczywać bezpośrednio nad mapą.

Oprócz stylizowanej, archaicznej na okładce, książka zawiera dwie znakomite mapy: 1) Polski całej, w granicach traktatu ryskiego i Odry-Nisy Łużyckiej oraz 2) Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej, obie, autorstwa wybitnego kartografa mjra Stefana Grucy. Mapy są zarazem wszechstronne oraz precyzyjne i szczegółowe, chociaż wykonane tylko jednobarwnym, czarnym rysunkiem, co pozwoliło na zaznaczenie wzniesień terenu tylko za pośrednictwem napisów. Opracowanie graficzne „Wędrowki“, więc głównie dobór czcionek, tytułów i układ ilustracji spoczywało w osobnych rękach Juliusza L. Englerta, który wywiązał się b. starannie i dobrze ze swego zadania.

„Wędrowka po Ziemiach Wschodnich“ jest 55-tym wydawnictwem „Wydziału Kultury i Oświaty Zarządu Głównego SPK pod redakcją dr Zofii Kasprzyckiej. Współwydawcami były w tym wypadku jeszcze dwie inne organizacje: Zjednoczenie Polek na Emigracji i Związek Harcerstwa Polskiego. W słowie wstępnym wymienione stowarzyszenia uzasadniają słusznie potrzebę swego wydawnictwa. Stwierdzają mianowicie, że w rządzonej przez komunistów kraju „szkoła podaje fałszywy obraz historii i geografii polskiej. Ziemię leżącą na wschód od Bugu i Sanu — aż do granic z roku 1939 uważane są jako nie-polskie, a wkład ich do historii i kultury państwa polskiego jest celowo prze-

milczany. Obowiązkiem emigracji — czytamy dalej — jest pisać i rozpowszechniać wydawnictwa dotyczące całego kraju... Wydawcy oddają tę książkę o ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej do rąk społeczeństwa polskiego — a przede wszystkim młodzieży — z myślą, aby ziemię tę ukazać w ich pięknie i przybliżyć je sercom, którym są drogie“.

Nie wątpimy, że inicjatywa wydawców „Wędrowki po Ziemiach Wschodnich“ znajdzie należyte, wdzięczne echo i książka znajdzie licznych czytelników. Póki ziemię tę będą żyły w polskich sercach i myślach, póty nadzieja ich wyzwolenia spod sowieckiej tyranii nie wygaśnie.

Zdzisław Stahl

„państwowych komitetów“, wchodzących do rady ministrów oraz z 15 premierów związkowych republik. Razem 81. ściślejszy gabinet, zwany stałym komitetem rządowym składa się z osób 12 i obejmuje premiera z wszystkimi jedenastu wicepremierami czyli zastępcami. Publikacja składu rządu ze szczegółami jego organizacji słusznie została zrozumiana przez niektórych komentatorów, jako posunięcie Kosygina, mające na celu wskazanie, że obok Politbiura działa również sprawnie naczelny organ wykonawczy administracji państwowej.

Urodzaj w Sowietach?

Moskwa chwali się, że tegoroczny urodzaj w Sowietach jest rekordowy i wynosi 160 milionów ton ziarna. Według oficjalnych obliczeń ma to być więcej o 30% od przeciętnej plonu jednego akra ostatnich lat pięciu oraz o 17% od takiejże przeciętnej za pięć lat poprzednie. Rządząca para Breżniew-Kosygin uzyskała w ten sposób jeden z nielicznych, ostentacyjnych sukcesów, który — oczywiście — nie wiadomo, czy jest następstwem ich polityki, czy też po prostu pomyślnych w tym roku warunków klimatycznych. Tak czy inaczej, jeśli urodzaje okażą się rzeczywiście dobre, co potwierdzi się 'dopiero później,' pozycja następców Chruszczowa zostanie wzmocniona. Może nawet zakup „kapitalistycznego“ zboża w Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych nie okaże się w przyszłym roku koniecznym. Informacja o sowieckim urodzaju mogła mieć dla Zachodu ten przynajmniej pożytek, że podważyła by lekkomyślne zapewnienia sowiektologów, że Rosja Breżniewa i Kosygina weszła na drogę upadku i słabości, przestając być dla wolnych narodów niebezpieczeństwem.

(S)

SOVIETICA

NOWY MINISTER POLICJI M.A. — SZCZELEKOW

W lipcu, jak notowaliśmy w tej rubryce, przywrócono w Sowietach centralne, związkowe ministerstwo policji pod nazwą ministerstwa porządku publicznego, o inicjałach MOOP. Ministerstwo to w rzeczywistości wywodzi się od Czereszyczejki, Gepeu, NKWD i po śmierci Stalina — MWD, czyli ministerstwa spraw wewnętrznych, które zniósł Chruszczow, pozostawiając te urzędy tylko w związkowych republikach. Uważane to było wówczas za objaw liberalizacji i wiązane z nazwiskim Szeliepina, prawej ręki wtedy sowieckiego „numeru pierwszego“.

Przywrócenie policyjnej centrali w Moskwie było więc ważnym nowym krokiem na drodze stopniowej re-stalinizacji, dokonywanej pod rządami pary Breżniew-Kosygin. Z wielkim tym bardziej zainteresowaniem oczekiwano, kto obejmie stanowisko szefa wskrzeszonego, centralnego urzędu o tak ponurych tradycjach. Decyzja nie przyszła łatwo nowemu „zbiorowemu kierownictwu“, ponieważ dopiero w połowie września korespondenci zachodni donieśli, że nowym ministrem został Mikołaj Anisimowicz Szczelekow, czyli osobistość dotychczas w szerszym świecie zupełnie nieznana.

Zebrane o nim po nominacji szczegóły są następujące. Urodzony w 1910 r., był w latach wojennych pierwszym sekretarzem partyjnym w Dniepropetrowsku. Potem został premierem republiki moldawskiej, gdzie zaznaczył się brutalnie ostrym kursem w stosunku do stanowiącej tam większość ludności rumuńskiej. Był bezwzględny rusyfikatorem i gnębicielem mieszkańców wcielonego po wojnie do Sowietów obszaru Rumunii. Zapewne te właśnie „zasługi“ przyniosły mu w 1957 r. order Lenina i z kolei ostatnio wysoką

nominację do administracyjnej centrali moskiewskiej. Tymczasem wygląda na to, że Szczelekow nie jest samodzielną pozycją polityczną tylko urzędnikiem, który będzie wykonywał posłuszenie wole Politbiura. Może się okazać dopiero później, czy nominacja jego była kompromisem, czy też sukcesem którejś z czołowych osobistości.

Liczny rząd i ścisły gabinet Kosygina

Po letniej sesji Wierchownego Sowietu prasa moskiewska ogłosiła po raz pierwszy pełny skład osobowy z fotografiami prezydium Sowietu oraz rządu ZSSR. Wyodrębniono też ściślejszy gabinet stały w łonie rządu, o którym dotychczas nie było w Rosji sowieckiej mowy. Jak okazuje się, rząd składa się z premiera, dwu „pierwszych“ zastępców i dziewięciu zastępców drugiej kategorii, z 47 ministrów, 7 przewodniczących

KWIATEK Z CHIŃSKIEJ ŁĄKI...

Oficjalna chińska agencja prasowa HSINHUA podała wiadomość o katastrofie, jaka wydarzyła się niedawno w Chinach przy wydobywaniu gazu ziemnego. Od wybuchu zginęło kilka osób, a wielu pracowników poniosło ciężkie rany. Oto wyjątek z komunikatu agencji HSINHUA:

„...ranni bohaterowie powiedzieli, że czują się tak, jakby sam towarzysz Mao był cały czas wśród nich. Myśli zawarte w jego dziełach, działają jak balsam, pomagając znieść fizyczny ból. Mechanik Jan Szu-jung, który doznał ciężkich obrażeń i szoku nie ustawał we wznoszeniu okrzyków: Niech żyje towarzysz Mao! A gdy oprzytomniał, uważał, że jedzenie, lekarstwa i leczenie są przejawami szczególnej troski towarzysza Mao względem jego osoby. Przy tym wszystkim doznawał przez przeszło 40

dni niesłychanych cierpień fizycznych.

Gdy lekarze operowali bez narkozy naczelnego inżyniera, ten nie przestawał cytować myśli Mao i w ciągu całej operacji nie wydał nawet jęku.

Podczas swego pobytu w szpitalu bohaterowie śpiewali często rewolucyjne pieśni oraz wznosili rewolucyjne okrzyki, zachowując w ciągu choroby rewolucyjny optymizm, co — połączone z wielką troską lekarzy i pielęgniarek — pozwoliło im szybko przyjść do zdrowia i wyleczyć się z ran.“

Do jakich granic może dojść aberacja umysłowa... ?

ISCHIAS

NAJPOSPOLITSZYMI przyczynami ischiasu są następujące trzy schorzenia: zapalenie nerwu kulszowego, nacisk na nerw kulszowy, spowodowany zapaleniem tkanek otaczających nowotwór, oraz ból biegnący wzdłuż nerwu, który nie jest spowodowany żadnym schorzeniem.

Przyczyny zapalenia nerwu kulszowego, tak jak i zapalenia innych nerwów, mogą nastąpić na skutek: reumatyzmu, alkoholizmu, cukrzycy i syfilisu. Odczuwany ból, spowodowany przez nacisk, jest najczęściej związany z zapaleniem mięśni. Inne, rzadsze, przyczyny mogą być spowodowane przez nowotwór w mleczu pacierzowym, przypadkowe uszkodzenie kręgosłupa, gruźlicę kręgosłupa, zapalenie opon mózgowych, naruszony krąg, jak i złamana lub zaatakowana przez nowotwór miednica. Ból w zdrowym nerwie kulszowym może występować także przy artretyzmie biodrowym.

Na ischias cierpią częściej mężczyźni niż kobiety, i to mężczyźni w kwiecie wieku, powyżej lat 20. Nadwyżęcenie mięśni pleców, tak jak i przeziębienia nierzadko dają początek tej chorobie. Schorzenie ischiasowe objawia się powoli. Pacjent przeważnie stwierdza, że jego złe samopoczucie datuje się od jakiegoś większego wysiłku fizycznego, jak np. kopanie, lub podnoszenie ciężarów, odczuwa bóle i sztywność w okolicy pasa. Nieraz jednak na te charakterystyczne cechy chorego nie zwraca dostatecznej uwagi, dalej pracując ciężko i czasami dopiero po kilku miesiącach pada ofiarą symptomów, wskazujących jasno, że nerw kulszowy został już mocno nadwyżęcony. W tym ostatnim przypadku chorego odczuwa drętwotę w pięcie, szczególnie przy stawianiu stopy na ziemię. Uczucie to zwykle szybko przemija, ale zdarzają się jego nawroty. Nieraz w pozycji siedzącej występuje podobne do drętwienia pięty drętwienie uda lub łydki. Z biegiem czasu uczucie drętwienia zmienia się w wyraźny ból, w tych samych punktach, który także nie trwa zbyt długo. Ból ten, wciąż nie będąc dostatecznie silny, aby zaalarmować chorego, jest zwykle przez niego lekceważony.

Jednak z rozwojem choroby ból powraca coraz częściej i staje się coraz to bardziej dokuczliwy. Pacjent odkrywa, że już nie może usiedzieć na twardej krześle i podświadomie przesuwa ciężar ciała na zdrową stronę, unikając twardych powierzchni, woląc siedzieć na czymś miękkim. Gdy leży — ból

najczęściej mija, ale mogą zacząć występować skurcze w łydce, które, oczywiście, przerywają sen. W daleko posuniętym ataku ischiasu ból może być tak silny, że wogóle nie pozwala na zaśnięcie. Wówczas najwygodniejszą pozycją dla chorego jest położenie się na plecach, z nogą zgiętą w biodrze i w kolanie. Przekręcanie się z boku na bok jest wielkim wysiłkiem, zarówno bolesnym jak i bardzo utrudnionym. Jeżeli chorego położy się na boku — będzie mu wygodniej leżeć na zaatakowanej stronie, gdyż leżenie na zdrowej powoduje naciąganie się chorych mięśni. W tym stadium choroby chodzenie staje się coraz bardziej uciążliwe i chorego instynktownie wciąż zgina nogę w biodrze i w kolanie, starając się nie dotykać piętą ziemi.

Przy badaniu stwierdzamy pewne osłabienie mięśni kolanowych i łydkowych, które mogą być zwiotczałe, brak wrażliwości na bodźce po zewnętrznej stronie zaatakowanej nogi i stopy, przy jednoczesnej nadwrażliwości w okolicy nerwu kulszowego. Przy prostowaniu nogi w biodrze ból koncentruje się wzdłuż nerwu, refleks w kolanie po uderzeniu młoteczką bywa nieraz nadmierny, podczas gdy refleks w kostce będzie bardzo słaby, lub nawet w zupełnym zaniku.

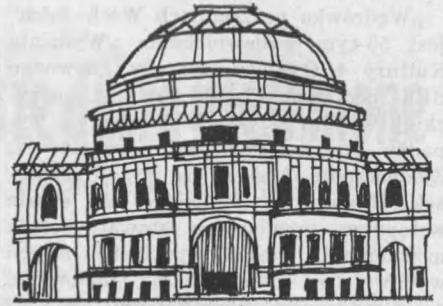
Prześwietlenie kręgosłupa, miednicy i kości biodrowych może wykazać artretyzm jako przyczynę bólu ischiasowego, badanie moczu wykaże, czy przyczyną ischiasu nie jest przypadkiem cukrzyca, podczas gdy ischias obustronny skieruje uwagę lekarza na możliwość nowotworu, niekoniecznie złośliwego — w miednicy.

Pewna szkoła myślenia uważa, że ostry atak ischiasu wskazuje na naruszenie jednego z kręgów (slipped Disc), w tym ostatnim wypadku ból występuje niezwykle ostro — do tego nieraz stopnia, iż pacjentowi wydaje się, że złamał krzyż.

Zapalenie nerwu kulszowego jest chorobą przewlekłą, trwającą nieraz od kilku miesięcy do paru lat.

Leczenie polega głównie na możliwie całkowitym unieruchomieniu chorego. Najważniejszym momentem jest tu dostateczna sztywność pośladka. W tym celu wskazane jest podłożenie pod materac chorego zwykłej deski, którąby tą sztywność utrzymywała stale. W braku deski materac można położyć na podłodze. Leczenie polega przede wszystkim na ciepłocie czy to za pomocą termoforu czy też naświetlań. Na uśmierzanie bólu zaleca się aspirynę lub codeinę — dotychczas bowiem nie wynaleziono bardziej uniwersalnego środka przeciw ischiasowi jak odpoczynek i ciepło.

Dr Michał



JEDNYM z najbardziej charakterystycznych i tradycyjnych objawów życia muzycznego w Londynie są tzw. koncerty „promenadowe“ im. Henryka Wooda. Jest to seria 49-ciu koncertów, które odbywają się co wieczór — prócz niedziel — w Albert Hallu od połowy lipca do połowy września. Ponieważ jest to okres, w którym druga, nowoczesna sala koncertowa w Londynie, Royal Festival Hall, przerywa działalność koncertową na swoisty „sezon ogórkowy“, poświęcony wyświetlaniu filmów operowych oraz występom baletu, koncerty promenadowe są w tym czasie jedyną okazją posłuchania muzyki symfonicznej „na żywo“ dla miłośników muzyki. Zresztą koncerty promenadowe są już rodzajem instytucji, bez której trudno sobie Londyn wyobrazić.

Nazwa koncertów — oznaczająca, że przynajmniej część publiczności wysłucha koncertu na stojąco (wprawdzie nie przechadzając się, jakby to sama nazwa sugerowała, ale kto znalazłby miejsce na przechadzkę na zatłoczonej młodzieżą „arenie“ Albert Hallu!) — pochodzi od określenia, użytego po raz pierwszy przez francuskiego dyrygenta Musard'a, który tego rodzaju imprezy organizował w Paryżu już w r. 1830. W Londynie ogłaszano tego typu koncerty od r. 1838, a odbywały się one w tzw. „ogrodach rozrywkowych“, z których najgłośniejszym był Vauxhall. Pierwsza jednak seria koncertów promenadowych z trwającego do dziś cyklu miała miejsce w sali koncertowej Queen's Hall w r. 1895 pod batutą 25-letniego podówczas dyrygenta Henryka Wooda, którego imię noszą obecne koncerty. Kariera tego dyrygenta istotnie wiąże się ściśle z historią koncertów promenadowych, których głównym dyrygentem był Wood aż do końca życia w r. 1944, kiedy tę funkcję przejął pełniący ją po dziś dzień Malcolm Sargent.

Inicjatorem koncertów promenadowych w ich obecnej formie był menedżer orkiestry sali Queen's Hall, Robert Newman, a zaproszenie Wooda na głównego dyrygenta było warunkiem, postawionym przez finansującego pierwszy sezon koncertów dr Cathcarta. Dr Cathcart oburzony był kiepską opinią

CHODŹMY NA PROMENADĘ

Rysunki Piotra Niczewskiego

ówczesnej krytyki londyńskiej o dyrygentach brytyjskich, która między innymi twierdziła, że np. Wagnera żaden Anglik nie potrafi poprowadzić, i postanowił udowodnić, że jest inaczej, domagając się zaangażowania Wooda. Dzisiaj zresztą patriotyczny dr Cathcart pamiętany jest głównie — co sam proroczo kiedyś przepowiedział — jako twórca tradycyjnej fontanny, zdobiącej niegdyś Queen's Hall, a obecnie stojącej na środku „areny“ w Albert Hallu, na której cisną się posiadacze prawdziwych biletów „promenadowych“, to znaczy biletów na miejsca stojące.

Organizatorzy koncertów promenadowych chlubią się tym, że odbywają się one nieprzerwanie co roku od r. 1895 (zakończony niedawno sezon był 72-im), co jednak nie jest stuprocentowo ścisłe. Wprawdzie wojna 1914—1918 r. wraz z groźnymi, jak to wówczas uważano, rajdami Zeppelinów na Londyn, nie przerwała ich ciągłości, ale naloty drugiej wojny światowej spowodowały krótko zresztą trwającą przerwę, a przede wszystkim zadecydowały o przeniesieniu koncertów do Albert Hallu, bowiem Queen's Hall uległ zniszczeniu w czasie nalotów w r. 1941.

Royal Albert Hall, wzniesiony w r. 1871 dla uczczenia pamięci księcia Alberta, zmarłego małżonka królowej Wiktorii, na terenach, stanowiących część obszaru wielkiej wystawy w r. 1851, której książę Albert był jednym z głównych inicjatorów, nazwany był kiedyś przez znakomitego dyrygenta Tomasza Beecham „najdoskonalej na świecie skonstruowaną komorą akustyczną, służącą do wytwarzania echa“. Obecnie, po zawieszeniu pod stropem sali, aluminiowej muszli, akustyka Albert Hallu uległa znacznej poprawie. Niemniej, doświadczeni promenadowicze twierdzą kategorycznie i, moim zdaniem, zupełnie słusznie, że miejsca po lewej stronie sali zapewniają o wiele lepszy odbiór muzyki, niż identyczne miejsca po prawej stronie. Zapewniają oni także — z czym się również zgadzam — że im wyżej położone jest miejsce, tym mniejsze zakłócenie odbioru muzyki przez złośliwe echo.

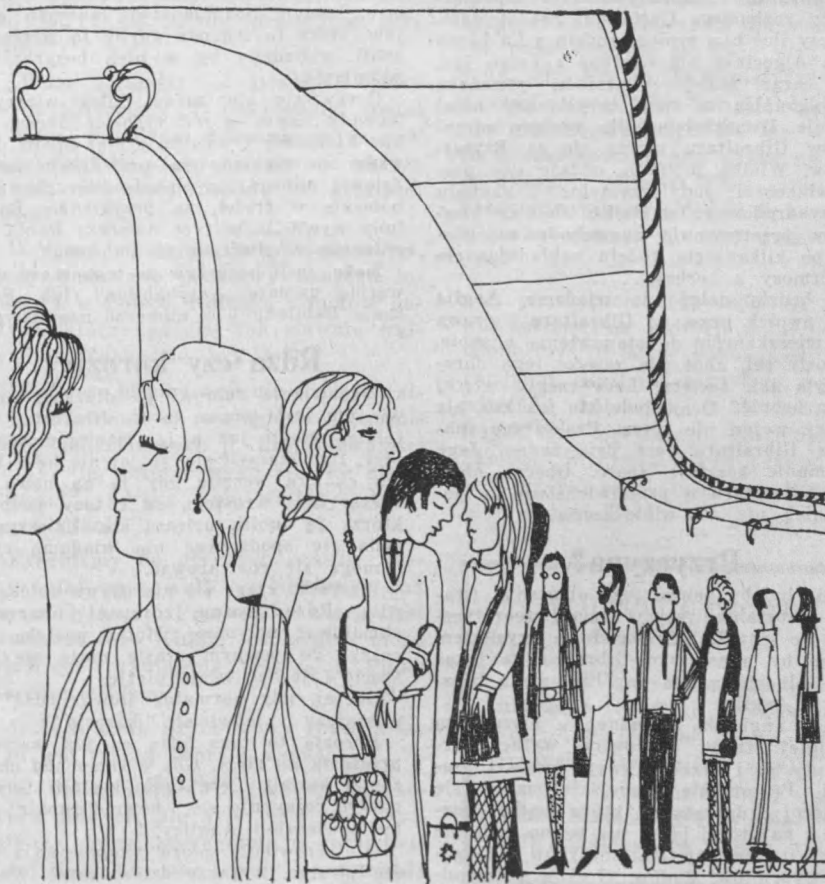
Te niedomagania akustyczne nie przeszkadzają jednak temu, że co roku przez dwa miesiące letnie tłumy zamilowanych promenadowiczów cisną się przy kasach Albert Hallu. Często się zdarza — zwłaszcza na koncertach muzyki nowej — że droższe miejsca świe-

cą wyraźnymi łysinami; ale „arena“ zawsze zapełniona jest przez młodzież, której nie zraza ani konieczność stania podczas całego koncertu, ani też nieprzychylnie echo. Jeden z młodych słuchaczy powiedział mi zresztą kiedyś, że dzięki echu wysłuchuje po dwa razy każdego utworu za te same pieniądze (muszę co prawda przyznać, że istnieje i inna wersja tego samego dowcipu, a mianowicie ta, że utwór nawet najgorszego kompozytora, jeśli grany jest w Albert Hallu, ma zawsze zapewnione dwa wysłuchania przez publiczność). Kto nie był nigdy na pierwszym lub ostatnim koncercie każdego sezonu, albo chociażby na jednym z lekkich wieczorów wiedeńskiej muzyki, tradycyjnie odtworzonej przez orkiestrę Hallé pod batutą Barbirolliego, nie potrafi sobie wyobrazić atmosfery, jaka wówczas panuje na sali. Różnokolorowe zwoje serpentyn wiążą orkiestrę z „areną“, w czasie przerw wybucha spontaniczny entuzjazm młodzieży, wyładowujący się okrzykami i długotrwałymi owacjami na cześć dyrygenta, orkiestry i solistów,

a tradycyjnie śpiewane przez całą salę podczas ostatniego koncertu każdego sezonu pieśni Pary'ego „Jerusalem“, robi naprawdę duże wrażenie.

Od szeregu lat koncerty promenadowe organizowane są przez B.B.C., które nadaje wszystkie koncerty przez radio. Programy koncertów, które dawniej szły bardzo utartym torem, w ostatnich latach stały się coraz bardziej przedsiębiorcze i obejmują szereg utworów, napisanych w latach 50-tych i 60-tych, czasami nawet specjalnie w celu wykonania na jednej z „Promenad“. Biorą w nich udział często wybitni artyści o sławie międzynarodowej, a w tym roku nastąpił dalszy wyłom w tradycji: po raz pierwszy w promenadowych koncertach wzięła udział orkiestra zagraniczna. Polscy artyści również biorą od czasu do czasu udział w „Promenadach“, jak np. w tym roku sopranistka Halina Łukomska, która z wielkim powodzeniem wykonała utwory Weberna i Berga.

Cokolwiek można powiedzieć na temat poziomu i repertuaru koncertów promenadowych, jedno jest pewne: odgrywają one olbrzymie rolę w rozpowszechnianiu zainteresowania muzyką i znajomości utworów muzycznych wśród młodzieży. A to już na pewno wystarczy, aby je uznać za imprezę, zasługującą na jak najdłuższe istnienie i na jak największe powodzenie.



MIEDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Gibraltar — zawieszony jak palec wskazujący ku Afryce. Dla Anglików, dla wszystkich Anglosasów raczej, to „Rock of Gibraltar“ symbol mocy i niezłomności. Nikt go rzekomo nie może zdobyć. W głębi skały czają się kazamaty. Te stare, które dziś są tylko atrakcją dla turystów i te, wykute w czasie ostatniej wojny i po niej, do których turyści wstępu nie mają. U stóp skały port, niegdyś zapchany okrętami wojennymi, które czyniły z Anglii największe mocarstwo świata. Stąd wyruszyli admirałowie na wielkie wyprawy wieńczone zwycięstwami. Stąd wyruszył Nelson pod Trafalgar.

Dziś reda portu jest pustawa, a okrętów wojennych nie ma wcale. Za parę miesięcy znikną też samoloty bojowe RAF-u. Gibraltar już niczego nie strzeże. Dawny zwornik Imperium, które przestało istnieć. Coś jak klucz do domu, który zburzono, by na jego miejscu założyć trawnik ozdobiony kwiatami. Albo śmietnik pełen niepotrzebnych gratów.

„El Peñon“

Dla Hiszpanów Gibraltar to w mowie potocznej „El Peñon“. Wisiorek u ogromnego kadmłuba Półwyspu Iberyjskiego. Przedmiot drwin, gniewu, pragnienia zemsty nie bardzo wiadomo za co. Hiszpania oddała Gibraltar Anglii w pokoju utrechckim w roku 1713. I dobrze na tym wyszła. Gdyby nie Gibraltar nie byłaby tak bezpieczna w czasie wojen światowych i nie pozbyłaby się tak łatwo Francuzów w czasie, który my nazywamy z przyczyn sobie tylko wiadomych „epopeą napoleońską“. Południowa Andaluzja nie ciągnęła by zysków z przemysłu turystycznego via Gibraltar i kapitałów, które zapoczątkowały rozbudowę Costa del Sol. A dzieścię czy ileś tam tysięcy rodzin z La Linea czy z Algeciras nie miałyby z czego żyć. Dziś coraz mniej robotników przecieka przez granicę, a ruch turystyczny ustął zupełnie. Dwadzieścia kilka tysięcy mieszkańców Gibraltar uważa się za Brytyjczyków. Wielka Brytania oddaje swe prawo własności pod orzeczenie Trybunału Międzynarodowego w Hadze. Celnicy hiszpańscy przetrzymują samochody na granicy po kilkanaście godzin nakładając cło na termosy z herbatą...

Co będzie dalej nie wiadomo. Anglia broni swoich praw do Gibraltar i prawa jego mieszkańców do stanowienia o sobie. Wzniosły cel, choć nie zawsze jego obrona była tak zacięta. Lecz czegoś więcej można bronić? O symbole kto jak kto, ale Anglicy wojen nie toczą. Praktyczne znaczenie Gibraltar jest dziś żadne. Jego utrzymanie kosztuje sporo. Obecne oblężenie Gibraltar w przeciwieństwie do poprzednich nie ma wiele sensu.

Przyczyna?

I nie byłoby pewno tego oblężenia. Granica pozostałaby czymś raczej teoretycznym, do chwili gdy zgodnym wysiłkiem uznano by miasteczko Gibraltar za jakąś strefę wolnościową pod wspólną opieką Hiszpanii i Anglii.

Prasa angielska z jednej, a hiszpańska z drugiej strony, pracowicie wytacza argumenty za i przeciw swych praw i pretensji. Po stronie angielskiej mówi się najwięcej o dyktaturze, która rządzi Hiszpanią i na której łaskę nie wolno oddawać dwudziestu tysięcy Maltańczyków, Hiszpanów, Cypriotów, Żydów, Greków i Irland-

czyków, którzy wymieszawszy się dokładnie stanowią jedyne w swoim rodzaju społeczeństwo. Dwujęzyczne, bardziej angielskie w zewnętrznym obyczaju niż sami Anglicy i całkowicie hiszpańskie w obyczaju domowym. Po stronie hiszpańskiej mówi się o geografii, historii, dumie narodowej itd. itp.

Nie mówi się tylko o jednym. O tym, że rząd Partii Pracy obrazil Hiszpanię zrywając bardzo korzystne kontrakty na budowę fregat i kontrtorpedowców, które Hiszpania oczywiście bez trudu zbuduje w Ameryce czy w Niemczech. Lecz chciała budować w Anglii. Bo z wszystkich cudzoziemców Hiszpanie tylko Anglików uznawali do niedawna za ludzi. Może dlatego, że oba narody są do siebie w tym podobne, że im absolutnie nie zależy na tym co kto inny o nich myśli lub mówi.

„Antybabilon“

Osobiście mam duszę rozdartą sprawą Gibraltar, choć doprawdy nie ma pogo. Gdy chodzi o spędzenie wakacji w Hiszpanii, można jechać przez Malagę lub Barcelonę, w ślad za milionami Anglików, którym spór w ich turystycznych planach wcale nie przeszkadza. Duszę mam rozdartą dlatego, że lubię Hiszpanów i bardzo ich szanuję. Jednocześnie zaś, narazając się na gniew moich rodaków zwłaszcza w Anglii zamieszkałych, lubię i cenię Anglików. Nie wszystkich, nie zawsze i nie za wszystko. To też prawda.

Wśród Polaków Hiszpania jest popularna, nie tyle z powodu znajomości Hiszpanii, jej kultury, obyczajów, języka, literatury, gdyż znajomość tych rzeczy i spraw uważamy z reguły za niezbyt ważną w wyrobieniu sądów, lecz z powodu legendy o rzekomym podobieństwie naszych dziejów, która to legenda gdyby ją Hiszpanie znali, wzbudziła by w nich bezgraniczne zdumienie.

Oczywiście nie każdy Polak wierzy w legendy nawet wśród tych co bardzo lubią Hiszpanię i wiedzą o niej sporo. Prowadzi to niekiedy do prawdziwie zawieszonych miłości, co pięknie literacko, choć boleśnie w treści, na przykładzie Barcelony wywiodła w tym numerze Paula Powileńska w „Pożegnaniu Babilonu“.

Może, jeśli będę żyw do tego czasu w co wątpię, napiszę „Antybabilon“ (lub „Powitanie Babilonu“) w numerze następnym.

Rdza czy korozja?

Wznawianie rubryki po dłuższej przerwie nie jest sprawą łatwą. Niektórzy czytelnicy mogli już o jej istnieniu zapomnieć. Inni cieszyli się, że jej nie było, więc ich cholera weźmie gdy ją na nowo zobaczą. Inni wreszcie, są i tacy podobno, którzy ją lubili, ucieszą się. Ucieszywszy będą się spodziewać nie wiadomo czego i mogą się rozczarować.

Wszystko czego się nie używa obleka się rdzą. Rdzę można zdrapać i karesorję obmalować na nowo. Motor postęka lecz ruszy. Po pewnym czasie może się rozkręcić i jechać wcale nieźle.

Gorzej, gdy normalne słowo „rdza“ nie wystarczy i mówi się „korozja“.

Korozja to taka rdza co już wszystko przeżarła do głębi. Gdy o samochód chodzi został kształt. Lecz tylko kształt. Gdy go ruszy rozrypuje się, „beyond repair“ jakby powiedzieli Anglicy.

O „rdzewieniu pióra“ napomykają często pisarze. A także dziennikarze. Zwykle

napomykają wtedy, gdy ich nikt nie chce drukować. Szkoda, że nie wyciągają z tego prawidłowych wniosków.

Wnioskowanie

Wyciąganie prawidłowych wniosków jest sztuką wielką i mało kto ją posiada. Na przykład jakże trudno jest wyciągać wnioski z faktów, których się nie zna.

Lecz jest na to ratunek, który stosuje się z zapalem w polityce, tudzież w życiu społecznym. Gdy się faktów nie zna, głównie dlatego, że się ich znać nie chce, można zamiast „wyciągać wnioski“ — „wnioski stawiać“.

Gra słów? Oczywiście! Ale nie tylko gra słów. To także mądra taktyka. Stawianie wniosku absorbuje uwagę i odciąga tęże uwagę od wyciągania wniosków, na czym stawiającemu wniosek często zależy. Stawianie wniosków zastępuje też męczące zajęcie zwane popularnie pracą. Innymi słowy zwraca na coś uwagę a jednocześnie odwraca uwagę od czegoś innego.

Metoda i cel są zawsze te same. Obojętnie czy chodzi o Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych czy o Związek byłych pasażerów kolejki pruszkowskiej. Skutki dla świata, potężności i bezpośrednio wnioskiem zainteresowanych są oczywiście różne.

Pogodne myśli

Bywają i takie. Trudno się na nie niekiedy zdobyć. Lecz powodów jest zawsze sporo. Tylko się rozejrzeć i pomyśleć przez chwilę. Na każdego niezycieliwego człowieka znajdziesz pięciu życziwych. Na każdego zrzedę piętnastu beztroskich. Na każdego durnia przynajmniej jednego mądrego.

A jeśli nic pocieszającego wokół siebie nie znajdujesz to zastosuj jedyną mурowaną receptę. Śmieję się z samego siebie. Kto nie śmieję się z samego siebie zawsze kończy źle. Zostaje na przykład dyktatorem. Komunizm przypadnie tego samego dnia, w którym politbiuro zacznie się ze siebie śmiać.

Póki to nie nastąpi i gdy się nic pogodnego nie umie wymyślić podratujmy się kawalami. Na przykład:

W sądzie toczy się rozprawa o kradzieży samochodu. „Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie?“ — pyta sędzia.

— Jestem ofiarą logicznego rozumowania.

— Co to znaczy?

— Proszę wysokiego sądu. O dziesiątej rano patrzę: wóz stoi pusty. Poczekałem ze dwie godziny. Ciagle pusty. Poszedłem na obiad, wracam: wóz pusty. Czekalem całe popołudnie i wieczór. Ciagle pusty. O dziesiątej wieczór byłem pewien, że nie ma właściciela...

— Co takiego? I oskarżony nazywa to logicznym rozumowaniem?

— Oczywiście, przecież samochód stał przed ementarzem...

* * *

Jaś dostał rower i popisuje się przed mamą:

— Mama, patrz, bez rąk.

Uważaj Jasiu, uważaj — krzyczy przerażona matka.

Jaś zanosi się ze śmiechu:

— Mama, patrz bez nóg. Rzeczywiście, Jaś nogi założył na kierownicę i ręce wsunął do kieszeni.

Matka zamyka oczy z przerażenia. Za chwilę Jaś szarpie ją za rękę: Mama, patrz, bez zębów...

J. H. P.

W HOŁDZIE POLEGŁYM LOTNIKOM

TRZY ROCZNICE UCZCILI LOTNICY NA SWYM ZJEŹDZIE W LONDYNIE

W dniach 30 września i 1 października odbył się w Londynie w Domu Lotnika VI doroczny Zjazd Lotników Polskich. Był to Zjazd szczególnie ważny, gdyż łączono z nim aż trzy ważne w życiu lotników rocznice: 25-lecie otrzymania sztandaru z Wilna (a więc w czasie wojny), 40-tą rocznicę powstania Centrum Wyszkożenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie i 20-lecie Klubu Szybowcowego, w którym wychowuje się młode pokolenie lotników, które pewnego dnia ma przejąć tradycje swych starszych i bardziej doświadczonych kolegów.

W przededniu Zjazdu odbyła się w Domu Lotnika tradycyjna lampka wina, na którą przybyli liczni goście polscy i angielscy, wśród których znajdował się również Mayor Kensingtonu i Chelsea F. S. G. Fisher z małżonką. Polskie organizacje społeczne i kombatanckie reprezentowali: gen. K. Glabisz — przewodniczący Rady Głównej SPK, gen. K. Ziemiński — prezes Zarządu Głównego SPK, Z. Szadkowski — przewodniczący ZHP, P. Hęciak — prezes Zjednoczenia Polskiego, S. Soboniewski — prezes SPK W. Brytania, F. Miszczak — prezes Zarządu Głównego Koła AK i inni.

Następnego dnia odprawił ks. inf. W. Staniszewski w kościele św. Andrzeja Boboli Mszę św. za dusze poległych i zmarłych lotników, a piękne kazanie wygłosił ks. dziekan Kącki. W czasie Mszy św. śpiewał chór parafialny oraz chór szkoły sobotniej im. H. Sienkiewicza, która znajduje się pod szczególną opieką lotników, a solo Charaszewicz — bas i R. Berezowski — tenor.

Po Mszy św. wyjechali wszyscy autobusami i samochodami prywatnymi pod pomnik Lotnika Polskiego, gdzie rokrocznie odbywa się wzruszająca uroczystość złożenia wieńców i oddania hołdu pamięci poległych lotników. Uroczystość ta stała się tradycją w naszym życiu emigracyjnym i co roku bierze w niej udział coraz więcej organizacji. Nadto posiada ona swoją szczególną wymowę, gdyż odbywa się na skraju lotniska, skąd w czasie wojny startowali polscy lotnicy.

Po zapaleniu znicza przez przewodniczącego Zjazdu płk. J. Jeziorskiego trębacz angielskiej orkiestry Royal Air Force wykonali fanfary, po czym — przy dźwiękach marsza lotniczego — poczet sztandarowy Stowarzyszenia Lotników Polskich stanął u boku pomnika. Do pocztu podszedł gen. Anders i oddał hołd sztandarowi, uczyniła to także delegacja lotników polskich, przy czym płk. Jezierski ukłękawszy ucałował skraj sztandaru. Była to szczególnie wzruszająca chwila.

Z kolei rozpoczęło się składanie

wieńców. Pierwszy wieńiec w imieniu Polskich Sił Zbrojnych złożył gen. Anders w towarzystwie prezesa SLP płk. A. Gabszewicza i prezesa Stow. Marynarki Woj. W. Nadratowskiego, następnie delegacje: SPK, Marynarki Wojennej, Zw. Polskich Spadochroniarzy, Koła AK, RAF-u, Szkoły Sobotniej im. H. Sienkiewicza, Zjednoczenia Polskiego, burmistrz Hillingdonu, delegacja Polskich Sił Powietrznych i Klubu Szybowcowego, istniejącego przy Stow. Lotników Polskich.

Po zapowiedzi mjr. Putza: „W drugiej wojnie światowej poległo na polu chwały 2216 żołnierzy Polskich Sił Powietrznych“ padła odpowiedź: „Cześć ich pamięci“.

Z kolei delegacje różnych polskich formacji lotniczych oddały hołd, najpierw sztandarowi a następnie — podszedłszy pod pomnik — pamięci kolegów. Po modlitwie odmówionej przez ks. inf. Staniszewskiego orkiestra odegrała hymny polski i angielski.

Po południu odbył się obiad koleżeński. W czasie obiadu przemówił gen. Anders:

„Wasz sztandar — Drodzy Lotnicy — wyhaftowany i poświęcony został w roku, w którym dokonaliście czynów największych, które na zawsze okryły chwałą lotnictwo polskie w ostatniej wojnie.

Wróćmy myślą do dawniejszych lat, kiedy budowano podstawy naszego lotnictwa w Polsce. Kolebką lotników naszych, którzy później tak sławnie walczyli na Zachodzie, był Dęblin.

W Polsce lotnicy nasi nie zdążyli walczyć z rozmaitych względów: materialnych, maszynowych i krótkotrwałości wojny, ale wkrótce wykazali swe umiejętności i gorącą wolę walki — tutaj na obczyźnie.

Przejdźmy do obecnych czasów. Mamy tutaj nasz Klub Szybowcowy. Tak się złożyło, że Przewłocki który jest prezesem tego Klubu, jest synem mego wielkiego przyjaciela jeszcze z Pułku Krechowieckiego.

Dzisiaj Klub Szybowcowy rozwija się i to jest rzeczą dobrą i ważną.

W Polsce było dużo tradycji wojskowych dobrych, ale były też i złe. Przeżyliśmy dobre, szczególnie w lotnictwie i daj Boże, aby one trwały i przetrwały

do naszego powrotu do Polski znowu wolnej i niepodległej. Ja mam prawo o tym mówić, bo jestem jednym z niewielu, którzy już w latach 1919 i 1920 przeprowadzali bojowe loty.

Żadna broń nie osiągnęła takiego rozwoju i nie poszła naprzód w tak szybkim tempie jak lotnictwo. Jakie będą samoloty przyszłości — nie wiem. Nowych wynalazków wojennych jest wiele. Ludzkość boi się nowej światowej wojny. Czy ona nastąpi? Najnowsza historia nas uczy, że co 20 — 25 lat wybuchą jakaś nowa wojna.

Z tych, którzy byli u władzy w Rosji, kiedy ja tam byłem, pozostał tylko Breżniew, Kosygin i Susłow. A czy nowi ludzie tam — są nowego pokroju? Bardzo w to wątpię. Nie można polegać tylko na tym, że Rosja jest przeciwko Chinom. Była nieco podobna sytuacja przed laty, jednak nastąpiła przyjaźń pomiędzy Stalinem a Hitlerem. Czy dziś nie może to samo nastąpić?

Obecne wewnętrzne walki między czołowymi komunistami nie będą miały bezpośredniego znaczenia dla losów Polski, gdzie ścierają się dwie siły: narzucony siłą, reżym komunistyczny, a z drugiej strony cały Naród Polski. Wierzę głęboko, że jeżeli nie my wszyscy, to młodzi spośród nas wrócą na pewno do Polski i zanoszą Wasz sztandar na którym wypisano „Miłość żąda ofiary“. Głęboko wierze, że taki dzień nadejdzie“.

A po obiedzie rozpoczęły się obrady wewnętrzne, na których m.in. postanowiono wysłać adres hołdowniczy do ks. kardynała Heenana oraz listy z pozdrowieniami koleżeńskimi do generałów: Rayskiego, Ujejskiego, Karpińskiego i Sznuka. Wybrano także przewodniczącego na rok przyszły — został nim płk. pilot Robert Beill.

(p. h.)

W OBRONIE PRAWDY HISTORYCZNEJ

W najbliższym czasie ukaże się nakładem S. P. K. wydawnictwo pt.: „W obronie prawdy historycznej“ obejmujące wyniki dyskusji, przeprowadzonej przez Biuro Studiów SPK o książce Józefa Mackiewicza „Lewa wolna“.



Prezydium zjazdu delegatów kół SPK w Wielkiej Brytanii — od lewej: J. Raca (Wellingborough) — sekretarz, S. Jurowski — wiceprzewodniczący, J. Żaba (Manchester) — przewodniczący, P. Hęciak (Londyn) — wiceprzewodniczący i Z. Wojnarowski (Preston) — sekretarz.

W Sheffieldzie — jak w każdym większym mieście — można błędzić, nie dotrzeć od razu do miejsca przeznaczenia, mieć wątpliwości. W jednym tylko wypadku nie sposób się pomylić: gdy idzie o rozstrzygnięcie na oko, który z domów przy ulicy Dover należy do SPK. Dom ten „niewielki, lecz zewsząd chędogi“ pod niektórymi względami kojarzy się z dworem w Soplicowie: jak tamten stoi „na pagórku niewielkim“, jak tamten świeci z dala pobielanymi ścianami, a raczej frontem malowanym farbą bardzo biało-czerwoną i wreszcie to, że można w nim „napić się i nadyszeć polskości“. Można, bo nie samym słowem człowiek żyje, napić się także rodzimej siwuchy i angielskiego ginu lub whisky, nie mówiąc już o piwie, którego cena bardziej odpowiada możliwościom płatniczym ogółu, co oczywiście, sprawia, że napój ten syczy się tu strugą większą od innych.

W tym właśnie sheffieldowskim Domu Kombatanta — tu porównania z Soplicowem rozchodzą się — odbył się nie ostatni zjazd lecz tylko zjazd delegatów kół SPK w Wielkiej Brytanii. Przybyli ze stu ośrodków rozrzuconych po Anglii, Szkocji i Walii, by przez dwa pracowite dni (8 i 9 października) zebrań plenarnych i na komisjach trudzić się tematyką społeczną.

W zjazdach kombatanckich można z reguły odkryć trzy główne nurty, z których tworzy się ich treść. Po pierwsze są one okazją do powiedzenia sobie, jak przebiegała praca w poszczególnych kółach, jakie były osiągnięcia i jakie kłody leżały pod nogami, a wreszcie, jakie są zamierzenia na przyszłość. Drugą dziedzinę stanowią te wszystkie sprawy, które przychodzą z zewnątrz do Stowarzyszenia, a interesują nas Polaków lub ściślej nas dotyczą, słowem sprawy wobec których trzeba przyjąć taką czy inną postawę. W końcu, zjazd ma nakazaną statutem organizacyjnym procedurę, która wymaga zatwierdzenia sprawozdania władz krajowych i wyboru nowego kierownictwa.

Mówiąc o pracy i osiągnięciach brytyjskiego SPK w roku pańskim 1965/6, należy przygotować prawicę do okłasków. Był to rok pomyślny, bogaty w czyny społeczne. Stowarzyszenie nie tyl-

ko nie uroniło niczego ze swej aktywności, ale pod niektórymi względami wydatnie ją zwiększyło. Natchnień do tej wzmożonej działalności dostarczył w dużej mierze rok milennijny.

Dla tych, którzy wołają cyfry niż słowa, warto przytoczyć przynajmniej kilka z „vital statistics“ tej ciągle jeszcze najżywoźniejszej polskiej organizacji społecznej na wyspach brytyjskich. Liczy ona obecnie 6.527 członków. Choć większość ich stanowią byli żołnierze, a więc ludzie w wieku średnim i starszym, to jednak nie brak jest także jednostek młodszych. Rozpiętość wieku duża: najstarszy delegat na zjeździe liczył lat 73, najmłodsza delegatka lat 19. Dodam może przy tej sposobności, że Stowarzyszenie ma 550 członkiń. Do 44 szkół przedmiotów ojczystych, pozostających pod opieką SPK w tym kraju, uczęszcza 2.400 dzieci, czy je 180 nauczycieli. Wśród młodzieży najwięcej zwolenników ma, oczywiście, sport. Związek Polskich Klubów Sportowych przy SPK zrzesza około 2.000 członków w 46 klubach. Domów Kombatanta w W. Brytanii jest 29. W okresie sprawozdawczym Stowarzyszenie wydało na cele społeczne, głównie na oświatę, młodzież i sport oraz opiekę społeczną około £23.000.

Krąg zagadnień zjazdowych objął również kilka takich, które nie należą do tradycyjnego repertuaru działalności Stowarzyszenia. Jednym z nich jest millennium. Zarówno w Londynie jak i w ośrodkach prowincjonalnych główny ciężar organizowania uroczystości Tyśiąclecia spoczywał niemal z reguły na SPK. Społeczeństwo polskie w tym kraju dostrzegło i w pełni doceniło ten wielki wysiłek Stowarzyszenia. Rok milennijny dobiega końca. Finałe tysięcznej rocznicy organizują w W. Brytanii „Szkoci“ 27 listopada oraz Manchester 11 grudnia.

W ramach debat Zjazdu znalazła się również nowa próba rozbięcia jedności organizacyjnej społeczeństwa polskiego w W. Brytanii. Wygląda na to, że po okresie „zmiękczenia“, odpowiednie czynniki reżymowe dały hasło tutejszym agentom swoim do „zorganizowania“ nas. Zadania tego podjął się „Tymczasowy Komitet Organizacyjny Polonii

DNI

SPOŁECZNE

W

SHEFFIELD

Brytyjskiej“. Nikt chyba nie wątpi w to, że jesteśmy tu w Anglii zorganizowani. Wystarczy przypomnieć przebieg uroczystości milennijnych w Londynie i na prowincji. Należy więc przypuszczać, że chodzi tu o przeorganizowanie nas lub też zorganizowanie na inną modłę, wiadomo jaką. Zjazd określił swój stosunek do tej kolejnej dywersji uchwala, która mówi sama za siebie. (Zamieszczamy ją na innym miejscu w obecnym numerze „Orła“).

Dłuższą chwilę w obradach Zjazdu zajęła dyskusja na temat prasy emigracyjnej, a w szczególności miesięcznika „Orzeł Biały“. Wszyscy delegaci stwierdzali jednomyślnie konieczność posiadania własnego organu prasowego, który byłby z ducha i z treści kombatancki, utrzymywał jak najściślejszy związek z życiem polskim społecznym w świecie i był redagowany w formie żywej i popularnej.

Wreszcie, zgodnie z wymogami statutu, Zjazd przyjął do wiadomości sprawozdanie z działalności Zarządu krajowego, wyraził mu unanie za trudy i znoje całorocznej pracy i uchwalił budżet na rok 1966/7 w wysokości £7.350.

Na nową kadencję, tym razem dwuletnią, bo następny zjazd postanowiono odbyć w roku 1968, wybrano: prezesem — Stefana Soboniewskiego; wiceprezesami — Stefana Brewkę oraz Jana Wawrzkiwicza; sekretarzem — Tadeusza Krasonia; skarbnikiem — Mariana Siewińskiego; członkami Zarządu „bez teki“ — Czesława Czaplńskiego, Stanisława Kaczmarczyka, Józefa Racę oraz Ryszarda Zakrzewskiego.

Organizacja Zjazdu wzorowa, spotkała się z uznaniem wszystkich delegatów, imieniem których przewodniczący kol. inż. J. Żaba wyraził uznanie zarówno Kołu nr. 439 jak i głównemu kwatermistrzowi kol. Pacewiczowi. Nie spisały się tylko pociągi brytyjskie, które w niedzielę kursowały z opóźnieniem, ale na to organizatorzy Zjazdu wpłynęli nie mieli.

A. Czulowski

Główne wnioski Zjazdu S.P.K. W. Brytania

Szkoły przedmiotów ojczyustych.

Od początku swego istnienia SPK uważało pracę w szkołach przedmiotów ojczyustych i wśród młodzieży za jeden z najważniejszych swoich obowiązków. Podsumowując, z okazji 20-lecia swego istnienia, dorobek w tych dziedzinach, Stowarzyszenie składa serdeczne podziękowanie nauczycielstwu, duchowieństwu, rodzicom i organizacjom społecznym za współpracę i pomoc.

W dziedzinie organizowania nadzoru pedagogicznego i poradnictwa fachowego SPK pracuje od wielu lat z zawodową organizacją nauczycielską — Zrzeszeniem Nauczycielstwa Polskiego za Granicą, które w tym roku obchodzi srebrny jubileusz działalności. Zjazd wyraża uznanie Zrzeszeniu i wzywa wszystkie ognia do zacieśnienia i poszerzenia tej współpracy.

Zjazd poleca uwadze zarządów Kół sprawę rozbudowy pracy poszczególnych szkół, aby jeśli to jest możliwe, każda placówka nauczania ojczyustego prowadziła przedszkole, kurs szkoły podstawowej, kurs gimnazjalny, a w jego ra-

mach lub oddzielnie, kurs przygotowujący do egzaminu z języka polskiego w szkołach angielskich na niższym i wyższym poziomie.

Zjazd zwraca uwagę na potrzebę otoczenia w pracy szkolnej specjalną opieką dzieci z małżeństw mieszanych.

Zjazd apeluje do Zarządu SPK W. Brytania o ożywienie pracy inspektorów szkolnych, organizowanie rejonowych konferencji nauczycielskich i wszczęcie akcji dokształcania nauczycieli.

Powszechna organizacja Polaków.

Zjazd wita z uznaniem uchwałę Światowego Zjazdu SPK w sprawie przyszłości organizacji, tworzenia powszechnej organizacji społecznej na terenach, na których będą po temu warunki oraz w sprawie Światowego Kongresu Polskiego. Zjazd poleca Zarządowi SPK w W. Brytanii poświęcić pilnej uwagi tym zagadnieniom we współpracy z innymi organizacjami kombatanckimi i Zjednoczeniem Polskim w W. Brytanii oraz przygotowanie własnych rozwiązań na terenie W. Brytanii na przyszły Zjazd SPK w tym kraju.

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny.

Zjazd SPK w W. Brytanii wyraża uznanie dla inicjatywy Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie zbudowania „Domu Polskiego“, w którym znajdą pomieszczenie polskie zbiory muzealno-archiwalne i biblioteczne, a instytucje kulturalne i społeczne lokale dla swej pracy.

Zjazd apeluje do kół i członków o popieranie tej tak pożytecznej akcji przez zapisywanie się na członków i wpłacanie odpowiednich udziałów.

„Orzeł Biały“.

Zjazd SPK w W. Brytanii opowiada się za podtrzymaniem i poparciem czasopisma „Orzeł Biały“.

Zjazd przypomina kołom obowiązek dopilnowania prenumeraty „Orła Białego“ conajmniej do wysokości 5% stanu członków. Do czasu, gdy ta sytuacja zaistnieje, koła mają obowiązek pokrywania z własnych funduszy prenumeraty czasopisma w tej samej ilości egzemplarzy.



UCZESTNICY XX-GO ZJAZDU S.P.K. W. BRYTANIA RZED DOMEM KOMBATANTA W SHEFFIELD

z prezesem Rady Głównej gen. K. Glabiszem, prezesem Zarządu Głównego Federacji Światowej SPK, gen. K. Ziemińskim i prezesem SPK W. Brytania S. Soboniewskim na czele.

Nowe próby dywersji reżymowej.

W ostatnich miesiącach zawiązał się w W. Brytanii tzw. Tymczasowy Komitet Organizacyjny Zrzeszenia Polonii Brytyjskiej. Puszczono w ruch ulotki i deklaracje mające na celu werbunek członków do tej „organizacji“.

Podając powyższe do wiadomości, Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w W. Brytanii przypomina dotychczasowe uchwały władz Stowarzyszenia w tych sprawach i ostrzega społeczeństwo przed tą nową próbą stwarzania zamętu i prowadzenia dywersji.

POMYŚLNY ROZWÓJ SPK W STANACH ZJEDNOCZONYCH

VI krajowy zjazd SPK w Stanach Zjednoczonych, który odbył się 3 i 4 września w Nowym Jorku, zgromadził delegatów z kilkudziesięciu kół. Organizacja kombatantska w USA kroczy po drodze pomyślnego rozwoju, powiększa z roku na rok swój stan organizacyjny, pozostaje niezachwiana ideologicznie mimo dywersyjnych usiłowań reżymu warszawskiego, prowadzi żywą działalność społeczną.

SPK posiada 34 koła, rozmieszczone w różnych punktach Stanów Zjednoczonych. W ubiegłej kadencji SPK przyszło z wydatną pomocą całemu szeregowi organizacji oraz instytucji jak inwalidom wojennym, prasie polskiej, szkołom, harcerstwu, bibliotekom. Stowarzyszenie wydaje własny organ — „Kombatant w Ameryce“, bierze żywy udział w pracach Kongresu Polonii Amerykańskiej, utrzymuje kontakt z organizacjami weterańskimi, z duchowieństwem, z kongresmanami polskiego pochodzenia. Zarząd krajowy wydał i rozprowadził dotychczas 225.00. specjalnego znaczka millenniumowego.

Zjazd, który obradował pod przewodnictwem kol. W. Stępienia, udzielił absolutorium ustępującemu Zarządowi oraz wybrał nowe władze w następującym składzie: prezes — inż. S. Gierat; wiceprezesa — J. Krzyżanowski, W. Łoboda, W. Pilecki; naczelny kapelan — ks. dr H. Leśniński; sekretarz gen. — Z. Nowak; skarbnik — O. Jaskold; członkowie Zarządu — K. Bendyk, W. Cieśla, J. Ptak, F. Skowyrza, E. Kleszczyński, E. Witt i St. Kruk.

PIĘTNASTOLECIE SPK W AUSTRALII

W tym roku SPK w Australii obchodzi piętnastą rocznicę swego istnienia. Z tej okazji władze Federacji przesłały do Zarządu krajowego pismo następującej treści:

„Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Australii obchodzi w roku bieżącym, pamiętnym roku Tysiąclecia Polskiej Chrześcijańskiej, piętnastą rocznicę swego istnienia.

Rocznica ta jest nie tylko odświętną chwilą naszego Stowarzyszenia; w równej mierze ma ona głęboką wymowę dla całej społeczności polskiej w Australii: SPK bowiem jest organizacją, której praca służy dobru powszechnemu Polaków.

Powołali ją do życia żołnierze 2-giej wojny światowej, których duży odsetek wybrał gościnną ziemię australijską jako miejsce osiedlenia, gdy stało się rzeczą oczywistą, że Polska w wyniku wojny wolności prawdziwej nie odzyskała.

Od początku swego istnienia po dzień dzisiejszy SPK posiada charakter organizacji ideowej obejmującej zasięgiem swej działalności cały szereg dziedzin naszego życia zbiorowego. Przyświeca mu zasada: **nie co polskie nie jest nam obce.**

Ogromny jest dorobek społeczny SPK w Australii. Jest ono przodującą organizacją polską w tym kraju, pełniącą zaszczytne zadania na odcinkach życia kulturalnego, oświatowego i opieki społecznej.

W piętnastą rocznicę SPK w Australii płyną do Was, Drodzy Koledzy, życzenia serdeczne od kolegów z pozostałych 22 ognisk krajowych SPK wraz z zapewnieniem, że dobrze służyliście sprawom polskim.“

UZNANIE DLA HEROIZMU POLAKÓW

W Buffalo w Stanach Zjednoczonych zorganizowano staraniem Rady Polsko-amerykańskiej dla Spraw Kulturalnych oraz lokalnego Towarzystwa Historycznego wystawę pt. „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie światowej“. W dniu otwarcia wystawy 29 września wygłosił przemówienie płk. R. Molyneaux, dyrektor Buffalo State College, który m. innymi powiedział: „Polska była pierwszym narodem, który przeciwstawił się hitlerowskiemu Niemcom, mimo że stosunek potencjału wojennego był jak 72 do 1 na korzyść Niemiec“. Molyneaux złożył również hołd Armii Podziemnej, która liczyła ćwierć miliona i nie posiadała żadnych środków prócz życia ludzkiego — które żołnierze jej chętnie oddawali za Polskę.

Czy jesteś członkiem SPK?

Przemawiał również Ksiądz Biskup W. Rubin, który podkreślił znaczenie rocznicy Tysiąclecia Polskiej Chrześcijańskiej.

Wśród eksponatów wystawy znalazły się fotografie, mundury wojskowe, broń i odznaki jednostek bojowych.

TRZY ROCZNICE W OSŁO

W stolicy Norwegii odbyło się staraniem Koła SPK zebranie poświęcone trzem rocznicom: Piłsudskiego, Sienkiewicza oraz Paderewskiego: Pogadankę o Marszałku Piłsudskim wygłosił, zaproszony ze Szwecji gen. Przyjałkowski. O Sienkiewiczu i Paderewskim mówił sekretarz Koła Jan Kunert.

KARTKI NA FUNDUSZ OPIEKI NAD CMENTARZAMI

Zarząd SPK w Italii wydał — dla zasilenia funduszy na konserwację polskich cmentarzy wojennych w Italii — specjalną kartkę, pomyślaną jako potwierdzenie odbioru daru w wysokości 500 lirów na ten cel. Kartka przedstawia widok czterech naszych cmentarzy wojennych: na Monte Cassino, w Bolonii, Loreto i Casamassima. Kartka jest kolportowana także w innych krajach za pośrednictwem ogniw SPK.

DEKORACJA PREZ. ZIEMSKIEGO I PŁK. IRANEK-OSMECKIEGO

Przebywający na emigracji król jugosłowiański Piotr II, pragnąc dać wyraz swego podziwu i hołdu dla bohaterstwa Polskiej Armii Podziemnej, przyznał gen. K. Ziemińskiemu oraz płk. K. Iranek-Osmeckiemu Krzyż Pamiętkowy Drugiej Wojny Światowej 1941-45.

Dekoracji w imieniu króla dokonał w dniu 10 września br. major Milos Pavicević.

DAR PREZYDENTA JOHNSONA

Prezydent Stanów Zjednoczonych ofiarował dla kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej w miejscowości Panna Maria, Teksas mozaikę przedstawiającą Matkę Boską Częstochowską.

Uroczystość umieszczenia mozaiki w sanktuarium kościelnym, połączona z obchodem millenniumowym, odbyła się 23 października br. pod auspicjami arcybiskupa Roberta E. Lucey.

Panna Maria była pierwszą stałą kolonią polską w Ameryce. W ramach uroczystości odbyła się procesja z obrazem mozaikowym Matki Boskiej Częstochowskiej do historycznego dębu, po którym odbyła się pierwsza Msza dziękczynna polskich pielgrzymów w roku 1854.

Arcybiskup Pragi Czeskiej Kardynał Beran na obchodzie Millennium w Zurichu

Podniosłą uroczystość rozpoczęła pontyfikalna Msza św. celebrowana przez kardynała Józefa Berana arcybiskupa Pragi. Ks. kardynał wygłosił na wstępie krótkie przemówienie w języku czeskim i niemieckim, w którym zobrazował rozwój kultury chrześcijańskiej Polski. „Tylko wiara chrześcijańska może dać Polsce pokój, a jego narodowi prawdziwe szczęście“ — zakończył książd Kardynał.

Kazanie wygłosił wikariusz generalny ks. dr Alfred Theobaldi. Poruszył sprawę listu Episkopatu polskiego do biskupów niemieckich, oraz zaproszenie przez Kardynała Wyszyńskiego licznych dostojników Kościoła, którym obecny reżym odmówił wizy wjazdowej. Stwierdził, że religia katolicka odgrywa w Polsce ogromną rolę. Na 31 milionów Polaków jest 95 % katolików. W końcowej fazie prosił kaznodzieja o pokój dla całego narodu, który przeszedł przez tyle cierpień i klęsk.

Największy kościół katolicki w Zurichu „Liebfrauenkirche“ nie mógł pomieścić całej masy wiernych. Prócz Polaków i Szwajcarów, przybyli przedstawiciele narodów z za żelaznej kurtyny, stosunkowo licznie reprezentowani byli Czesi, a najliczniej Węgrzy. Przed ołtarzem ustawił się zastęp szwajcarskiej gwardii papieskiej w historycznych mundurach z halabardami, z oficerem na czele.

Dalsza część uroczystości odbyła się w auli Uniwersytetu. Słowo wstępne oraz powitanie wygłosił Ojciec Rektor I. M. Bocheński, prezes Komitetu Obchodu Tysiąclecia w Szwajcarii. Szczególnie serdecznie powitał Ojciec Rektor Jego Eminencję Kardynała J. Berana, a licznie zebrana publiczność zgotowała dostojnemu Gościowi spontaniczną owację.

Pianista Erwin Laszlo (Węgier) odegrał cztery utwory Chopina (2 Nokturny, Balladę nr 3 i Poloneza op. 53). Referat pt. „Rozważania o historycznym losie Polski“ wygłosił profesor uniwersytetu w Bernie, W. Hofer, świetnie opracowany referat, wygłoszony z niezwykłą swadą i temperamentem spotkał się z ogromnym zainteresowaniem i uznaniem. Analizując z prawdziwym znawstwem dzieje Polski profesor Hofer stwierdził, że Polska może być symbolem walki o wolność, że naród, który nie stracił wiary w siebie, zginąć nie może.

Aula wypełniona była po brzegi, zebrano się ponad 600 osób. Salę gusto-

wnie udekorował p. T. Wojnarski. Dekoracje dopełniała pokaźna grupa węgierskiej młodzieży w strojach narodowych, także Polki wystąpiły w barwnych pasiakach łowickich i pięknie haftowanych strojach śląskich.

Po części oficjalnej uczestnicy uroczystości spotkali się w Kasynie Zürichhorn nad jeziorem, gdzie czekał obiad. W miłym nastroju spędzono kilka godzin. W tymże Kasynie mogli goście pokrzepić nie tylko wygodzone ciało, ugasić pragnienie, ale przygotowano też — coś dla ducha... Instytucja Kiermasz Książki Polskiej SPK urządziła wystawę i sprzedaż książki polskiej i poloników. Cały rząd stołów ob-

stawiono książkami — około 500 tytułów. Prócz książek polskich widzieliśmy tłumaczenia — niemieckie, francuskie, angielskie, włoskie i — arabskie... („Nieboska“ — Krasińskiego).

Kiermasz miał duże powodzenie. Na wystawie uwzględniono specjalnie wydawnictwa dotyczące Millennium.

Pod koniec należy podkreślić ogromne zasługi w urzędzeniu tego święta dra Janusza Rakowskiego, który jako członek Komitetu głównego i lokalnego był motorem całej udanej imprezy. Całemu Komitetowi należą się podziękowania za poniesiony trud i pracę.

Kazimierz Vincenz

JERZY PASZKOWSKI

OBCHODY MILENIJNE W SZWAJCARII

Uroczystości Tysiąclecia znalazły w Szwajcarii piękny oddźwięk zarówno w uchwale rozbudowy domu Misji Katolickiej, co jest bliskie urzeczywistnienia, jak i w pięknych obchodach.

Rozpoczęli je Polacy w St. Gallen, zrzeszeni w Kole Polskim i w Kołach SPK w St. Gallen i Frauenfeld. Pod przewodnictwem mgr Mierzwy odbyła się uroczysta akademii na której przemówienie wygłosił ks. Frania, zastępca Rektora Polskiej Misji Katolickiej w Szwajcarii. W części artystycznej wystąpił prof. Zaczkowski oraz chór młodych Szwajcarów i Szwajczarek ze studium operowego miejscowej sceny. Wykonano polskie utwory chóralne z XVII wieku. O znaczeniu przyjęcia chrztu przez Polskę mówił mgr. Jakimowicz, prezes Koła SPK w St. Gallen.

Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu urządziło także obchód Tysiąclecia.

Towarzystwem kieruje od lat dr Gut, a sekretarzem jest ruchliwy redaktor Ratgeb, który potrafił do Komitetu wciągnąć Zarząd Miejski, zarząd zboru obywatelskiego, miejscowe chóry i Związek Restauratorów. Uzyskane dochody przeznaczono na cele polskie. Utwory Chopina wykonał prof. Zaczkowski. Należy się wdzięczność opatowi klasztoru Benedyktynów w Einsiedeln (szwajcarskiej Częstochowy), ks. bisk. Tschudy, który odprawił Mszę św.

Koło SPK Solura-Burgdorf urządziło także uroczystość Tysiąclecia. W organizowaniu uroczystości pomagali prezesowi Gmurczykowi pp. Dziągwa, Konieczny, Kwapniewski i mgr. Respond. Pię-

kne zaproszenia, ozdobione artystyczną winietą, wykonała szwajcarska firma Vogt-Schild. Mszę św. celebrował ks. biskup Bazylei i Solury von Streng. Sama uroczystość, na którą przybyli przedstawiciele władz szwajcarskich, społeczeństwa i prasy, stała się manifestacją przyjaźni polsko-szwajcarskiej. Przemówienie powitalne wygłosił płk. Karolus — prezes Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii i prezes SPK Szwajcaria, a referat okolicznościowy wygłosił mgr. Respond. W części artystycznej z repertuarem pieśni chopinowskich wystąpił prof. Zaczkowski z małżonką oraz miejscowy skrzypek prof. Fischlin. W strojach narodowych wystąpili polskie dzieci.

Warto przypomnieć, że Solura odgrywa w życiu polskim szczególną rolę. Posiada silne Koło SPK, a poza tym tu właśnie „rozbił swe namioty“ p. Vincenz ze swym Kiermaszem Książki Polskiej, umożliwiając naszym rodakom zapoznanie się z polskim piśmiennictwem. Nadto dużymi sympatiami otaczają Polaków miejscowi Szwajcarzy. W Solurze istnieje od dawna Towarzystwo Kościuszkowskie, na czele którego stoi prezydent miasta Robert Kurz, z którym współpracują: p. Wirth — wysoki urzędnik kantonalny i pani Tatarinow. Towarzystwo utrzymuje muzeum po Kościuszcze, które zawsze warto odwiedzić — narówni z muzeum w Rapperswilu. Na przedmieściu Solury, Zuchwil, znajduje się pomnik Kościuszki, a obok piękna kaplica 2 Dywizji Strzelców Piechoty, zbudowana przez b. żołnierzy dywizji wraz z tablicą honorową pole-

głych żołnierzy 2 DSP. W samej Solurze Towarzystwo postawiło ku czci Kociuszki pomnik-wodotrysk.

W pobliżu Solury znajduje się miasteczko Grenchen, w którym dowódca powstania z 1863 r., gen. Mierosławski, otrzymał także obywatelstwo, by jako obywatela szwajcarskiego uwolnić go z więzienia austriackiego. Wdzięczni Polacy ofiarowali miasteczku pomnik Polski Walczącej, w wykonaniu rzeźbiarza Stankiewicza i Złoty Krzyż Zasługi.

Do tych dowodów przyjaźni dla Polaków chciałbym dodać własne wspomnienia:

W 1957 r. odwiedził Szwajcarię gen. T. Bór-Komorowski, by na zaproszenie szwajcarskiego Związku Oficerów wygłosić w różnych kołach odczyt o powstaniu warszawskim. Takich odczytów było 18, plus publiczny odczyt w Zürichu. Koło Związku Oficerów w Solurze nie zwróciło uwagi na okólnik swych władz o przyjeździe gen. Bora i wobec tego gen. Bór nie zamierzał przyjechać do Solury. Wywołało to duże poruszenie i dopiero w wyniku interwencji władz głównych Związku Oficerów gen. Bór przedłużył swój pobyt w Szwajcarii i odwiedził także Solurę. Gdy później Koło Żołnierzy 2 DSP zwróciło się do różnych Kół Związku Oficerów z apelem o pomoc dla Polaków wracających z Rosji, Koło w Solurze przesało na ten cel i pieniądze i liczne paczki z odzieżą.

I wspomnienie drugie:

Szczerze uczucia życzliwości dla Polaków żywi również ks. biskup von Streng. Gdy w 1940 r. 2 DSP została internowana w Szwajcarii, utworzone zostały dla młodych żołnierzy polskich z cenzurą obozy uniwersyteckie, m.in. przy Wyższej Szkole Handlowej w St. Gallen. Obóz ten był początkowo umieszczony w Sirnach. Burmistrzem tej miejscowości był wówczas śp. von Streng, rodzinny brat ks. biskupa. Jakkolwiek zostaliśmy rozkwaterowani po rodzinach, obowiązywał nas surowy regulamin, zabraniający utrzymywania stosunków z ludnością cywilną (poza stosunkami wynikającymi z zakwaterowania). W razie przekroczenia tych przepisów mogliśmy być karani w takim samym stopniu jak np. płeć piękna Szwajcarii. Ponieważ oddziały szwajcarskie, które nas pilnowały, nie należały do wyborowych, stosunkowo łatwo było te zakazy obchodzić.

W takiej atmosferze obchodziliśmy pierwszą gwiazdkę na obcej ziemi. Nastroje nie były najlepsze. Burmistrz von Streng czynił wszystko, by nam te święta umilić. Od ludności cywilnej otrzymaliśmy paczki, choć zakaz „rozdziału” obowiązywał nadal. I wtedy właśnie na jednej z naszych uroczysto-

ści zjawił się niespodziewanie ks. biskup von Streng, bawiący właśnie u swego brata. Wygłosił do nas przemówienie, pełne wiary w zwycięstwo sprawiedliwości. Był to jakby promień słońca, który wpadł nagle do naszego zamkniętego życia. I wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że poza suchym przepisem formalnym, na dnie serca istnieje dla nas, wśród ludności szwajcarskiej, wiele zrozumienia dla naszej doli i życzliwej przyjaźni.

Ks. biskup von Streng wystąpił raz jeszcze czynnie w obronie Polaków. Otoż w czerwcu 1941 roku miejscowy komendant odcinka zabronił żołnierzom polskim brać udziału w procesji Bożego Ciała, by nie dopuścić do „bratania się z ludnością cywilną.” Mogliśmy jedynie przypatrywać się procesji. Wówczas jeden z Polaków, st. sierż. pdch. mgr. Adam Kozłowski — namówiwszy kilku kolegów — siłą i wbrew zakazowi dołączył do procesji, wywołując wściekłość komendanta, który zagroził aresztem i usunięciem z obozu. Wówczas burmistrz m. Sirnach zawiadomił o całym incydencie swego brata, ks. biskupa, który natychmiast podjął interwencję w rządzie związkowym, w wyniku której zakaz oraz groźba aresztu zostały uchylone. Cała sprawa skończyła się dla Kozłow-

skiego naganą przy raporcie, za niewykonanie rozkazu wojskowego. Tą interwencją zyskał sobie ks. biskup w naszych kołach wielki szacunek.

Napisałem nieco szerzej o Solurze, gdyż w tym kantonie, może najbardziej niemieckim ze wszystkich kantonów szwajcarskich, mamy wielu szczerych przyjaciół. Dlatego zachęcam Polaków do odwiedzania Solury, zwłaszcza, że kanton położony jest przepięknie nad rzeką, płynącą malowniczo pośród urwiskowych i lesistych gór jurajskich, a jego stolica posiada piękną, barokową katedrę, stare mury obronne i staroświeckie kamienice.

Jerzy Paszkowski

WPLACILI DO NASZEGO
PRZEDSTAWICIELSTWA W PARYŻU
NA „LEKARSTWA DO KRAJU“:

- 4096 L. S. Plat (por. M. Normark) F. 67.50
- 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) ... F. 50.00
- 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) F. 28.60
- 4088 L. S. Co. (kpt. K. Rogoziński) F. 32.00
- 6954 L.S. Ln. Det. (plk. A. Potoczek) F. 81.00
- 4505 L. S. Plat (kpt. S. Borkowski) F. 53.00

Serdecznie dziękujemy

KRZYŻÓWKA Nr 587/66

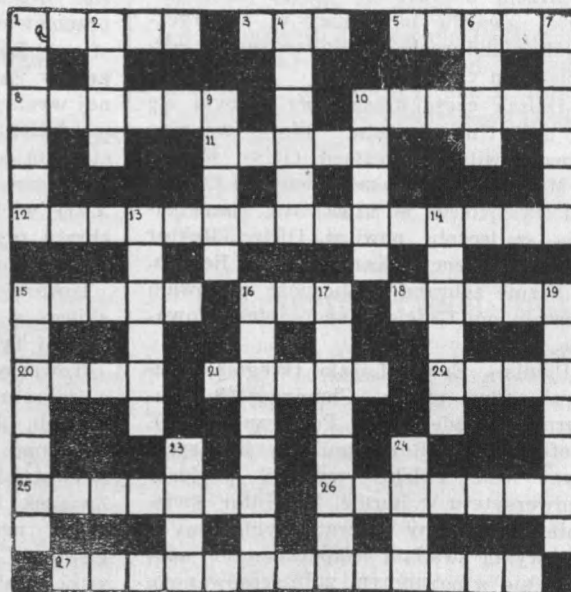
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) łączy i strzeła; 3) i 16) nieuk; 5) największy człowiek starożytności; 8) pokój (wspak); 10) broń kłameczucha?; 11) zadowoleni; 12) hiszpański dramat w literaturze polskiej (6, 9); 15) i 18) zależność państwowa; 20) i 22) melodia z nad Dunaju; 21) roślina, związana ze Słowackim; 25) marny ludzki los; 26) założyciel ich zakonu pochodził z kraju Basków; 27) legenda wyprawiająca stąd wszelkie nieszczęścia (6, 7).

Pionowe: 1) zalotnik ze sceny?; 2) i 6) jemu powierzasz wszelkie tajemnice; 4) spotkanie; 7) hardy, pyszny; 9) odgłos; 10) drzewa; 13) to robią bociany w wodzie (wspak); 14) załoga; 15) równie wielki jak Verdi; 16) Mickiewicz, Zan lub Czeczot; 17) ślamazara; 19) ciągle się o nim pisze i mówi, nawet dzieciom, w tym roku (wspak); 23) osiać na nim to zawiesz się; 24) truje i dusi

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 586/65

Poziome: 1) i 5) zawierucha, 3) i 16) ewikła, 8) izobar, 10) zmiana, 11) uklon,



12) Zaczarowane Koło, 15) wyspy, 18) wezyr (wspak), 20) i 22) ochotnik, 21) zмова (wspak), 25) apanaże (wspak), 26) tabelka (wspak), 27) Zmierzech bogów.

Pionowe: 1) Zgierz, 2) wlot, 4) Waclaw, 6) czas, 7) adagio, 9) Artur (wspak), 10) znany, 13) zapłon, 14) krypta, 15) wzorzec, 16) kawalarz, 17) almanach, 19) wykrety, 23) i 24) Waterloo.

POŻEGNANIE BABILONU

W DZIECIŃSTWIE słowo Babilon nie miało nic wspólnego ze Starym Testamentem, ani historią starożytną, której i tak nie „brało się“ jeszcze w klasie wstępnej. Dla pogodnych dni mego dzieciństwa Babilon, czy raczej pożegnanie z nim, było równoznaczne z końcem wakacji letnich i odjazdem do Warszawy do siedmiu ciotecznych babek, którymi szczerobliwy Pan Bóg wieku XIX-go obdarzył moich pradziadków. To one właśnie, pozostałe siedem z dwunastu pięknych siostr były tym pierwszym, ukochanym Babilonem, czy raczej Rzeczpospolitą Babińską, osiadłą na resztówce. Babilony, babo-ciotki, te zameżne i te już owdowiałe i te wciąż jeszcze dziewicze, uczyły mnie w nieskończenie długie, jak zawsze w dzieciństwie i nieskończenie szczęśliwe wakacje letnie wielu ważnych rzeczy: a więc miłości ojczyzny i smażenia konfitur, literatury pięknej na starych zeszytach „Chimery“ i historii Powstania, kiedy to pradiadkowi „dobra zabrano za czyn powstańczy“. Dziś wiem, że dobre te nie były nigdy prawdziwymi dobrami i że nikt ich rodzinie naszej „za czyn powstańczy“ nie odebrał. Prostu pradiadek wolał Monte Carlo od folwarku, w Monte Carlo zaś najbardziej ze wszystkich atrakcji tej lazurowej Niniwi cenił sobie towarzystwo jego wdzięcznych, a kosztownych mieszkanek, które na pewno bardziej zasługiwały na miano cór Babilonu, niż poczciwe dziewczęta pozostawione w domu.

Taki to więc był mój pierwszy Babilon. Gdy w starszej klasie doszliśmy i do historycznego Babilonu, katecheta powiedział nam, że była to smutna kraina. „Smutna, grzechem ponurym, smutna, gdyż ptaki odmawiały w Babilonie śpiewu, a dzieci śmiać się nie umiały“.

Potem przyszły czasy innych Babilonów, często nie zauważonych, jak na przykład Paryż z pierwszych lat studiów. Gdy wyjeżdżałam tam po raz pierwszy matka moja, dawno wyzwolona z babilońskiej niewoli ciotek, nowoczesna i postępową (Stefa rozwodzi się — pisały do siebie ciotki — biedne, biedne jej dziecko!) uważała, że na odjeźdźnym należy mi powiedzieć wiele straszliwych prawd. Jąkała więc w swych pożegnalnych przestrożach o zabórzych apetytach francuskich mężczyzn, o brzydkich chorobach, których się można nabawić przez najniewinniejszy pocałunek i o jeszcze brzydszych propozycjach, czynionych młodym dziewczętom na paryskiej ulicy. Biedna mama, nie

wiedziała, że w Warszawie mili starsi panowie od dawna starali się wtajemniczyć mnie w treść podobnych propozycji w jej własnym salonie, między podaniem a rozlaniem popołudniowej herbaty, gdy mama zniknęła na chwilę z pokoju.

Po Paryżu, z którego jako najpierwsze wrażenie wyniosłam zapach kasztanów w Luksemburskim ogrodzie i bolesny aż do egzaltowanych łez czar Place Royale, tego placu, gdzie nieśmiało przysiadłam nad pierwszym w życiu „Porto-Flip“ czyli jajecznym cocktailem — wiele było innych Babilonów. Niektóre z nich pozostawiły wspomnienie serdeczności i smutku, jak np. długie rozmowy w nocy pachnącej pomarańczowym kwiatem na ławce przy Promenade des Anglais w Nicei. Przygodnie spotkana rówieśniczka, córka rosyjskich emigrantów, opowiadała mi o przymusie swego zawodu: paŃny sklepowej — cum week-endowej prostytutki. Siedziałyśmy nad ciemnym morzem, pod palmami, które zamykały nam niebo nad głową wachlarzem nieruchomych liści, liczyłyśmy cery na sfatygowanych pończochach i wbrew wszystkiemu czekałyśmy na życie — ona i ja jednakowo naiwnie.

Aż wreszcie po latach, gdy tyle Babilonów zapadło w przeszłość — i tych dobrych z resztówki i tych nieprzeczuwanych nawet z paryskich studiów i tych niepokojących w opowiadaniach rosyjskiej dziewczyny — natknęłam się znów na jeszcze jeden Babilon, na smutny Babilon ze słów mego księdza-katechety, gdzie nie śpiewają ptaki, a dzieci są bez uśmiechu.

Znalazłam się w Barcelonie.

Zawsze kochałam Hiszpanię poznaną z książek. Do dzisiaj wierzę, że cień Don Kiszota odbija się długim, wychudzonym cieniem na skrzydle hiszpańskiego wiatraka, jeśli uchwycę go w odpowiedniej chwili w światło samochodowych reflektorów. Zawsze kochałam Hiszpanię z książek czytanych w młodości, na kartkach których, między liniami, odczytywałam wielką przygodę życia, która mogła być kiedyś i moim udziałem. Książki te były przeważnie romansami Blasco Ibañeza, jak „Krew na Arenie“, czy „Mare Nostrum“. Pamiętam, jak po przeczytaniu „Krwii na Arenie“ chodziłam przez tydzień okrutna i piękna jak Doña Sol — a cała Hiszpania, jej krajobraz i ludzie, jej mężczyźni i cnoty, jej zemsty i namiętności były wszystkim tym, do czego tęskniła moja własna młodość. Kocha-

łam i poznawałam Hiszpanię także przez filmy „made in U.S.A.“, gdzie seńorita w mantyli spływającej z wysoko we włosy wpiętego grzebienia patrzyła z za żelaznej kraty balkonu jak w dole, na patio, błyszczą dla niej sztylety rywali.

I sędzę, że tę Hiszpanię tanią niewybrednym romantyzmem młodości, wciąż jeszcze noszę w sercu z wdzięczności za złudzenia, jakimi mnie karmiła. Być może, iż ta moja Hiszpania istnieje nawet naprawdę w jakimś zakątku, do którego nie danym mi było dotrzeć. To, że istnieje dalej Hiszpania dumna i pogardliwa, godna i nieprzystępna — wie moc tych, którzy pokochali ją nie tak, jak ja — z naiwnych o niej wyobrażeń, ale z codziennego z nią współżycia. Lecz ta Hiszpania ukrywa się przed turystą, pokazując oblicze tylko wybranym. I zaiste, trzeba mieć oko sokole i bardzo do niej dojrzałą miłość, aby ją dojrzeć z okna wagonu na Costa Brava, czy też przez samochodową szybę na zakurzonej szosie.

Nie lubię Hiszpanii, która tuż za granicą francuską przekształca się z martwych nazw w atlasie w żywy kraj, która zamartwychwstaje ubogim miastem, wąską uliczką i monotonnym krajobrazem. Nie lubię Hiszpanii, po której bezdrzewnych drogach ciągną ostatkiem sił w białym pyłe odparzone, przeładowane osły. Nie lubię Hiszpanii, gdzie w blasku prowincjonalnych reklam, jukeboxów i barów, taniego przepychu toledańskich wyrobów i śpiewów-nie-śpiewów z za węgla brudnej kamienicy wyciąga się ku mnie dłoń młodej żebraczki, tulącej pokryte liszajami dziecko. Niestety, żebraczka to już nie obraz z kina i nie romantyczna nowela i obraz ten położy się na długo cieniem na pamięci w tym smutnym kraju „prosperity“ dla wybranych.

Ręka, którą wyciągnęła się ku mnie w noc fiesty z cienia barcelońskiej ulicy, gdy wszystkie statki w porcie rozżarzyły się barwnymi lampionami, a tłum amerykańskich marynarzy rozlał się białą pianą mundurów po avenidach — ta ręka, jak drogowskaz do czyścica wskazywała mi, że oto po latach znalazłam się w najprawdziwszym ze wszystkich mi znanych Babilonów.

Może powinnam od razu zastrzec się przed zarzutami tych narkomanów wszystkiego co hiszpańskie, których szeregi pęcznieją corocznie za każdym wylądowaniem na tej ziemi kontyngentem Cook'a. Otóż tym narkomanom, tym poszukiwaczom słońca bez cienia i

ziemi bez drzewa, odpowiem, że ... nie znam Hiszpanii. I, że nie chcę jej poznać. I, że wolę zachować o niej swoje własne wyobrażenie, że wolę wspominać ją papierową i piękną, celuloidową i szlachetną i wierzyć dalej, że owa święta Hiszpania istnieje i że to tylko ja nie dojechałam do niej i pewnie już nigdy nie dojadę, bo nigdy nie dogania się marzeń młodości.

To prawda, że miałam odwagę zapuścić się jedynie na skrawek tego kraju, tuż za francuską granicą i że z miast hiszpańskich poznałam tylko Barcelonę. Poza tym znam tylko jedną z jej wysp, białą wapiennym prochem, dostojną, z niezamieszkałą przestrzenią, wciąż jeszcze nie odkrytą przez turystów. Na tę wyspę ukołysaną słońcem, pozbawioną zieleni, o linii skał tak ostrej, jak gdyby Pan Bóg na niej zaprawiał się dopiero do późniejszego stworzenia Capri, czy niektórych wysp greckich — na tę wyspę o nieciekawej katedrze i wspinałym portalu z czasów Filipa II, na pewno dobrze jest wrócić, aby umrzeć w jej bezlitosnym blasku, jak na otwartej arenie — lecz nie, aby żyć. Trudno jest bowiem żyć beztrudno na glebie, na której wszystko ginie, gdzie nic żyć nie chce, chociażby sadzone było najtroskliwszą ręką.

I to jest już cała Hiszpania, jaką ją znam.

Lecz wróćmy do Barcelony.

Jest to Babilon smutny, a jednocześnie niepokojący, gdyż powstał na ziemi, której mieszkańcy od dawna podejrzewali, że wszystko co ziemskie i cielesne, pogodne i lekkie pochodzić musi od Szatana.

Dopiero tu, w Barcelonie, zrozumiałam słowa księdza-katechety, że grzech jest brzydki i że grzech jest smutny. Gdzieindziej, na przykład w Neapolu, ten sam grzech wyglądał jakoś inaczej, jakby zawierał element radości wbrew sobie samemu. A czasami nawet był piękny. W Neapolu, na uliczkach starego miasta, czai się on tak samo, jak w Barcelonie trójgłowy grzech nędzy, rozputy i złodziejstwa. Lecz, aby ukryć przed nami potrójnie potępioną twarz, grzech neapolitański przyodziewa się w kolorowe festony bielizny, rozwieszanej pomiędzy ścianami domów, a dziewczyna, która wyciąga dłoń z paczką amerykańskich papierosów i pokazując nagie ciało pod rozdartą bluzką, ofiarując przejezdnemu najtańszy i jedyny jaki ma towar, czyni to pogodnie i wdzięcznie. Mały łobuziak, żebrzący o kilka lirów, dostawczy je — nagrodzi ofiarodawcę promiennym uśmiechem, wytnie mu pod nogami koziołka i pobiegnie przed siebie, skrzykując wesoło towarzyszy z nad rynsztoków. A jeżeli w Neapolu zostanie się okradzionym, to... Nie, tutaj wygrywa Hiszpania. W

Hiszpanii nie okradają na ulicy.

W Barcelonie żebrzą dzieci i młodzi. Podczas trzech pobytów w tym mieście nie spotkałam, ani jednego żebrzącego starca. Może pamiętni na swą tradycję starzy nędzarze zachowali postawę, której wyrzekło się pokolenie ich wnuków? Czy to nie moda na Hiszpanię odebrała młodym, a wciąż straszliwie biednym ich nonszalancję i pewną dumę z tej biedy?

Idąc ulicami Barcelony ściszałam w rękę garść monet. W połowie krótkiego spaceru rozdałam wszystkie. Z bram, spod krzyżujących udekorowanych wystaw, na skwerkach, siedząc koło ławek, a nigdy na nich — wyciągały się ku mnie piastki niemowląt i ręce karmiących matek, o twarzach ciemnych od głodu.

Barcelońskie sklepy krzyczały olbrzymimi plakatami „Liquidación“ w obramowaniu odwróconych na wzór cudzoziemskiego spaceru rozdałam wszystkie. Z bram, spod krzyżujących udekorowanych wystaw, na skwerkach, siedząc koło ławek, a nigdy na nich — wyciągały się ku mnie piastki niemowląt i ręce karmiących matek, o twarzach ciemnych od głodu.

Barcelońskie sklepy krzyczały olbrzymimi plakatami „Liquidación“ w obramowaniu odwróconych na wzór cudzoziemskiego spaceru rozdałam wszystkie. Z bram, spod krzyżujących udekorowanych wystaw, na skwerkach, siedząc koło ławek, a nigdy na nich — wyciągały się ku mnie piastki niemowląt i ręce karmiących matek, o twarzach ciemnych od głodu.

Barcelońskie sklepy krzyczały olbrzymimi plakatami „Liquidación“ w obramowaniu odwróconych na wzór cudzoziemskiego spaceru rozdałam wszystkie. Z bram, spod krzyżujących udekorowanych wystaw, na skwerkach, siedząc koło ławek, a nigdy na nich — wyciągały się ku mnie piastki niemowląt i ręce karmiących matek, o twarzach ciemnych od głodu.

W pewnym ogromnym sklepie koło Ramblas natrafiwałam na dział kosmetyczny, ale dziwny to był dział, bo dla najmłodszych dzieci. Oglądałam towar na ladzie, nie wierząc własnym oczom: oto woda kolońska w litrowych butlach „Por Niños de la Sociedad“ i mała buteleczki z jaskrawym lakierem dla ledwo od ziemi dorosłych dziewczynek. Tak, kosmetyki dla dzieci, które jeśli należą szczęśliwie do La Sociedad, to straszą trądzikiem potowych wyprysków, spowite w szale, pieluchy i swetry, są blade, niewyrośnięte i bez uśmiechu tak samo jak dzieci nędzy. Jedyna różnica między nimi to zapach tej wody kolońskiej, zalatujący z wózka oraz pazury koloru cynobru, którymi nas straszy dwuletnia dziewczynka, skacząc cierpliwie i milcząco przez wiklinową skakankę.

Ala pozostaniemy jeszcze na Ramblas,

tej naprawdę pięknej barcelońskiej ulicy, którą należy chyba z polską określić mianem Plant. Tutaj ostatni Babilon Europy odkrywa przed nami jeszcze jedno oblicze „grzechu, który jest smutny“, grzechu znanego już z szosy podmiejskiej — okrucieństwa dla zwierząt. W kłatkach wielkości kartki papieru bez kształtu cienia, męczą się na rozłożystych Ramblas ptaki i króliki, psy i koty, białe gasy i żółwie. Dla podtrzymania ich gasnącego życia nikt nie zajądzie się o miskę wody, czy żdźbło jedzenia. Tuż obok ich klatek zapobiegliwa kwiaciarka podlewa pieczołowicie swój towar, lecz przecież zwierzę, to nie kwiat, wytrzyma do chwili ewentualnej sprzedaży bez wody i bez strawy. Patrząc na umęczonych braci homo sapiens — wspominam walkę byków, znaną mi tylko z plakatów i myślę, że w o wiele lepszym położeniu jest byk na arenie, który w ostatnim przedśmiertnym zrywem może się zrównać z momentem z człowiekiem, zadając mu ból, a nawet śmierć.

I wreszcie nad Barceloną zapada leniwa noc. Smutny Babilon zbyt szybkiej „prosperity“ ożywia się „nocną hańbą i obłęsną rozpustą“, jak o Paryżu mówiły mi kiedyś moje prywatne Babilony z resztówki.

Tej ostatniej nocy przed moim odjazdem flota amerykańska zakotwiczona w porcie, miała „wychodne“. Nie wiadomo, czy było to wychodne dane im tak sobie, aby się chłopcy przewietrzyli, czy też Barcelona obchodziła właśnie jedną z niezliczonych fest, jakiegoś swego patrona, którego święto amerykańscy marynarze mieli uhonorować swą obecnością na lądzie.

Późnym wieczorem z nad kawiarnianego stolika na Ramblas przyglądałam się odwiecznemu procederowi sprzedanej miłości. I naraz, paradoksalnie, Hiszpania lat młodych, ta godna i dumna, ta bliska szlachectwem ducha i obyczajowi, wyszła mi naprzeciw w szafirowej nocy stukotem drobnej kobiecej stopy, nieśmiałym skłonieniem szyi barcelońskiej córki Babilonu.

Amerykańscy marynarze pozostawili za sobą statki, odcinające się od tła czarno-migotliwego morza, jak smutne wraki, od góry tylko oświetlone długimi różańcami kolorowych żarówek. Szli ławą od portu, jak biała szarańcza. Taksamo biała jak oni „military police“ szła bokiem, chodnikami, zaganiając stado, czujna, ale jeszcze neutralna. I naraz, jak dwie fale wezbrane przycięciem księżycy — biali chłopcy spotkali się z barcelońskimi prostytutkami.

Jest ich w tym mieście około dziesięciu tysięcy, a więc zapewne tyle, co w Marsylii. Wybiegły z bocznych uliczek odchodzących od Ramblas, z zaułków, domów i podcieni, które oglądane za

dnia są bardzo malownicze, ale poprostu nie wierzy się, aby tam na prawdę, na codzień — mógł ktoś żyć i mieszkać, spać i jeść.

Dwie fale spotkały się. Dziewczyny wybiegały na jezdnię, poprawiając włosy. Zbiegały z chodników, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo. Nie zaczepiały. Przechodziły bokiem, bez podniesienia głowy, drobne i ciemne, nie zawsze młode, o znużonych, nie uszminekowanych twarzach. Gdy któryś z marynarzy zatrzymał się, czyniąc gest przywołania, barcelońska dziewczyna — tak, to chyba tak wyglądało, tak właśnie — owijała się o niego jak powój, jak gdyby na jego mocne ramię czekała przez całe życie. Niektóre z nich dotykały wstydliwie rękawą białego munduru, inne przytulały na chwilę głowę do dobrane odżywnego amerykańskiego torsu. Marynarze obejmowali je ramieniem, wsiadali w uliczki, skąd przed chwilą wybiegły dziewczyny.

Kiedy około północy wracałam krętymi calles, prowadzących do portu, próżno nadsłuchiwałam, czy nie dojdą mnie krzyki pijanych awantur, targi i swary. Miasto leżało pod księżycem, uciszone nocą, mimo neonów i ochryplego śpiewu z juke-boxów. Smutny Babilon załatwiał swoje miłosne sprawy wstydliwie i dyskretnie. Wspomniałam niefrasobliwy humor paryskich kokot, swobodnie rozsiadłych na wysokich stołkach — ich grzech przez radość życia, którą nosiły w sobie, był może mniej grzeszny, mniej odrażający, weselszy i lepszy, niż grzech barceloński.

Na pewno Hiszpania, którą poznałam, ta wycinkowa i pograniczna nie jest prawdziwa. Chyba tylko u samych jej brzegów, jak na niektórych nowo powstałych plażach Costa Brava, gdzie między rozpalonymi słońcem ciałami turystów przepędza się ciągle stada baranów. — Europa wyrzuciła swój „flot-sam and jetsam“ wszystkiego, co jest nie do przyjęcia dla innych jej miast — tekstylną tkaninę marnego gatunku, niezabawny kabaret, ckliwą wodę toaletową dla Niños de Sociedad. Ale, co kryje się głębiej w ziemi hiszpańskiej, której nie znam?

Boję się, że pod wszystkimi portalami wyciągają się ku przechodniom ręce wyżarte liszajem niedożywienia, a dzieci bawią się wszędzie bez uśmiechu. Czy naprawdę gdzieś w głębi tego kraju jest krzaczasto i kwiatowo, pogodnie i beztrosko? Czy znajdę kiedykolwiek coś — stan, widok, scenę czy impresję, którąbym mogła zapamiętać jako „uśmiech Hiszpanii“?

Naprzeciw wesołego miasteczka na górze Tibidabo, góra Montserrat zasłania błękit widnokregu. Twarz Czarnej Madonny z tego słynnego klasztoru zwrócona jest ku miastu, oczy jej je-

dnak widzą tylko niebo. Twarz Czarnej Madonny jest surowa jak ziemia, która ją wydała, twarzą jak ręka rzeźbiarza, który ozdobił ją rysami kobiet tej ziemi, jest obojętna i smutna, nielitościwa.

Modlitwa u jej stóp, ofiara z chybotnącą żółtym promieniem świecy, nie przynosi uciszenia serca. Opuszczam ziemię hiszpańską z tęsknotą za jej prawdziwym obliczem marzenia, które nie tylko może ja noszę w sercu, ale i własni jej synowie — najpiękniejszą bo przez miłość wywołaną tęsknotą za nieistniejącym.

Paula Powileńska

UŁANI MAŁOPOLSCY W SZKOCJI

31 sierpnia 1920 roku na polach Komarowa rozegrana została, jeżeli nie największa, to jedna z największych bitew kawaleryjskich podczas wojny polsko-bolszewickiej. Pracym na zachód sotniom Budiennego zagroziły drogę pułki ułańskie i szarżując raz po raz, w czasie których to szarż dochodziło do walki na białą broń, spychały bolszewików ku wschodowi, by wreszcie zmusić ich do panicznej ucieczki.

W bitwie tej, zaszczytny brał udział 9. Pułk Ułanów Małopolskich, walnie przyczyniając się do odniesionego zwycięstwa. W barwach tego pułku, jako oficer, walczył zmarły ostatnio generał Tadeusz Bór-Komorowski, który w latach późniejszych, 1926-1938, był dowódcą tego pułku.

Dzień bitwy pod Komarowem stał się dniem święta 9. Pułku Ułanów Małopolskich. Pułk ten należał do tych nielicznych oddziałów, które zostały odrodzone na obczyźnie. Bardzo uroczyste pułk obchodził i nadal obchodzi swoje święto, organizowane corocznie przez koło „dziewiątaków“. W tym roku Koło 9. Pułku Ułanów Małopolskich, Sekcja „Szkocja“ obchodziła pułkowe święto w niedzielę 4 września w Edynburgu. Uroczystości rozpoczęło nabożeństwo za poległych i zmarłych ułanów pułku, odprawione przez ks. infułata L. Bombasa w kościele polskim, pięknie i pomysłowo udekorowanym emblematami ułańskimi.

Głównym punktem programu obchodu święta był żołnierski obiad, w którym wzięli udział: generał St. Maczek, ks. infułat L. Bombasa, delegacje kół kawaleryjskich — Beliniaków, 1. Ułanów, 7. Ułanów, 8. Ułanów, 14. Ułanów i 21. Ułanów, oraz liczne grono „dziewiątaków, którzy na swe święto zjechali z całej Szkocji, przywożąc ze sobą żony,

synów i córki. Podczas obiadu okolicznościowe przemówienie wygłosił generał St. Maczek, a następnie zabierali głos: rtm. W. Minor, rtm. A. Smolka. Listę przemówień zamknął rtm. Z. Biliński, prezes Sekcji „Szkocja“ i gospodarz uroczystości, który wezwał zebranych do uczczenia pamięci zmarłego starszego kolegi, generała T. Bora-Komorowskiego, minutą milczenia. W nabożeństwie i obiedzie żołnierskim wzięli również udział goście z Polski. Jeden z nich powiedział: „Jadąc do Szkocji, nie przypuszczałem, że będę uczestnikiem tak pięknej i wzruszającej uroczystości. Będzie to dla mnie niezapomniane przeżycie“.

Końcowym akcentem święta „dziewiątaków“ było doroczne zebranie Sekcji „Szkocja“, na którym przede wszystkim omawiano konieczność dalszego prowadzenia koleżeńskej pomocy dla kolegów tej pomocy potrzebujących i to zarówno w W. Brytanii jak i w Polsce. Pomoc ta, stale prowadzona od szeregu lat, jest bardzo wydatna, na co zarząd Sekcji kładzie duży nacisk. Kierownictwo Sekcji powierzone zostało nadal rtm. Z. Sas-Bilińskiemu, któremu złożono serdeczne podziękowanie za całą dotychczasową działalność.

St. Błaszczak

MOZESZ WYSŁAĆ
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego
Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony
(bez podpinka i z podpinką)
i tak dalej
Každy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
M. B. GRABOWSKI
175; DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

NOWE WYDANIE
głośniejszej książki
STEFANA KORBOŃSKIEGO
„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej
Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S.W.11.

WYPRAWA „BLIŹNIAKÓW NR 11“

NAJNOWSZY SUKCES AMERYKANÓW W KOSMOSIE

WYPRAWA „Gemini 11“, jak zresztą wszystkie poprzednie wyprawy kosmiczne, została zaplanowana w celu zapoznania astronautów z techniką i problematyką lotów kosmicznych, a szczególnie projektowanej wyprawy statku kosmicznego „Apollo“ na księżyc, który ma się odbyć już w bardzo niedalekiej przyszłości. Od chwili wystrzelenia rakiety od czasu wylowienia jej z morza w odległości tylko 2 mil od planowanego punktu upadku, wszystko odbyło się z niezwykłą precyzją, z wyjątkiem spaceru w kosmosie astronauty Gordona. To jedyne niepowodzenie dostarczyło jednak naukowcom wiele informacji, które zostaną wykorzystane przy rozpracowaniu zagadnień bezpieczeństwa astronautów w przyszłych wyprawach, a także raz jeszcze przypominała nam, że w tak skomplikowanej operacji jaką jest lot kosmiczny, człowiek jest w dalszym ciągu tym czynnikiem, który może zawieść.

Kłopoty astronauty Gordona zaczęły się już w kilka minut po opuszczeniu kapsułki. Jedną z pierwszych czynności jakie wykonał było odczepienie aparatu do mierzenia promieni kosmicznych, przyczepionego do kapsułki i przymocowanie automatycznego aparatu filmowego. Wydawałoby się więc, że nie trzeba było dużego wysiłku, aby wykonać te czynności, a jednak Gordon miał twarz zlaną potem, co w dużym stopniu utrudniało mu widoczność. Po kilkuminutowym wycieczki przesunął on się w kierunku nosa kapsułki, który był przyczepiony do rakiety „Agena“, gdzie przymocował linkę plastikową. Po wykonaniu tych czynności Gordon był już tak wyczerpany, że jego dalsze przebywanie poza kapsułką stało się niemożliwe. Trudności z jakimi spotkał się Gordon posłużyły za dowód uczonym z N.A.S.A. (amerykański urząd planowania lotów kosmicznych), że sam wysiłek przy poruszaniu rękami i nogami w czasie spaceru w kosmosie jest dużo bardziej wyczerpujący niż dotychczas przypuszczano. W rezultacie w przyszłych lotach kosmicznych wycieczki astronautów w kosmos zostaną ograniczone do minimum.

Informacje jakie zdołano zebrać w czasie lotu kapsułki „Gemini“ — przeszły wszelkie oczekiwania. W 94 minuty po wystrzeleniu z Cape Kennedy, będąc jeszcze stale w pierwszej orbicie, astronauta Conrad i Gordon spotkali się i przyczepili swoją kapsułkę do rakiety

„Agena“, która została wystrzelona zaledwie kilka godzin wcześniej. Było to pierwsze tego rodzaju połączenie się dwóch rakiet w kosmosie w tak krótkim czasie po wystrzeleniu. W podobny zresztą sposób nastąpi połączenie statków kosmicznych, w których Amerykanie mają zamiar udać się na księżyc.

Będąc przyczepieni do jednej z najpotężniejszych rakiet jaką jest „Agena“, astronauta „Gemini 11“ wznieśli się na najwyższą odległość od ziemi, jaką człowiek kiedykolwiek dotychczas osiągnął. Aby wznieść się na wysokość 850 mil ponad ziemię, astronauta zużyli trzy czwarte tony paliwa w ciągu 25 sekund.

Podczas gdy kapsułka osiągała maksymalną odległość od ziemi, Conrad nie mógł ukryć swego podniecenia — wykrzykiwał on: „To jest wprost fantastyczne i nie do uwierzenia“. „Widzę Indie w lewym okienku, Borneo przed sobą, a Australię w prawym okienku. Ziemia jest okrągła“.

W ciągu trzeciego dnia w przestrzeni Conrad odczepił kapsułkę „Gemini“ od rakiety „Agena“ i używając rakiet manewrowych oddalał się powoli, aż stu-stopowej długości linka, przyczepiona przez Gordona do „Agena“ napięła się. Z chwilą gdy rakiety zostały wyłączone, oba statki kosmiczne zaczęły obracać się bezwładnie, a linka łącząca je wirowała ruchem skakanki. Przez ponowne użycie rakiet Conrad był zdolny do wprowadzenia obu statków kosmicznych w ruch kołowy, wokół punktu na linie, znajdującego się w odległości 35 stóp od kapsułki „Gemini“.

Stopniowo, podczas gdy „Gemini“ i „Agena“ obracały się, zataczając koło, wibracje linki łączącej je ustały i oba pojazdy kontynuowały podróż dookoła ziemi w stałej od siebie odległości. Eksperyment ten dowiódł, że pojazdy kosmiczne, połączone ze sobą, mogą krążyć dookoła ziemi nie zużywając cennego paliwa. Niektórzy uczeni przypuszczają nawet, że już w bardzo niedalekiej przyszłości całe kolonie statków kosmicznych połączonych ze sobą w podobny sposób, będą okrężały ziemię, stanowiąc bazy zaopatrzeniowe dla astronautów, wybierających się poza obręb ziemi.

Podczas tego lotu zauważono jeszcze jedną ciekawą rzecz, a mianowicie, że powolny obrót obu pojazdów wokół osi stworzył własne pole grawitacji, które spowodowało, że drobne przedmioty,

znajdujące się w kabinie Gemini przesuwały się w kierunku jej tylnej ściany.

Po trzech godzinach lotu linka została odczepiona, uwalniając oba pojazdy. W czasie swej trzydniowej podróży dookoła ziemi astronauta zdołali kilkakrotnie przyczepić i odczepić kapsułkę „Gemini“ od i do rakiety „Agena“, zużywając przy tych manewrach minimalną ilość paliwa. Teraz właśnie po odczepieniu się linki łączącej ich z „Ageną“, postanowili raz jeszcze wypróbować ten manewr, który zresztą odbył się bez komplikacji.

Po tym ostatnim manewrze, astronauta zaczęli przygotowania do powrotu na ziemię. W tym celu użyto po raz pierwszy małego komputera, znajdującego się na pokładzie „Gemini“, który objął całkowitą kontrolę nad kapsułką. Wypalił on rakiety hamujące w ściśle określonym czasie, aby kapsułka utrzymała się na wytyczonej drodze i opadała na ziemię z odpowiednią szybkością. Jak świetnie komputer się spisał, świadczy fakt, że Gemini spadła tylko w odległości 2 mil od punktu, który został ustalony przed wystrzeleniem rakiety.

Z HISTORII RAKIET:

KTO PIERWSZY UŻYŁ RAKIETĘ?

Jak wiemy rakiety poruszane są siłą odrzutu, wytworzonego przez spalającą się w bardzo szybkim tempie materiały wybuchowy. Powstające podczas spalania gazy uchodzą z znaczną szybkością przez umieszczoną w dolnej części rakiety dyszę — odrzut ten powoduje wzlot rakiety w górę. Chociaż zasada odrzutu została opracowana dopiero przez Newtona, który ogłosił ją jako jedno ze swych słynnych praw ruchu, to praktyczne wykorzystanie tej zasady sięga znacznie odleglejszych czasów. Pewne wzmianki historyczne wskazują, że na wiele wieków przed Newtonem stosowano już w Chinach rakiety prochowe jako narzędzia bojowe. Były to raketowe pociski zapalające. Te ogniowe strzały różniły się od zwykłych tym, że przymocowywano do nich rurki z bambusu, otwarte tylko z jednego końca i napełnione mieszkanką palną, być może prochem. Po zapaleniu tego ładunku, wypuszczano strzałę z łuku. Siła odrzutu wydobytających się gazów zwiększała szybkość, a tym samym i zasięg strzał, jak również i siłę ich uderzenia.

HUMOR STAROPOLSKI

CZĘŚĆ CZWARTA

MIECZYŚLAW PASZKIEWICZ

WSPOMNIAŁEM już poprzednio, że dzieje polskiego humoru bardzo długo ograniczały się do literatury, nie znajdując prawie żadnego odzwierciedlenia w plastyce. Nawet makabryczny humor „Tańca Śmierci” reprezentowany w naszej poezji średniowiecznej „Rozmową Mistrza ze Śmiercią” doczekał się rodzimego ujęcia malarskiego chyba dopiero na przełomie XVII i XVIII wieku.

Nim jednak owemu „Tańcowi” z kościoła Bernardynów w Krakowie poświęcimy nieco uwagi, trzeba się przyrzec innej, artystycznie ambitnej koncepcji, której ani element humoru ani śmierci nie jest obcy. Chodzi mi o stiukowe dekoracje kaplicy Pana Jezusa w kościele w Tarłowie, w Sandomierskim. Dekoracja ta powstała, wraz z całym kościołem, około połowy XVII w., z fundacji Zbigniewa Oleśnickiego, starosty opoczyńskiego.

Składa się ona między innymi z cyklu scen w których śmierć, bądź pod postacią szkieletu, bądź truchła, towarzyszy przedstawicielom stanów, zawodów i generacji. Cyklowi temu niezasłużenie mało poświęcono dotąd uwagi. Wyróżnia się on bowiem wielką siłą ekspresji połączoną z humorem po mistrzowski wyrażonym. Nie jest chyba przypadkiem dla czasu szczytowego rozkwitu sarmatyzmu, że najbardziej udane są sceny przedstawiające szlachcica i magnata.

Postać pierwszego ma w sobie daleko więcej dynamicznej krewkości: całym ciałem odsuwa się od wstrętnego widziadła. Lewą ręką wspiera jeszcze niepewnie na nadziaku, prawą uchyla kołpaka. Jego całkiem na serio przerażenie jest przecież dla nas, widzów, szczerze komiczne: na twarzy żyły nabrzmiały od nagłego wzruszenia, w ryśkach, w geście, lęk miesza się z gniewem, z zadzierzystością. Truchło uśmie-

cha się połową twarzy, poufale kładzie dłoń na ramieniu ofiary, drugą czyni gest przestrogi, a może pouczenia. Szczegóły stroju — wyraźnie realistyczne, nagromadzenie realiów, szabla u boku, za pasem pugił i bat, ładownica przewieszona przez pierś, wszystko to podkreśla kontrastowość sytuacji.

Uderza różnica w potraktowaniu sceny z magnatem, zdradzająca pasję artysty do charakteryzowania, do portretowania cech psychicznych: Tu postać jest niemal statyczna, gesty opalone. Wrażenie to wzmacnia brak wszelkich rekwizytów, w poprzedniej scenie udatnie zwiększających element niepokoju. Magnat czyta uważnie, z napięciem, trzymany w obu dłoniach list czy cyrograf. Śmierć śmiejąc się, wskazuje na pismo palcem, ale unika poufałości, stara się nawet w postawie zachować dworną oględność, skromnie zasłaniając swe przyrodzenie udrapowaną tkaniną.

Musił ten cykl być powszechnie znany, szczególnie w Małopolsce, i dziwi, że w fraszce Wespazjana Kochowskiego pt. „Kujawskie Biesiady”, która powstała chyba w niewiele lat po tarłowskich stiukach (najpóźniej w dwadzieścia cztery!) odzywa się echem jakiś daleki taniec śmierci, wyraźny ślad lektury („W Anglijej śmierć tańczyła, jako jedne pisze...”) zamiast tego pysznego a będącego pod ręką. A przecież jedna z jego fraszek, mianowicie „O kasztelanie” brzmi niemal jak komentarz do sceny „magnata i śmierci”:

Nie dał sobie o śmierci żadnej czynić wzmianki

Kasztelan, w najmniejsze z nią nie chcąc wchodzić szranki.

Jedną razą pytam się gdzie jest? a już po nim;

Nie myślał on o śmierci, ale ona o nim.

Zapewne jeszcze za życia Kochowskiego powstał inny „Taniec”, mianowicie wspomniane już malowidło z kościoła Bernardynów w Krakowie. Jego koncepcja; ilustracje zaopatrzone w satyryczne czterowiersze; ikonograficzne szczegóły (symbole mijającego czasu, piekło w postaci zębatej paszczy potwora), wszystko to świadczy o ścisłym związku z uniwersalistycznym średniowieczem, jak zresztą w wielu innych dziełach baroku, a ma także powiązania ze współczesną sobie grafiką niemiecką, ale lokalny koloryt, siedemnastowieczna, sarmacka polskość, wyziera wyraźnie spod kaptura mistycznego schematu.

Oto obok tradycyjnych par śmierci z papieżem, królem, chłopem itd. wplecione są charakterystyczne dla polskiej rzeczywistości scenki — jak choćby kościotrupy dobierające się do Turków i Żydów, gdzie wierszyk-objaśnienie wyraźnie świadczy o niepopularności u nas tych nacji w owym czasie:

Sprośni Turcy, brzydzy Żydz
Jak się wami Śmierć nie hydzi?
Na żydowskie nie dba smrody
Z dzikiemi skacze narody.

W scenkach bramujących malowidło zachowana jest reguła dość konsekwentnie przestrzegana w Tańcach wcześniejszych, średniowiecznych — uwzględniania jako partnerów śmierci wyłącznie mężczyzn. (Kanon ten zatracił się zapewne we wczesno-renesansowych, przeważnie drzeworytniczych przedstawieniach). Ten swoisty „antyfeminizm” wynagradza część środkowa, gdzie w tanecznym kole łączą się, podawszy sobie ręce kobiety — poważne i prawie nieruchome — oraz kościotrupy — skoczne i pływające.

ŚMIECH WISIELCZY CZY UMORALNIAJĄCY?

Ale głównym źródłem humoru są scenki w owalach obramowania i odnoszące się do nich wierszyki. Satyra jest tu nie tylko udana, ale przy tym kunsztowna: oto kuplet szlachcica, w którym jak w krzywym zwierciadle przegląda się „żrenica szlacheckich wolności” — liberum veto:

Jako się tve Suche Kości
Targnęły na me Wolności.

Nie pozwalam w taniec z tobą,
Ty mnie przecież ciągniesz z Sobą.

Nie należy jednak w cyklu dopatrywać się akcentów społeczno-politycznych: satyra na szlachcica i magnata w kościele tarłowskim, fundowanym przecież przez Oleśnickiego równie była ostra, a i tu bynajmniej nie oszczędza przedstawicieli innych stanów. Oto choć-

by mieszczanin-kupiec broni się tchórzliwie, a bezskutecznie:

Proś mnie raczey o białawy
Bo cię widzę zeę bez szaty...

a i chłopu nie przepuszcza taneczna jędzą:

Y ty kmiotku spracowany
W śmiertelnę się wybrał tany...

Wisielczy — by tak rzec — humor święci tu swój tryumf, a koncepcja ta, widać, wchodzi w modę, staje się powszechna. W Czerniakowie pod Warszawą dochował się „Taniec“ z początku

TWÓRCZOŚĆ KSIĘDZA BAKI

„Uwagi“, wydane już w drugiej połowie XVIII wieku świadczą o żywotności baroku w Polsce. Chciałoby się dodać: żywotności średniowiecza, reprezentowanego przez barok. Ksiądz Baka był, przez stulecie conajmniej, celem niewybrednych drwin. Nawet poważnych historyków literatury nie brak w tym chórze, choćby Ignacego Chrzanowskiego, który powiada: „wiersze a la Baka oznaczają głupie wiersze, i słusznie...“

Sądy takie są oczywiście nieporozumieniem i świadczą o zupełnym niezrozumieniu baroku. Autorowi „Uwag“ nie zbywało ani na sztuce poetyckiej (choćby, trafne i bardzo „nowoczesne“: „...Gdy smak smagły język szczypie...“) ani na myśli głębokiej, ani wreszcie na poczucie humoru. Umie, gdy chce, stwarzać paru słowami obrazy piękne i świeże, na przykład taki oto powszechnego przemijania:

...Dzień z nocą
Karocą
Taż dąży,
Świat krąży...

Ale i w tym obrazie, choćby już w skoczności rytmu, brzmi lekka, ledwie dostrzegalna, nutka humoru. A łatwo znaleźć go więcej, i o wiele wyraźniej-szego:

Tobie w głowie skoki, tany,
Charty, żarty na przemiany;
Śmierć kroczy,
Utroczy
Jak ptaszka,
Nie fraszka.

By zrozumieć i docenić poezję Baki (tak jak i „Tańce śmierci“) trzeba pamiętać, że są to dzieła o ambicjach umoralniania, mające przy tym zacięcie mistyczne. Mówią one o sprawach istotnych, a nawet tragicznych, ale mówią odważnie, więc z uśmiechem. Nie

XIX wieku — wyraźna, choć zabawnie „uaktualniona“ kopia krakowskiego — drugi w Grodnie, — trzeci w Kalwarii Zebrzydowskiej. Ukoronowaniem jakby cyklu — jak był u nas początkiem — stał się utwór literacki: księdza Józefa Baki „Uwagi o śmierci niechybnej“. Poemat naszego jezuitę wydany był w Wilnie i postać autora wyraźnie należy do kręgu kulturalnego Wielkiego Księstwa i Inflant. A właśnie na Litwie, w Bierzynianach istnieje, lub istniało do niedawna, malowidło o bardzo podobnej treści i równie średniowiecznym rodowdzie: „Teatrum Życia Ludzkiego“ — nie pozbawione zresztą cech makabrycznego humoru.

odbierają śmierci jej okropności, ale odzierają ją z powagi. To na dzielności polega ich wartość, nie tylko estetyczna, ale i etyczna, na humorze, gdy o humor nie jest łatwo.

Nie wspominałem dotąd o roli grafiki w dziejach staropolskiego humoru. Ale, to była rola skromna. Karykatury, ryciny satyryczne istniały, ale było ich o wiele mniej niż na Zachodzie. Mają często za podłoże spory wyznaniowe, niekiedy stosunki ekonomiczne, jak choćby w tytułowej ilustracji druku z 1633 roku, pt. „Nędza z biedą z Polski idą“. Należy tu także bardzo znany, trochę zagadkowy „Lament różnego stanu ludzi nad umarłym creditem“.

Musiałoby cieszyć się powodzeniem satyry antysemitki, bo zachowało się ich sporo: choćby drzeworyt tytułowy druku z 1622 r. „Hayduk Mikłosz odmienia ort u Żyda“, czy „Cyreneusz Poganin“. Natomiast określanie grupy żartobliwych drzeworytów ludowych, jako „oreż walki o wyzwolenie społeczne“, zapisać należy na liście „pobożnych życzeń“ badacza przedmiotu, Tadeusza Seweryna. Przytoczony przez niego w wielu fragmentach drzeworyt z 1655 r. pt. „Wizerunek sługi wiernego“ ma w sobie cechy humorystyczne (zapewne zresztą nie całkiem zamierzone, wynikające z emblematyczności przedstawienia), natomiast brak tu satyry: stosunek artysty zarówno do sługi, jak i do jego pana jest wyraźnie pozytywny (sługa, na końcu obrazkowego opowiadania spotyka zasłużoną nagrodę). Zresztą „ludność“ tej ryciny jest problematyczna, a jej źródła szukać chyba trzeba w grafice obcej, czy nie holenderskiej? Przypomnijmy, że centralny motyw drzeworytu: postać wiernego sługi wyposażona w komiczne emblematy zalet stanowi treść znanego malowidła w Winchester College, pochodzącego z przełomu XVI i XVII wieku, wykonanego i zaopatrzonego w teksty przez Jana Hoskuns, ówczesnego pryncypała

tej sławnej szkoły, prawnika i intelektualisty znanego z dowcipu. „Wierny sługa“ zawędrował zresztą z czasem na znak karczemny, w bliskiej Winchesteru wiosce, Minstead.

GRAFIKA SATYRYCZNA

Gdy już o grafice mowa, to warto przypomnieć wcale udatne i zabawne drzeworyty ilustrujące „Kolo rycerskie“ Bartosza Paprockiego. Z tych miejsc pierwsze należy się chyba małpie piszącej książkę — motyw podobny do tych, jakie znaleźć można na średniowiecznych rzeźbach satyrycznych, a także, po wielu wiekach, w „Capriccios“ Goyi.

Strzeż się jednak należy pokusy przypisywania cech świadomej śmieszności rycinom, które dziś cieszą swą naiwnością, jak choćby podobne trochę do złych psów „Krokodyle“ ze „Składu albo skarbcza... sekretów oekonomii“ J. K. Haura (Kraków, 1693), czy, tym bardziej, „Zajęcie morskie“ z dzieła „O ziołach tutecznych i zamorskich“ H. Spiczyńskiego (Kraków, 1556).

Natomiast dużo rzetelnego, nie podzytego satyrą czy szyderstwem humoru znaleźć można w ilustracjach uciech i zabaw — jak choćby scena w karczmie we wspomnianym przed chwilą „Składzie... sekretów“, czy przede wszystkim znakomity drzeworyt „Niedźwiedzi“.

RADZIWIŁ „PANIE KOCHANKU“

Ten ostatni zresztą nieodparcie przywodzi na pamięć założyciela niedźwiedziej „Akademii Smorgońskiej“, Karola Radziwiła, „Panie Kochanku“. Postać księcia Karola tak znakomicie pasuje do dziejów humoru staropolskiego, że uczyniono z niej, humoru tego, symbol. Anegdota pana wojewody opowiadano i powtarzano tylokrotnie, tyle mu ich przypisywano, że wywołało to — co może i naturalne, choć nie koniecznie sprawiedliwe — ostrą reakcję. I jest od niejkiego czasu w modzie mówić o tym uosobieniu sarmatyzmu i bożyszczu „Sarmatów“ — źle. W antologiach anegdot często pomija się go lub wybiera o nim mało dowcipne, a za to mające udowodnić jego rzekomą głupotę, okrucieństwo, warcholstwo.

W wypadku postaci tak znanej, nie trudno o „dowody“: wystarczy sięgnąć do nieprzychylnych mu pamiętnikarzy, przeciwników politycznych, a tych — szczególnie w Warszawie — nigdy nie brakowało. Tymczasem jednak, złośliwości „oświeconych“, które bawiły może „postępowa“ półinteligencję warszawską czasów stanisławowskich obumierają naturalną śmiercią, a słowa księcia „Panie Kochanku“ nie maleje.

I słusznie. Bo był nie tylko najznakomitszym, ale i najtypowszym, najbardziej rasowym przykładem staropolskiego facecjonisty: często, nawet gdy jakaś anegdota obrazuje raczej jego wady niż zalety, jedna mu przeciwieży sympatii. Wiedząc, że nie miał racji, opowiadamy się po jego stronie. Oto na przykład — jak powszechnie wiadomo — nie kochał księżę Karol, Stanisława-Augusta, a okazywał mu to w sposób mało wybredny, najłatwiejszy, tj. podkreślając znakomitość, starożytność i zasługi dla Ojczyzny Radziwiłłów w porównaniu z hołyszami Poniatowskimi. Spytany kiedyś przez króla-wykwintnisią, czemu chodzi w wytartym, starym kontuszu, odparł, że miał się ów kontusz czas wyszargać na grzbietach kolejno dwunastu wojewodów wileńskich — Radziwiłłów, (Żenujący niedostatek senatorów w rodzinie, bardzo Poniatowskim dokuczał). Cóż stąd, że w odpowiedzi tej, co słowo to przesada, nieściskość, coż, że jest zarozumiała i niepocziwa? Tak przecie jest trafna, że trudno nie dać się nią przekonać.

Księżę Karol, od dzieciństwa psuty i pieszczone przez matkę, Franciszkę-

JĘDRZEJ KITOWICZ

Niemal idealnym jego przeciwstawieniem (księcia Karola) był ks. Jędrzej Kitowicz, autor „Pamiętników“, ale przede wszystkim sławnego „Opisu obyczajów“ a przy tym jeden ze złośliwszych krytyków Radziwiłła („...z natury mało różniący się od szalonego, a po pijanemu wcale szalony — Karol księżę Radziwiłł... dystyngował się najszkaradniejszymi akcjami, publicznie... po pijanemu popełnianymi...“).

I księdzu Jędrzejowi nie obce były anegdoty. Kolekcjonował je skrzętnie, ale chyba bardziej z miłości do kolekcjonowania niż do anegdot. Rozmawiany w gromadzeniu najdrobiazgowych informacji o stroju, potrawach, zabawach, z pasją spisujący rodzaje szabel i ich noszenia, kształty czapek czy kołnierzy, akuraty i wiarygodny, na myśl przywołał cnoty mieszczkańskie. Zaczęto też uważać go za mieszczanina i upatrywać w jego pochodzeniu przyczyn rzekomej „antyszlacheckości“. Pomogło mu to w zrobieniu nieoczekiwanej kariery w Polsce „ludowej“ i byłby pewnie wyniesiony na ołtarze postępu i walki klasowej, gdyby nie to, że przed kilku laty, Danuta Maniewska znalazła dokument podpisany przez Kitowicza i... zaopatrzony jego herbową pieczęcią.

Owe pośmiertne perypetje ks. Jędrzeja są jedyną niemal anegdotą jaką o nim można opowiedzieć. Przytaczam ją, by podkreślić nasz, do dziś żywy,

Urszule, znaną pisarkę, a zresztą przez całe nieświekie otoczenie, nie garnął się ponoć do książki, czas trawiąc na siodle, wśród towarzyszy, uciech, polowań. Otóż przemysłny szlachcic, pan Piszczyczo, podjął się — za cenę paru wiosek — nauczyć go i jego przyjaciół, dwóch Michałów — Wołodkiewicza i Reytana, trudnej sztuki czytania. A dopiął celu wypisując alfabet na tablicy i urządzając zawody, kto pierwszy trafi z pistoletu do czytanych na wyrywki liter.

Ale większość anegdot „Panie Kochanku“ z „babińskiej“ pochodziła szkoły: polegała na przesadzie posuniętej od ostatecznych granic: Tak na przykład chwalił się księżę posiadaniem najlepszej na świecie lunety i najdokładniejszej mapy. Oto zabłądziwszy kiedyś w swych niezmiernych puszczech, spojrzął przez ową lunetę na mapę i sam siebie, wraz z przyjaciółmi na niej zauważył. Mnożenie przykładów byłoby zbędne, przytoczone ilustrują rodzaj humoru, jakiego księżę Karol był twórcą, bohaterem, ośrodkiem, a także stopień jego typowości dla obyczaju polskiego owych lat.

związek z zagadnieniami staropolszczyzny, sarmatyzmu. Bo anegdota wyrósł może tylko na glebie żywego zainteresowania, w klimacie serdeczności — choćby miała to być serdeczna... niechęć.

Rola Kitowicza w dziejach staropolskiego humoru nie polega na gromadzeniu anegdot. Inni robili to znacznie lepiej od niego. Ale nikt nie zatoszczył się o to by — z taką, jak ks. Jędrzej ścisłością — opisać wesołe obyczaje, zabawy, ową powszednią radość życia: kulgigi, śmigusy, sobótki, zapusty... I oto starając się przyjrzeć dziejom narodowej wesołości poczuwamy się do wdzięczności wobec plebana rzeczywistego za cechy zwykle humorowi wrogie: za niepoprawną pedanterię, nienaganną dokładność, nawet za zręczenie, gdy wytykał żalozne żartów skutki.

Wesołość to ma do siebie, że całe życie człowieka, czy społeczeństwa przenika, nie ograniczając się do miejsc łaskawie jej wyznaczonych: ostatniej strony w tygodniku, czy antologii fraszek lub anegdot. Utrwała ją ks. Kitowicz w poważnym swym dziele, oglądamy jej malowane czy rzeźbione ślady po kościołach. W poszukiwaniu jej nie zawadzi zainteresować się korespondencją.

Opowiadano o pewnym arystokratycznym działaczu katolickim z „Odrodzenia“, że tak był świetnie wychowa-

ny, iż nigdy nie przeczytał listów św. Pawła do Koryntian, to nie do niego były adresowane. Myślę, że nie powinniśmy poprawności manier posuwać aż do takiej, jak ów hrabia ostateczności i że możemy bezpiecznie, w poszukiwaniu uśmiechu, zairzeć do cudzych listów, szczególnie, że będą to listy umarłych do umarłych.

TRZY LISTY

Jak we wszystkich innych dziedzinach — fraszek, przysłów czy anegdot — tak i w epistolografii wybierać wypadnie tylko najbardziej charakterystyczne przykłady. Trzy, które przytaczam, pochodzą, kolejno, z początku XVII wieku, z końca XVIII i z drugiej połowy XIX wieku. Pierwszy list pisał magnat, drugi szambelan królewski, trzeci, prawie głodem przymierający emigrant. Cóż je łączy? Humor. A ściślej: specjalna jego odmiana, ironia. Dodajmy: wszystkie dyktowała urażona ambicja, autorka licznych arcydzieł, a i wielu pomyłek, potknięć, w dziejach sztuki i literatury.

Autorem pierwszego listu jest Stanisław Stadnicki, „Diabeł Łańcucki“. Pisał go w ogniu walki, w żarze tlejącego rokосу. Adresatem był Hieronim Jazłowiecki, wojewoda połolski, a syn wielkiego hetmana koronnego, regalista: „...Żem nie księżę, starożytny ślacheć polski jednego przezwiska, nigdy go żaden z przodków moich nie odmienił równy książętom, (ojciec wojewody, Jerzy Monasterski, pierwszy zaczął się pisać: Jazłowiecki). I województwo, nie od kilkadziesiąt lat poczęło bywać w moim domu, jako to u drugich nowina (oczywiście czytać należy: u Jazłowieckich!), ale od kilkuset lat rzadko z domu mego wychodziło, i ja pewnie będę wojewodą, skoro cnotliwych będą chcieli mieć w radzie... Anim za te pieniądze, od pogan wzięte, zamków nie murował, ani o sprawach Rzplitej poganom za upominki wieści dawał... o sługach cnotliwego P. Kopycińskiego zapytaj, czy mu służy syna i z czyjego rozkazania zabili. Chwałę propositum waszmości — jakoż już się czas upamiętać — że WM. nie myślisz domów szlacheckich najeżdzać, ani rozbijać, bo lepiej się wczas upamiętać, gdyż gorzałeczka rada ludziom wieku skraca. (Jazłowiecki, jakby mściwą przepowiednią tknięty, zmarł w niewiele miesięcy po otrzymaniu tego listu. Po kilku latach Stadnickiego zamordował zbir Łukasza Opalińskiego). Pod Lublinem należało mi być, (na zjeździe rokosszan), bo tam robota była cnotliwych ludzi, tych którzy się brzydą niewolą i zgwałconymi sprawy. Że się WM. ze mną nie równasz, dobrze to WM. czynisz, bo się tylko ze mną równają ludzie cnotliwi...“

Drugi list pisał Stanisław Trembecki do księcia Józefa Poniatowskiego. Należało się poecie 1.000 dukatów, zapisanych mu przez Stanisława-Augusta. Główny królewski spadkobierca i bratanek nie tylko odmawia wypłacenia należności, ale na prośbę odpowiada złośliwościami. Na co Trembecki:

„...Żeby więc o mnie błędnej nie miał (Książę) opinii, obiecuję mu i niechybnie dotrzymam, iż jeżeli przypadkiem komisja tę kwotę przysądzi, tegoż samego dnia, którego się jej dotknie, rozdaję ją na uboższych ode mnie, aby prosił Boga, żeby on tym, którym znakomite zwykł dawać męstwo, wszelkich także innych udzielił raczył darów... Teraz niech mi się spytać godzi, jaka przymuszała potrzeba, aby bilet Książęcy do mnie, napełniony był persyflażem... Ustępując w każdej innej mierze, mam sobie za obowiązek przestrzec, że z takowej strony ja mocniejszy jestem; ale dla osób, którym cokolwiek należy względu, używać go nie zwykłem, a nawzajem ani do mnie używanego nie lubię, a czasem i nie ścierpię... Książę odpisuje, iż wie, że ja dla Króla robiłem wiersze. Były niegdyś wieki tak grube, tak ciemne, w których rozumiano, iż człowiek umiejący pisać albo czytać, niewieściuch jest i do niczego więcej zdać się nie może. W naszych czasach insze jest zdanie; i gdyby świadectwo za sobą samym nie było podejrzane, powiedziałbym, iż ani mniej ani więcej, ale właśnie tyle znam się z rusznicznym prochem, ile z piaskiem do posypywania. Jeżeli to być może, na kolanach proszę, aby temu Książę na gołe słowa wierzyć raczył...“

List trzeci wyszedł spod pióra Cypriana Norwida. „...Kiedy wracałem z Ameryki, krewny mój, będący w Chinach, pisywał do mnie pod adresem stałym Polskiego Literacko-Historycznego Towarzystwa Londyńskiego. Przychoǳę raz tam i pytam „czy są listy“. Sekretarz Literackiego Polskiego Towarzystwa, były porucznik armii z 30 roku, obraca się do mnie i powiada „zaczekaj Acan przy drzwiach“, więc ja cofnąłem się ku drzwiom i stanąwszy w progu z kapeluszem, oczekiwałem aż sekretarz Literackiego Polskiego w obliczu Anglii Towarzystwa zobaczy ażali listów do mnie nie ma — nie było owych — wyszedłem. Na drugi dzień rano, kiedy siedziałem w mansardzie mojej w Londynie, słyszę biegnącego po schodach i pytającego o mnie kogoś — otwieram i widzę, że to sekretarz Literackiego Polskiego w obliczu Anglii Towarzystwa. Cóż pana sprowadza tak wysoko? — pytam. — „Oto“ — odpowiada mi Sekretarz Literackiego Polskiego w obliczu Anglii Towarzystwa — oto Lord Dudley

Stuart przesyła list, który do pana pisze i takowy jemu oddać przyszedłem“. Bardzo mi przykro było, iż Sekretarz Literackiego Polskiego w obliczu Anglii Towarzystwa, były porucznik kawalerii z 30 r. tyle sobie ambasasu zadał...“

Te trzy listy ilustrują rodzaje, czy odcienie ironii w epistolografii polskiej, a równocześnie podkreślają fakt, że list, to rodzaj literacki, szczególnie ironii podatny, w ironię zasobny. Jest to zjawisko naturalne: sprzyja mu sam charakter korespondencji, a więc jakby utrwalonej rozmowy, co zwiększa skuteczność drwin, zapewniając im długowieczność.

STADNICKI TREMBECKI NORWID...

List Stadnickiego jest celny, ale prosty, a nawet niewybredny w technice. Pisany w ogniu walki, służył jako broń bitewna. Pan na Łańcucie, gromadzi wszelkie drwiny i obelgi, by ciskać je bez wyboru, nawet trochę bezładnie, gdy sądzi, że może nimi przeciwnika dotknąć. Tymczasem list Trembeckiego, to broń precyzyjna, użyta przez znakomitego fechtmistrza w pojedynku. Atak jest tu świetnie skomponowany, (szambelan wie o tym: „z takowej strony ja mocniejszy jestem...“). Konsekwentnie potęgująca się jego siła wzmacnia element komizmu. List zaczyna się od wyrażenia żalu, pretensji, przechodzi w tafjona, połowiczną obelgę, przeciwstawiającą męstwo księcia brakowi innych u niego cnót, by pod koniec zabrzmieć groźbą, świadomie źle maskowaną, pozorami uniżoności. Autor utrzymuje zresztą konsekwentnie ów ton ironicznej grzeczności, dworności, a im atakuje gwałtowniej, im rani bolesniej, tym i dworność ową pomnaża: grożąc pistoletami „na kolanach prosi“, by mu książę na słowo „uwierzyć raczył“, że strzelać umie dobrze.

Ironia Norwida innego jest gatunku: mniej osobista, pozornie bardziej dobrotliwa, głębsza. Wydarzenie, które go niegdyś rozśmieszyło, ale i dotknęło (co starannie ukrywa), opowiada po latach i nadaje mu charakter miniatury, a znakomicie skomponowanej nowelki, czy obrazka. Oburzenie, kpina, nabrały z upływem czasu subtelnego smaku, wytrawności. Norwid zachowuje bezimiennosc swęj ofiary. Niby to gani ułomność ludzką, a nie człowieka obciążonego nią. W istocie drwina, dzięki pozorom bezosobowego obiektywizmu, zyskuje na ostrości: oto on, Norwid, mistrz polskiej mowy i polskiej myśli nie chce unieśmiertelnić jakiegoś tam grubianina, który miał nie szczęście wejść mu w drogę. „Cóż pa-

na sprowadza tak wysoko?“ — to jedno ze złośliwszych i dumniejszych pytań, jakie zapisano w dziejach literatury polskiej.

Po latach, znowu w liście, Norwid wróci do tego tematu, raz jeszcze opowie wydarzenie, dodając nieco szczegółów i wyposażając nieszczęsnego porucznika kawalerii w błazeńskie berło „Sekretarza Polskiej Literatury“. Ale i wtedy nie będzie łaskaw zapamiętać nazwiska. I ja go nie przypomnę, by nie sprzeciwić się woli poety i jego mściwej przyjaciółki, Ironii.

* * *

Gdy spróbujemy zastanowić się nad dziejami staropolskiego humoru, wytropić jego źródła i określić charakter, przekonamy się, że łatwo będzie znaleźć cechy dlań typowe, natomiast trudno wyszukać takie, które nosiłyby znamiona wyłączności. Tak ma się jednak rzecz z ogromną większością zjawisk kulturalnych. Kultura bowiem polega w dużym stopniu na wymianianiu wartości i cech, na ich przyswajaniu, wreszcie na podleganiu wpływom i ich wywieraniu albo przekazywaniu.

Dobór jednak tych wartości i cech nie jest przypadkowy. Z charakteru środowiska (społeczeństwa, narodu, warstwy) wynika, że jedne cechy mają dużo większą szansę, niż inne, by się zadomowić, by stać się typowymi. Wpędce też zostają one przez owo środowisko uznane za własne i krzewią się jakby były tu od zawsze.

SWOJSKOŚĆ POLSKIEGO HUMORU

Tak było i ze staropolską wesołością: w Średniowieczu, prawie do jego końca, humor na ziemiach polskich, lub przynajmniej niki jego ślady, które się zachowały, świadczą raczej o kulturalnym uniwersalizmie aktywnej części społeczeństwa. Narodowy charakter naszego humoru krystalizuje się szybko dopiero od początku XVI w., w ślad za okrzepnięciem i wzmożeniem się w siły szlachty. Ziemiańsko-rycerski charakter tej warstwy odzwierciedla wiernie typ wesołości: barwnej, hucznej, rubasznej.

W połowie XVI w. rodzi się, a pod jego koniec dojrzeewa kierunek kulturalny, (który równie słusznie, lub słuszniej nazwać by można „stylem życia“), noszący nazwę sarmatyzmu. Staje się on wpędce kultem swojszczyzny, sprzyja dumie z tego co własne, a nieufności, nawet pogardzie do tego, co obce, a opierające się asymilacji. Tajemnica żywotności sarmatyzmu polega na tym, że wyjątkowo dobrze pasował on (i pasuje) do naszego położenia, u granic dwóch wielkich sfer kultur: Zachodu i Wschodu.

Należąc do Zachodu, mając nawet ambicje, że się jest jego „Przedmurzem“,

niepostrzeżenie chłoneliśmy ze Wschodu bardzo wiele. Cechy te wzbogacały naszą kulturę, czyniły ją barwną, nadały jej indywidualny charakter. To właśnie w sarmatyzmie realizuje naród swoją kulturalną odrębność. Jest to pierwszy i jak dotychczas jedyny — naprawdę polski, własny styl, w obyczajach, w geście, w stroju, a także w poczuciu humoru. Był to styl wyraźnie odrębny, rzucający się w oczy: wprędce zauważyli go obcy, np. artyści, jak choćby Rembrandt czy Stefano della Bella, a także podróżnicy-pamiętnikarze.

To, że styl ów jest własny, nie znaczy wcale, by koniecznie był doskonały. Ma on swe zalety i wady. Żywiołowy i bujny, grzeszy często powierzchownością. Malarstwo, rzeźba, grafika, długo kulały, zato rozwijały się świetnie niektóre dziedziny rzemiosła artystycznego, zdobnictwa.

Jeśli chodzi o humor, to obrazuje on sarmatyzm niemal idealnie. Zresztą nie tylko sarmatyzm, a w ogóle indywidualność każdego ruchu kulturalnego. Sztuka, literatura, muzyka kształtują się w dużym stopniu pod wpływem impulsów wywołanych przez dzieła genialnych jednostek, talentem przerastających otoczenie, bynajmniej dlań nie typowych i nie wiele stosunkowo mu zawdzięczających. Humor jest przede wszystkim dziełem środowiska.

Żart, dowcip, anegdota, powstają często nie wiadomo jak: ktoś je wymyślił — grube i niezdarne — inny udoskonalił, następny ujął w literacką formę i zapisał. Często koncept nie jest własny, przywędrował z odległych czasów i stron, ale w narodzie ceniącym śmiech, krotoczwile, przyjęto go wdzięcznym sercem. Przyzwyczajają się więc prędko do nowego środowiska, zapominają o własnym pochodzeniu. Zapominają i tubylcy: chwalecy swojszczyzny, chwalą go najgłośniej.

Spółczesność, jego atmosfera, jego charakter, odpowiedzialne są za styl wesołości. Sarmatyzm był przede wszystkim kulturą warstwy szlacheckiej. Warstwy władającej krajem (a więc skłonnej do dumy, do demonstrowania własnej godności), warstwy liczącej, zazdrosnej równocześnie o swą uprzywilejowaną równość, a przynajmniej o pozór równości (więc niechętniej wyrażającym kulturowemu i kosmopolityzmowi dworu i arystokracji), warstwy o niezwykle rozwiniętym życiu towarzyskim i publicznym (a więc potrzebującej wszystkiego, co by pomagało w życiu tym się wyróżniać, błyszczeć).

Wszystkiemu temu odpowiada humor staropolski. Odzwierciedla on wyjątkowo trafnie, dokładnie, styl życia ziemiańskiego, zabawne kłopoty, specyfi-

czną moralność, dobroduszość, zamiłowanie do gestu. W wielu anegdotach, czy fraszkach łatwo dopatrzeć się ich praktycznego charakteru: były znakomitą bronią na sejmikach, czy w czasie rokosz, zjednywały popularność zarówno w obozie, jak i wśród hucznych zabaw po dworach i dworkach. Ulubione tematy staropolskich żartów czerpane były z codziennego życia: myśliwskie przesady, drwiny z cudzoziem-

ców, wreszcie odwieczne źródło radości: sprośność w słowach i czynach. Sprośność, ale nie wykwitny erotyzm. Ten tracił miastem, zagranicą, monarszą wszechwładzą, wogóle obcością. A obcości, jak się rzekło, nie lubiano i nie ufano jej, ponad sztuczność przepychu przenosząc uciechy beztrudnej zamkniętości. Wacław Potocki ujął to trafnie we fraszce pt. „Belweder“, zabarwionej zresztą lirycznie:

Pytam: „Co to za pałac?“ — mijając Warszawę.
 Powiedzą mi „Belweder“. Mając znowu sprawę,
 Kiedy czynię przez Kleparz do Krakowa cugi,
 Pytam także o pałac, aż Belweder drugi,
 Który, jeżeli go kto po polsku łomaczy,
 Wdzięczne, piękne weźrzenie po francusku znaczy,...
 ...Lecz któż wypisze, czy przy tym delikatnym wczasie
 Wszystkie zmysły Belweder, nie rzkąc oko, pasie,
 We drzwiach dzijardin, drugi raj; mają wdzięczne gusty
 Owoce, ziola zapach; nie masz tu kapusty,
 Rzepy i której nasze ogrody przywykły,
 Boćwiny po litewsku, po naszymu ćwikły...
 ...Gdyby obiad bez chleba, wety bez obiadu
 Uszły, zaraz bym się jął tych panów przykładu...
 ...Bydła nie masz żadnego; precz gnój, precz folwarki
 Melodyjne słowiki, cukrowe kanarki...
 ...Niechże zdrów taki mieszka w Belwederze, komu
 Wiozą do ucieznego, co potrzeba domu,
 Co nań sto wsi, a tysiąc plugów na Podgórze
 Czarne, tłustą zawiską rzędzinę gdzieś orze.
 Mnie wesoły Belweder, śliczna perspektywa,
 Kiedy równa ulega pod pszenicą niwa
 Albo kłosa rumieńcem zapalone żrałym
 Lekkim wieniem zefirów kołyszą się wałem...
 ...A kiedy matki z swymi łączą się jagnięty
 znieś organy, znieś wszystkich muzyk instrumenty.
 Nie usłyszysz tak różnych głosów i tak wiele.
 Co kto lubi, mnie innej nie trzeba kapele...
 ...A co wszystkim rozkoszom świeckim daje mety
 (Nic mi są galanterii pełne gabinety) —
 Myśl bezpieczna, a zawsze przy wesołej cerze.
 Niechajże zdrów pan siedzi w swoim Belwederze,...

Sarmatyzm nie umarł w chwili upadku Rzeczypospolitej, u schyłku XVIII wieku. Nie zgasł też oczywiście humor

staropolski. Żyli ludzie dla których był on przecież nieodłączną częścią życia, trwał —nieznacznie odmieniony — sy-

ZA BUGIEM JEST TEŻ POLSKA

Ukazała się książka Józefy Mękarskiej: „WĘDRÓWKA PO ZIEMIACH WSCHODNICH RZECZYPOSPOLITEJ“. Książka ta daje prawdziwą panoramę ziem wschodnich, mówi o ich przeszłości, o ich wkładzie do historii i kultury polskiej, wskazuje nierozzerwalny związek Kresów z Rzeczypospolitą.

Przeszło sto ilustracji (fotografii i sztychów) stawia przed oczami urok i piękno krajobrazu miast i wsi.

Książka została wydana staraniem trzech organizacji społecznych: Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Zjednoczenia Polek na Emigracji i Związku Harcerstwa Polskiego.

Skład główny: KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace, LONDON, S.W. 7. Tel. KNI 3500

Cena tylko 16/6 (koszt przesyłki 1/-).

(Dokończenie)

stem społeczny, który go wytworzył. Przelewające się przez kraj fale klęsk, upokorzeń, nie zniszczyły, żywiołowej w narodzie, skłonności do żartu, do wesołości i to właśnie wesołości w szczególnym „sarmackim“ wydaniu.

Gdy pod koniec XIX wieku znalazł się pisarz, który postanowił swój talent użyć — jak sam to określa — „ku pokrzepieniu serc“, pisarz ten, wiedziony niezawodną intuicją, temat swej opowieści zaczerpnął z okresu największego sarmatyzmu. Pisząc, nie tylko gruntownie poznał epokę, ale pokochał ją i wżył się w nią, aż do utożsamienia. Dlatego w „Trylogii“ — bo o niej oczywiście mowa! — znajdujemy nie apoteozę sarmatyzmu, a jego portret. Sukcesy i usterki narodowej kultury, stały się przyczyną osiągnięć i potknięć autora. A opisując epokę zgrozy, okrucieństw, heroizmu, nie zapomniał Sienkiewicz i o wesołości. Poświęcił jej nawet wiele uwagi, zapewnił miejsce poczesne. Istotnym, głównym bohaterem książki jest pan Zagłoba, uosobienie sarmatyzmu.

„Trylogia“ spełniła swe zadanie. Spełnia je do dziś. Jej kolejne nakłady są natychmiast rozchwytywane. Nazwiska jej bohaterów służyły za pseudonimy chłopcom i dziewczętom walczącym na barykadach Warszawy. I dziś ankiety wśród młodzieży wskazują, że żadna inna w Polsce książka nie może się z nią równać w popularności. A wielka w tym zasługa grubego szlachcica, warchoła i facecjonisty.

Myślę że, jeśli jest jeszcze gdzieś, na wysokościach, Rzeczpospolita Babińska, to powołać winna Sienkiewicza między swe urzędniki, a mianowicie kreować go „niesłychanym, a nowym cudotwórcą babińskim“, a to z tej racji, że nie z gliny nawet, a z papieru i atramentu ulepił żywego człowieka, bardzo Babińczykom podobnego i kazał mu wskrzesić i szerzyć staropolski concept, coveip, żart, krotoczwile i facecje.

Mieczysław Paszkiewicz

PIOTR GUZY

ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Wyd. Instytut Literacki
w Paryżu

Cena: 15/-

GRYF/SPK — 16, Queens Gate Terrace,
LONDON, S.W.7.

PISARSTWO „opisowe“ jest dzisiaj w pogardzie, tak jak malarz, który potrafi rysować. Ale wydaje się, że nie ma lepszej szkoły, jak właśnie opis. Opisać trafnie i dokładnie — oto pierwszy stopień sztuki pisarskiej. Od tego kroku, od tego progu można już iść dalej; ale bez tej próby nie zajdzie się daleko. Próbą ogniową czy kamieniem probierczym pisarza będzie zawsze bodaj opis: wszystko jedno czy krajobrazu zewnętrznego czy wewnętrznego. Największym dowodem geniuszu Picassa jest jego fenomenalne opisanie rysunku. Śledzenie go na filmie, na którym pokazano go na tle tafli szkła, na której w ciemności rysował świetlistym „ołówkiem“, było jednym z najbardziej wzruszających doświadczeń, a może raczej podpatrzeń sekretów sztuki. To była nieporównana znajomość rysunku, dosłownie na ślepo. To było niepowtarzalne mistrzostwo artysty, u którego rysunek bezbłędnie „siedzi“, który od pierwszego zamachu ołówka widzi już cały wywijający się wzór, najbardziej nawet skomplikowany. Narysowanie przez niego wizerunku byka, motyw powtarzający się u tego Katalończyka z fascynującą regularnością, było narodzinami w doskonałym tego terminu znaczeniu. Picasso jest największym rysownikiem epoki i to samo już stawia go obok wielkich geniuszów malarstwa: wszyscy oni mieli rysunek opanowany bez błędu.

Pisarze dzisiejsi nie umieją często podać najdrobniejszego opisu. Lgną do dialogu, który idzie rwanymi zdaniem przez całe strony książek. Mówi się, że te rozmowy „określają“ osoby, że dzisiaj podaje się wizerunek ludzi przez dialogi i przez odmienne reakcje jednych i drugich. Pisarz, powiada się, nie ma prawa narzucać nam swojego opisu osoby. Z tym wszystkim te tasiebecowe dialogi o nieuniknionym zasobie banału nudzą potężnie. Najczęściej określają one tylko banalność umysłów aktorów danej powieści i jakoś, przeważnie bardzo słabą, ich intelektu.

DYKTADY WYDAWCÓW

Istnieje nieznośny kanon, który powiada, że „tylko tak można dzisiaj pisać“, albo że „tak dzisiaj się już pisze“. Powieść, która nie będzie wypełniona dynamicznymi dialogami i w której sceny nie będą przypominały jakby wskazówki inspicjenta teatralnego, nie ma podobno szans przyjęcia i uznania u czytelników. Tak mówią agenci literaccy i tak mówią wydawcy.

Jest wielką szkodą dla literatury, że wydawcy i agenci narzucają dzisiaj autorom modę i mówią, co i jak trzeba pisać, aby chwyciło. Tymczasem literatura naszej doby może pokazać wszyst-

KARTKI

kie rejestry i możliwości. Mieści się w niej i staromodny styl Lampedusy i niewątpliwie wczorajsza konwencja Pasternaka, aż po eksperymentalne dziwactwa „The Naked Lunch“, rzeczy Henry Millera i Samuela Becketta. Wszystkie manieri i style mogą dzisiaj być uprawiane i są uprawiane. Powinniśmy korzystać ze wszystkich stylów i form. Każdy styl znajdzie napewno swoich odbiorców i nowa dyktatura rynku literackiego, stosowana przez wydawców jest czymś, co przeciwne jest normalnemu i swobodnemu życiu literatury.

ZMIERZCH WPLYWÓW LITERATURY

Mówimy o literaturze jako o rzeczy niemal statycznej i spoglądamy często z tęsknotą ku La Belle Epoque europejskiego piśmiennictwa. W tej epoce widzimy miernik wartości i wpływów literatury. Nie możemy pogodzić się z faktem, że La Belle Epoque literatury już się skończyła, gdzieś w latach dwudziestych, a może na wstępie trzydziestych. Kto wie, czy ostatnie fanfary nie stanowiła powieść Remarque'a „Na Zachodzie bez zmian“. To była jeszcze książka — wstrząs, rzecz w starym stylu.

Literatura europejska przeszła swoją fazę wielkości, gdzieś bodaj od Encyklopedystów, od Woltera czy Diderota, po rok 1930. Na tym odcinku czasu przeżyła ona tryumfy powieści i teatru Francji, Niemiec, Skandynawii i Rosji. Od roku 1930-go literatura jako fakt i ewenement społeczny traci gwałtownie na wartości. Nie wszędzie, zapewne: a więc w Europie Wschodniej znaczenie i prestiż literatury istnieją dalej, a Europa Wschodnia, dzięki specjalnym warunkom politycznym i socjalnym płynie na innej fali niż swobodny Zachód. Ale na Zachodzie literatura już nie działa tak, jak kiedyś, już nie uderza w ludzką wrażliwość z taką potęgą jak dawniej. Trzeba się z tym pogodzić.

Trzeba dzisiaj pewnego wysiłku wyobraźni, aby uzmysłwić sobie czym była literatura nie tak dawno jeszcze, bo zaledwie lat 40-ci, czy 30-ci temu. Sienkiewicz, Wyspiański, Młoda Polska, a potem Skamandryci to były wielkie eksplozje, które zaważyły na pewno na samej formacji duchowej i psychologicznej pewnego pokolenia. Pokolenie to doświadczyło również sychłyku wpływów słowa. Jeszcze w Niemczech po roku 1918 była dekada, kiedy teatr takiego

Z NOTATNIKA

Brechta stanowił jakąś duchową chorobę, przez którą przechodziło całe kulturalne społeczeństwo. Jeszcze powieści Tomasza Manna, poezja Stefana George, czy Rilkego, stanowiły ewenementy, podobnie jak we Francji poezja Paul Valéry czy wstępne powieści Gide'a. A potem zachwiała się nagle władza słowa. A może raczej na miejsce literatury przyszła literatura mas: propaganda. Inny typ słowa, doraźnego i obiecującego inne dreszcze, dreszcze realizacji; słowa, które zeglowało pod hasłem nienawiści i uprzedzenia, a nie porozumienia i zrozumienia.

Należałoby napisać osobne studium o tym schyłku literatury i jej wpływów, przy zbadaniu sytuacji w takiej np. Francji, która jeszcze w dobie Romain Rollanda dawała literaturze berło życia, a potem jeszcze w epoce „Nouvelle Revue Française“ potrafiła tworzyć wydarzenia. Kto wie, czy ostatnią wielką eksplozją literacką Francji nie był Celine?

W społeczeństwach języka angielskiego proces ten przechodził inaczej, albowiem literaturą w Anglii traktowana była — i jest dalej — o wiele mniej serio, niż we Francji czy na wschodzie Europy. Jest rzeczą znamioną, że termin angielski dla powieści to „fiction“, a człowiek trudniący się zadaniem pisarstwa stał i stoi w hierarchii społecznej, niższej niż urzędnik administracji w koloniach czy aktywny polityk. Literatura w Anglii uważana była i jest przede wszystkim za rozrywkę i dlatego to Bernard Shaw latami walczył o to, by teatr uznano za ośrodek wymagający wysiłku myślenia. Ale nawet i Bernard Shaw nie był w teatrze angielskim takim przeżyciem moralnym i myślowym jak na kontynencie Europy Ibsen. Ludzie literatury nie stoją w Anglii na świeczniku, a ich wypowiedzi cenione są poniżej deklaracji polityków czy wyznań sportowców. W Anglii zatem, a podobnie jest i w Ameryce, ten zmierzch wpływów literatury nie miał ani w części tak drastycznego przebiegu, jak na kontynencie Europy.

Studium o tym schyłku wpływu literatury musiałoby wziąć pod uwagę te wszystkie odmienne nici i nurty. Ale wniosek końcowy wypadłby chyba dla świata zachodniego tak właśnie, że gdzieś od roku 1930 zaczyna się zmierzch działania literatury i że te sfery i warstwy, które ulegały jej magii coraz to mniej się liczyły i że doszły do głosu elementy, którym albo wystarczała zła literatura albo propagandowe

wywieszki. Tak zwane media masowe wyparły literaturę, ale tylko dlatego, że znalazły uznanie wśród mas. Słowo nie poniosło właściwie klęski, ale zmieniło radykalnie swoją rolę, stało się narzędziem masowego działania. Możemy nawet powiedzieć, że słowo zaczęło święcić niebywałe tryumfy, ale na inną modłę, modłę czynu. To nieprawda, że słowo w naszej epoce zanikło: nie, na początku ruchów totalnych było słowo, może nikczemne i ograniczone w swojej głębi, ale słowo. Marks w zwulgaryzowanej formie hasła był takim słowem dla jednych, jak Hitler i Mussolini dla drugich. Od roku 1930 jesteśmy świadkami nowych tryumfów, złowrogich tryumfów słowa, które domagało się wiary od swoich wyznawców. I to rozpasanie się słowa, które załamało się po wojnie, gdy runęły dwa systemy totalne, spowodowało powszechną niewiarę w słowo — zawarte w literaturze, słowo, jako narzędzie artystów. Totalizm pożrebał słowo na długie lata.

NIEMIARA W SŁOWO

Niewiara w słowo musiała przyjść po okresie jego inflacji i rozpasania. Propaganda doprowadziła do tego, że słowo przestało wogóle coś znaczyć. Taki musiał być los słowa w tych niesamowitych ustrojach, które doprowadziły nie tylko do zdeprecjonowania jego, ale do tego — jak w Rosji — że słowo służyło do odmalowania nieistniejącej rzeczywistości. Rosja stworzyła w swojej propagandzie jakiś imaginizm, a zatem przekonana była, że można słowami zastąpić rzeczywistość. Ale i w Niemczech słowa przestały znaczyć to, co istotnie w sobie ukrywały. Były one również swoistą fikcją. Odnosi się to nawet do złowrogiego słowa „die Endlösung“ w odniesieniu do sprawy żydowskiej: nawet zbrodniarze hitlerowscy uciekli się do obłudnego chwytu czy cufemizmu, albowiem nie chcieli powiedzieć, że chodzi tu o eksterminację narodu żydowskiego. Nikt jednak nie pobił propagandy sowieckiej jako surrealizmu słowa: ta propaganda stworzyła swój własny świat, swoje własne wsi potiomkinowskie, swoje własne iluzje, w które przypuszczalnie w końcu sama uwierzyła. Jest to schizofreniczny objaw tej inwazji słowa i dowód, że państwo stało się największym twórcą „fiction“, mitomanem i mitotwórcą naszej epoki.

Czyż można się dziwić, że po tych orgiach słów, które nic nie znaczyły, albowiem nie miały żadnego odpowie-

dnika w rzeczywistości, wartość słowa spadała do zera? Że „falszerze monet“ zbankrutowali? I że na tym tle zaplanowano pragnienie prostoty, że na Zachodzie pojawiają się próby tak zwanej antypowieści, które są skutkiem dewaluacji słowa? Staramy się mozolnie wrócić do jego korzeni. Kto wie, czy cała moda na semantykę i dociekanie do sedna i sensu słowa nie wynika z tej właśnie jego katastrofy spowodowanej przez systemy totalne?

MOC SŁOWA

Albo słowo się odrodzi — albowiem człowiek nie może żyć bez niego. Nie tylko dla celów porozumienia i tak zwanej komunikatywności — chociaż i tutaj systemy totalne zakaziły cały obieg mowy ludzkiej, albowiem nawet w rozmowie słowo przestało znaczyć w systemach totalnych to, co powinno: zbankrutowało również porozumienie ludzkie. Człowiek potrzebuje także słowa jako tego, co go podnosi, zechęca, co każe marzyć, planować, kochać. Tutaj osiągnęliśmy znowu dno, albowiem w dramacie nonsensu i rozpaczy, w teatrze Becketta, Ionesco i Pintera słowo zostało zanegowane jako środek porozumienia. Wbija nam się w mózgi aż do znudzenia prawdę, że wszelkie porozumienie międzyludzkie jest niemożliwością i że człowiek jest osaczony nieprzebitą samotnością od narodzin aż do grobu. O wiele silniej niż powieść teatr stał się dzisiaj najbardziej reprezentacyjnym wyrazem nowoczesnego przekonania, że ludzie nie mogą się z gruntu między sobą porozumieć, że istniejemy obok siebie i koło siebie, że jesteśmy wieczyście i nieodwołalnie samotni ze swoim słowem, które jest chaotyczne, często niedokończone, a niekiedy wręcz tylko bełkotem. Bohaterami tego nowego teatru będą szalenicy albo spokojni wariaci, a patronować im będzie król Lear i słowa Szekspira o życiu, jako o opowieści snutej przez idiotę. Psychopaci i wariaci lub tylko półwariaci zaludnią ten świat dla wykazania tezy, że są oni bliżsi samej istoty życia, samej niejako magii, niż ludzie tak zwani normalni — albowiem przebywają oni na sam ze sobą, w głębokiej sztolni samotności. Szaleniec jest tym, co żyje intymnie ze swoim własnym „ja“.

SZALENIEC WZOREM PRZYSZŁOŚCI

Tutaj sztuka nowoczesna i tak zwany teatr nonsensu dotyka na pewno jakiegoś zła prawdy. Gdy patrzymy na ruchy wariata i słyszymy jego monolog, widzimy, że stoi przed nami człowiek dla którego świat wewnętrzny jest jedynym autorytetem który żyje

tylko swoim samotnym światem, a świat ten nie przystaje do tak zwanego normalnego i nigdy przystawać nie będzie — albowiem ten rozłam światów jest koniecznością bytu. Rozdzielenie osobowości polega na tej dwoistości światów: przy czym szalenie należy rzeczywiście i przede wszystkim do swojego wewnętrznego świata, do swojego ośrodka rzeczywistości. Od czasu do czasu odwiedza on tylko świat tak zwany normalny, jakby tylko po to, by przekonać się, że nie warto jest w nim pozostawać. Teatr nowoczesny wyciąga ostateczne konsekwencje z tego stanu rzeczy i wprowadza szaleńca, albo półwariata, jako człowieka niejako przyszości: jako tego, który żyje swoim własnym życiem, w pełni i bez kompromisu. swoją autonomiczną realnością.

ROLA BŁAZNA SAMOTNEGO

W takiej epoce, jak nasza, rodzą się analizy typu Jana Kotta, nowe spojrzenie na Szekspira, jako poetę nonsensu życia i na rolę błazna oraz szaleńca w jego tragediach. W takiej epoce osiąga się dno spokojnej, opanowanej rozpacz, której głównym motorem i podłożem jest przekonanie nie tylko o samotności człowieka, ale i całkowitym bezsensie życia. Samotność urasta do rozmiarów dogmatu — i pokazuje nam, drogą kontrastu czy jakimś rykoszetem, jak ważne, jak arcyważne jest porozumienie ludzkie. Jeżeli bowiem człowiek skłonny jest położyć znak równania między samotnością a bezsensiem życia — a zatem jeżeli głosi, że niezdolność do porozumienia między ludźmi dowodzi niemal bezsensu życia — to jest to chyba wystarczającym dowodem na to, jak człowiek pragnie porozumienia i że nie jest stworzony do samotności, a raczej nie chce przyjąć samotności, jako ostatecznej prawdy o życiu. Uważa on, — świadomie czy podświadomie — że jednak w życiu powinien być sens i że sens ten występuje na jaw dopiero wtedy, kiedy dochodzi do porozumienia między dwójgim ludźmi. Jest to wstępna niejako próba tego, że życie nasze ma sens albo może mieć sens skoro już dwie osoby zgadzają się, co do oceny życia, albo znajdują tak zwany „wspólny język“.

Wyda mi się, że tutaj dotykamy czegoś zasadniczego: nawet jeżeli prawdą jest, że człowiek — chociaż zrodzony w zespole, gromadzie, rodzinie, — jest jednak skazany na samotność, to jednak wniosku tego nie chce on przyjąć i spora część jego życia, jeżeli nie całe, zbiega na wysiłkach, które chcą udowodnić i jemu i światu, że jest inaczej, że człowiek nie jest samotny, nie musi być samotny. Samotność bowiem pachnie dla niego obłą-

dem: obłąd, to nie innego, jak zostanie zbyt długo, sam na sam ze sobą, jako z ostateczną instancją, ze swoim światem wewnętrznym, jako jedyną realnością. Stąd często słyszymy frazes „było tak samotnie, że można było zwariować“.

KRYZYS CIERPLIWOŚCI

Teatr samotności i niekomunikatywności graniczy z szaleństwem, albo z nim się organicznie łączy. Ale nie odwiedzie człowieka od prób nawiązania porozumienia z innymi. Choroba samotności wydaje się modną chorobą naszej epoki może dlatego, że uprzytomniłszy sobie dzisiaj powszechniej, niż dawniej, sam fakt samotności. Dawniej samotność na pewno istniała, ale nie mówiło się o niej tyle. Może maskowana była konwencjami społecznymi, a za tym ściślejszą spoiwością rodziny, gromady, życiem w mniejszych ośrodkach. Wielkie miasto poczyniło wyłomy w tej spoiwości i samotność człowieka na tle wielkiego miasta stała się dzisiaj truizmem. Pozatem nerwy ludzkie ponoszą olbrzymią winę w tym załamaniu się porozumienia i chęci porozumienia między ludźmi. Mamy do siebie coraz mniej wzajemnie cierpliwości.

PUSTKA DOBROBYTU

Samotność i szaleństwo — oto dwa bliźniacze skrzydła nowoczesnej rozpacz, która nie jest głośną rozpaczą romantyzmu, ale rozpaczą stoicką w epoce grozy atomowej. „Under Volcano“ — oto odpowiedni tytuł dla naszej ery. Ale tak, jak na stokach wulkanu kwitną najpiękniejsze ogrody, tak i w naszej cywilizacji, której można, a haniebni władcy grożą zagładą, wrę praca i nie ustaje wola życia.

Ewangelia rozpacz i samotności jest głoszona przez elitę i nadwrażliwych, ale podświadomie odczuwają ją liczniejsze miliony, niż kiedykolwiek przedtym. Książki takie, jak „The Lonely Crowd“ i inne analizy amerykańskie dowodzą, że najbardziej samotność przyjęła się na glebie najbogatszej materialnie. Jest coś w naszej wielkomiejskiej cywilizacji, co rozkłada człowieka, jako istotę zorganizowaną i samodzielną. Człowiek nowoczesny czuje się coraz bardziej samotny, chociaż coraz trudniej jest znaleźć oazy spokoju i chociaż coraz więcej jest nas na świecie. Ruchy totalne niewątpliwie

wyzyskiwały to poczucie samotności i dawały masom ciepło solidarności; to co dawała armia w pierwszej wojnie światowej. A przedtem dawała na pewno religia.

„NIEPRAKTYCZNOŚĆ“ RELIGII

Trudność realizacji każdej prawdziwej religii polega właśnie na tym, że chodzi tu o realizację miłości. I dlatego odrzucamy często religię jako rzecz, której urzeczywistnić się nie da, jako coś „niepraktycznego“. Religia, jak miłość, są istotnie „niepraktyczne“, ale próby ich realizacji podejmowane były od wieków i trwać będą zawsze. Ci, którzy powiadają, że należy zarzucić wszelkie religie, albowiem nie dały się one zrealizować i że trzeba przyjąć narzeczcie jakąś etykę świecką, która się da urzeczywistnić, zapominają, że człowiek mierzy się nie tylko jego realizacjami, ale i jego zamiarami, nie tylko jego dokonaniem, ale i marzeniami — jego dążeniami przede wszystkim. Gdy się mu odbiera jego dążenia i wielkość jego zamiarów, pomniejsza się go i skraca do żalostnego wymiaru.

WYSTARCZY JEDEN NA MILION

I tu tkwi sedno rzeczy: muszą być w naszej zbiorowości, w naszej kulturze i w życiu jednostki normy wyższe nad realizację. Muszą być pragnienia wyniesione ponad możliwości ludzi przeciętnych. Jeżeli jeden człowiek na milion zrealizuje przykazanie miłości, to udowodni jej prawdę, chociażby nawet o jego wysiłku nie nam nie było wiadomo. I na tym kończy się chyba spór tych, co chcieliby mierzyć siły na zamiary i tych, co chcieliby mierzyć zamiar według sił.

BÓG, KTÓRY ROZUMIE

Potrzebę Boga usprawiedliwia sam człowiek na liczne sposoby: a jedną z tych motywacji jest chęć, potężniejszą z wiekiem coraz to bardziej, znalezienia kogoś, kto nas właśnie zrozumie, w specjalny, a może jedynie słuszny, sposób. Zrozumie nasze motywy działania i pojmie odległość, jaka istnieje między pragnieniem a realizacją, między miłością a jej wcieleniem. Ten, kto to pojmie musi być albo Bogiem, albo mieć boskie właściwości. Człowiek przeważnie tego nie pojmuje. Dla człowieka

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW WE WŁOSZECH

pokoje gościnne dla przyjezdnych w lokalu własnym

Roma, via Licia 19, int. 9.

piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami. Dla istoty boskiej te dobre chęci, te intencje stanowią nieraz piekło natur szlachetnych.

JESIEŃ W LESIE

Jesień spaceruje po lesie i rozwiesza wielkie tarcze pajęczyn, lśniące i mocne, równo ciosane nici, pomiędzy krzakami. W pośrodku tych tarcz romboidalnych spoczywa pająk, jak tajemnicza istnienie, jak kamień filozoficzny — i czyż nie jest on poniekąd symbolem istnienia? Ten pająk, co czeka na muchy i owady, aby się wplątały w jego sić, z której już nie ma odwrotu, jak nie ma odwrotu z życia? I tak, jak pająk patrzy obojętnie na śmieszne szamotanie się owadów — tak i los patrzy bez zmrużenia powiek na nasze walki, aż ustaną i przyjdzie ostateczne wyzerpanie.

Jesień chodzi po lesie i gra śpiewem cykad w południe: gromady i całe zespoły świerszczy grają, dołączając się i dostrajają i powstaje pytanie, czy czynią to świadomie, czy wiedzą kiedy się włączyć w chórny śpiew, a kiedy go przerwać? Czy mają poczucie całości? Natężenie ich dźwięku jest ostre, czasem jakby ostrzejsze od cykad włoskich, które grały na Capri koło Bagni di Tiberio, ale wysoko nad głowami.

Jesień chodzi po lesie i śmiga przed oczami kolorowymi ptakami: są niekiedy żółto-szare, nieco jak kanarki nakrapiane wróblami lub odwrotnie, nieraz brązowe, niekiedy czerwono-pstre. Kołyszą się na filigranowych nóżkach, cienkich jak najsłabiej gałązki, patrzą z drzew i nurkują w las, który ma w sobie kolor bardzo jasnej zieleni — nieomal Eau de Nile.

Jesień chodzi lasem i woła głosami ludzi, którzy zbierają chrust i drzewo, ładują na wozy drabiniaste i idą koło wozów, wołając zdławionym głosem nietwartym jak nasz, albo włoski. Osły ciągną te ładowane drzewem wozy, a na piaskowych diunach i drogach zostają pręgi kół.

Jesień chodzi po lesie i zaszeleści czasem wiatrem, który spada z wielkiego wzgórza albo ciągnie od morza i zlewa się z szumem tego morza. Morze luzuje wiatr i wiatr luzuje morze i trzeba się dobrze wsłuchać, aby odróżnić mokry poszum morza od suchego poszumu wiatru. Te dwa głosy walczą ze sobą przyjaźnie, a gdzieś nad ranem zrywa się zawsze jedno czy drugie pchnięcie wiatru i przechodzi przez las. Rzadko kiedy można wyłowić o świcie głosy morza.

Jesień chodzi po lesie i trzaska suchymi gałęziami, pachnie na wielkich otwartych polanach jakby korzeniami i miodem, ale już zapach ten nie jest tak silny i tak zawieszony, jak w lecie.

Niebo jest dalej jeszcze ściśle obciążone, ale błękit jego jakby przepuszczony przez sito. Nie jest to już gorąca upał kopuła lata.

Jesień chodzi po lesie, jak kiedyś po lesie pod Murzasichlem, gdzie szukałem spokoju i odrodzenia po katastrofie, która nazywa się młodością. Ten las wydaje mi się przyjazny i kojący. Nie darmo mojej powieści dałem kiedyś tytuł: „Ciszy lasu“. Dom mego bohatera stał w lesie, a często śni mi się las pod Magurą Orawską, gdy zśliśmy z ojcem na Orawę. Polany pełne były kosaćców, całe w różowych kwiatach i przeniósłem tę wizję na karty mojej pierwszej powieści. Las znaczył w moim życiu tak wiele, jako miejsce schronienia i ucieczki, jako schronienie myśli i jako nauka pokory.

Jesień chodzi po lesie.

TAJEMNICA WARUNKIEM ŻYCIA

Na każdym kroku stajesz przed ostateczną tajemnicą natury:

Oto przyssany do porowatego kamienia w morzu jeź morski. Odrywasz go i widzisz jak pulsuje czarny krążek jego ciała. Igły są czarne i łamliwe, a jeź okryty jest skorupką w kształcie puklerza. Po zgonie zostaje suchy puklerz-tarcza, porzucona na piasku. Igły usychają i odpadają, a ich miejsce znaczą na skorupie drobnitkie kulki, jak miniatury perełki. Przypomina to barwę patynę czy wypukłe dachy świątyń muzułmańskich meczetów. Jest to orientalny wzór.

Nachylasz się nad czarnym krążkiem ciała jeża-samotnika i pytasz: co sprawia, że pulsuje ten krążek? I co wie ów jeź? Co czuje? Czy czuje sam, odrębnie — czy tylko jako cząstka swojego gatunku? Czy trwa w jakimś pół śnie, w którym istnienie i nie-istnienie niewiele się od siebie różni?

Pytasz i nie znajdujesz odpowiedzi. Pytanie rozpętało tylko cykl nowy pytań i tak oto jeź morski stał się zaczepieniem dla następnych niepokojących rozmyślań. Kończysz je na ścianie niewiedzy i utykasz na murze niezrozumienia.

Kładziesz jeża pod jego kamień, do którego przyśles się zaraz, na pewno z zadowoleniem odnajdując znane sobie środowisko. Wokoło ciebie miliardy, miriady istnień tętni, bije, stacza boje, pulsuje, zjada się, czyha wzajemnie na siebie. A ty dalej nic nie wiesz, jaka siła wyniosła je na wierzch, co zapłodniło ciepłą kałużę, kałużę wody w cembrowinie u brzegu — dzieje się wokoło ciebie niezmożone, niepoliczone życie, a ty nauczyłeś się od lat nie przejmować się tą ciągle narastającą zagadką, którą odsunąłeś w kąt, bo nie widział jej rozwiązania, żadnych szans rozwiązania. Pociasz się świadomością, że

jedno jest pewne: do końca świata tajemnica ta nie będzie odkryta. To jest przypuszczalnie konieczny warunek życia i jego atrakcja, główna atrakcja — niepewność. Życie broni się tą niepewnością od poznania przez nas prawdy. Kto wie, czy gdybyśmy odkryli prawdę, gdybyśmy przeniknęli po za zasłonę, czy życie smakowałoby nam dalej? Czy nie wolelibyśmy odejść od jego stołu? We własnym interesie przyrody i jej trwania jest utrzymanie — i to ściśle — tajemnicy, która nas w końcu pożera. Kasprowicz miał w swoich „Hymnach“ przecucie filozoficznej syntezy, gdy pisał:

„On był i myśmy byli przed początkiem
Zanim się stało to co nas pożera“.

To co nas pożera — to życie. Życie wynosi nas z niebytu i pożera nas, karmiąc się nami i naszą zagadką.

Zbigniew Grabowski

*) Wyjątki z nowego zbioru prozy Zbigniewa Grabowskiego pt. ROSA MYSTICA, który to tom pojawi się jesienią br., nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie. Kilka rozczepczy z tego zbioru drukowały londyńskie „Wiadomości“: opowiadanie „Piotr“, szkice „Francoise“ i „Zagraj“ oraz trzy eseje, nagrodzone na trzech konkursach „Wiadomości“ na esej (w tym także i esej tytułowy). „Kartki z notatnika“ i kilka innych szkiców z tomu ROSA MYSTICA pojawiły się na łamach „Kontynentów“.

Czesław Halski: PADEREWSKI — Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego Europejczyka. Stron 100, ilustracji 8. Cena 10/6. Wydano staraniem S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do nabycia w Księgarni S. P. K. (20, Queens Gate Terrace, S.W.7) i w Gryfie (171, Battersea Church Rd., S.W.11) oraz w innych polskich księgarniach.

MIEDZY LONDYNEM I WARSZAWĄ

to tytuł nowej książki

Józefa Garlińskiego

poświęconej bardzo mało znanym
fragmentom działalności Armii
Krajowej.

Książka, uzupełniona fotografiami
i szkicami jest do nabycia we
wszystkich księgarniach polskich
w cenie 18/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

MINI, MIKROMINI,

Napisał Claude

futer, dobor kolorów, krój i wykończenie. Minispódniczki uważam za ekstrawagancję, to pomysł o wątpliwej wartości estetycznej i dla wykazania mej opozycji przeciw takim pomysłom, pokazałem w tym sezonie linię prostą i czystą. Muszę jednak tu zaznaczyć, że ubóstwiałem krótkie spódniczki, ale dla bardzo młodych dziewcząt, które zre-

„charmant“, bo moda modą, ale Jacques Esterel dobrał modelki o nogach popularnej Diany. Było co oglądać... Od lat udziela mi zawsze krótkiego wywiadu, więc dopadłem go gdzieś w kącie, gdzie ukryty w cieniu obserwował z uśmiechem te reakcje na swą kolekcję mody jesiennej i zimowej. Zapytałem go, co sam o tej kolekcji sądzi? Odpowiedział:

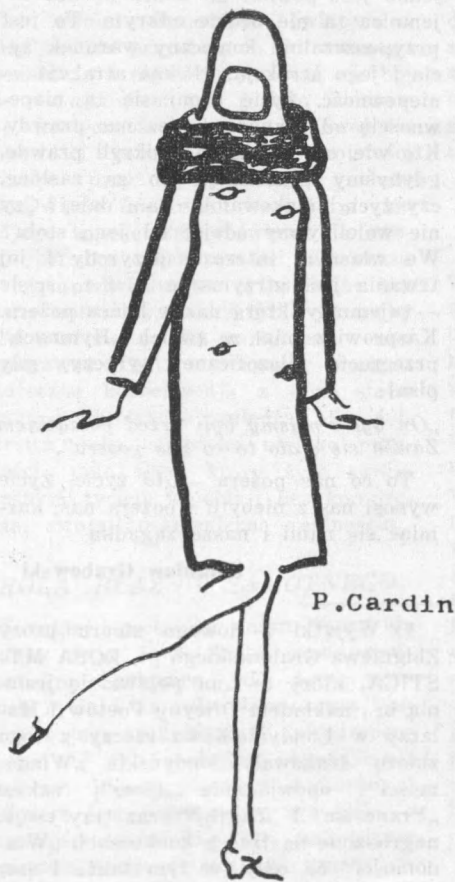
„Sądzę, że to są ludzie naturalni, którzy dziwią innych. Żyjemy w cywilizacji, w której niemal wszystko jest fałszywe, wszystko sztuczne i wystarczy być normalnym człowiekiem, by być uważanym za monstrum, czy też za osobę nadzwyczajną. Ja po prostu poszedłem za moją fantazją i instynktem. Widzę tę nadchodzącą zimę, nie jako porę roku smutną, ale wesołą, a więc nie ma powodu, by karać złą porę przez dodanie jej smutnych kolorów. Zauważyłem, że kobiety mają ładne nogi (ciekawym, kto mu uwierzy, że zauważył to dopiero od kilku lat...) nie widzę powodu, by je zamykać w więzieniu. Mówiono, że mikrospódniczki, czy minispódniczki są wulgarne, ja natomiast sądzę, że wulgarnym jest pokazywanie nieładnych nóg, gdy przekroczyło się wiek ładnych nóg, a równocześnie chce się pozbawić możliwości tych, co mają ładne nogi, pokazania ich...“

Jasne. Tych kilka zdań, chyba zupełnie wyraźnie wyjaśnia czytelnikom, dla kogo są mikrospódniczki, z których najdłuższa kończy się 25 cm. powyżej kolana! Tylko kiedy przekracza się wiek ładnych nóg? Sądząc po modelkach Esterela, to już po ukończonej dwudziestej wiosnie życia. Tylko te dwadzieścia wiosen u wielu pań trwają przez długie, długie lata...

Natomiast wielka „szóstka“ mody paryskiej, tzn. Dior, Balmain, Lanvin, Jacques Heim, (który ubiera panią de Gaulle), Nina Ricci i Jean Patou, wypowiedziała wyraźnie wojnę minispódniczkom. Wszyscy odkrywają kolano, więcej lub mniej, czasami nawet dość wysoko — ale to nie ma nic wspólnego z „mini“ czy z „mikro“. Modelista bardzo sztywnego i drogiego domu Lanvin, który ubiera bogatą śmietankę paryską, François Crahay, powiedział mi: „Dziś istnieją w modzie dwa prądy — ekstrawagancji i elegancji. Osobiście wybrałem elegancję, bo czuję ją wewnątrz siebie. Z elegancją łączy się jakoś, bo obok mody ekstrawagancji jest moda, która jest zaprzeczeniem jakości. Rozumiem przez to jakoś materiałów,

szta od stu lat tak ubierano. Poza tym jest to moda na wakacje i jestem przeciwnikiem zamiany ulic Paryża, jego restauracji i teatrów w obóz kempingowy.“

Też jasne. Poszedłem więc dalej z moją ankietą „mini czy antimini“, do Diora. Obojętne co wypisują rozmaite podmamusiące korespondentki na temat geniuszu takiego czy innego młodego kreatora, obojętne jak rozczuła je wielki „talent“ nowej gwiazdy o trudnej do określenia płci, od lat moda jest taka, jaką ustali Dior. To potęga, 3,000 pracowników i filie we wszystkich wielkich krajach zachodu. Nawet nasza „Moda Polska“ w Warszawie doskonale prowadzona przez panią Grabowską, kupuje (tyle ile może) modele u Diora.



P. Cardin

WIELKIE domy paryskie przygotowują swe rewie na nowy sezon w wielkiej tajemnicy. Łatwiej się dowiedzieć, w jakim stadium znajduje się francuska bomba atomowa, niż jaką niespodziankę kryje Christian Dior czy Pierre Cardin. Gdy generał de Gaulle wybierał się w swą ostatnią podróż dookoła świata, wszyscy dziennikarze wiedzieli, że w Pnom Penh, stolicy Kambodży, rąbnie w Amerykanów. Natomiast przed uniesieniem się jedwabnej kurtyny ostatnich kolekcji mody korespondentki kobiecych pism, nawet te o najlepszym nosie, nie miały pojęcia czy spódnica będzie krótka, czy długa, czy mini-kiecka się przyjmie, czy nie. To było istotne pytanie i gdy w pierwszym dniu niepoprawny Jacques Esterel, który zawsze rozpoczyna rewie, pokazał nie tylko minikiecki, ale nawet „mikrokiecki“, które kończyły się kilka centymetrów poniżej siedzenia, zamieszanie było kompletne. Po jego pierwszym pokazie w salonie zrobił się chyba większy rejwach, niż w Dżibuti, gdy de Gaulle chciał ścisnąć ręce tubylców, a ci zaczęli wrzeszczeć o niepodległości. Starym dziennikarkom kapelusze powykręcały się na głowach, tak sobie skakały do oczu. Jedne (o kościstych kolanach) krzyczały, że to skandal, a inne (o trochę mniej kościstych), że to „charmant“. Oczywiście ja byłem w obozie



J. Esterel

SUPERMINI, ANTYMINI,

Rysowała Claudinette

Tutaj spódnica nie ruszyła się, odkrywa kolano jak w ubiegłym sezonie, ale ani centymetra wyżej. Natomiast pokazał on płaszcz sięgający aż do połowy łydki — tak długi. Wywołało to poruszenie. Czyżby to stanowiło zapowiedź, że na horyzoncie czai się nowy „new look“ i w następnym sezonie wszystko się wydłuży? Pobiegłem do kreatora tego domu, Marca Bohana. Pytam go, czy ten długi, kawalerski płaszcz to pierwsza jaskółka nowej linii? „Nie nie sądzę — odpowiada — to po prostu zabawna nowość tego sezonu. To pewna fantazja, ale nie zapowiedź wydłużonej linii. Spódnica jest w dalszym ciągu krótka, ale nie przypuszczam, by ją można dalej skracać. Ta tendencja skończyła się. Moim zdaniem dziś w modzie szuka się długości nieregularnych, zabawnych, ale ani wydłużania wszystkiego, ani skracania“. Pytam, co sądzi o minispódniczkach?

—Uważam, że są urocze, ale dla bardzo młodych dziewcząt (jak by się umówił z François Crahay) i pod warunkiem, że to im odpowiada, bo tu



J. Esterel (Nogawice spodni można odpiąć i przypiąć jako rękawy).

trzeba mieć bardzo ładne nogi. To nie dla wszystkich kobiet i zresztą to nie jest wielka moda, to raczej toaleta sportowa“.

Balmain i Jacques Heim pokazali trochę modeli bardzo krótkich, ale wyraźnie zaznaczając, że to dla młodych pań. Zresztą Jacques Heim ma specjalny, oddzielny dom, który nazywa się „Jeunes filles“. Pierre Cardin, który należy do wielkich domów, ale chodzi własnymi drogami, jest chyba najbardziej twórczy i oryginalny. Jego kolekcja, jak ktoś opisał, jest mieszaniną kosmonautki, intelektualistki przyszłości i podróżniczki dookoła świata. Wiele toalet jest tylko po to, by je pokazać, by zdumiewać widzów. Pierre Cardin doskonale zdaje sobie sprawę, że pewnych modeli nie kupi u niego nawet najodważniejsza awangardzistka, modę tworzy dla zabawy, dla pokazania. Niektóre są zresztą śliczne, jako kreacja. Ale atrakcyjną nowością jego kolekcji, to równoczesny pokaz mody męskiej. Modelki wychodziły w towarzystwie modeli, parami. „To niedopuszczalne — powiedział Cardin — by moda męska szła po innej linii, niż kobieca“. Trzeba tu od razu zaznaczyć, że Pierre Cardin ma również dom mody męskiej i to od dawna i dom ten cieszy się wielkim powodzeniem. Niektórzy twierdzą, że finansowo przynosi mu więcej, niż dom mody kobiecej. Kolekcji tej przyglądał się b. wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon, z małżonką i dwiema córkami.

Obok klasycznych rewii mody były i mniej klasyczne. Do tych ostatnich należy Ruben Torres, przy którym Pierre Cardin, Jacques Esterel czy Courrèges wyglądają na konserwatystów z epoki naszych dziadków, konnych dylizansów i naftowych lamp, jak powiedział przy innej okazji „wiecie kto“. Ruben Torres jest młodym Amerykaninem z Teksasu, który od kilku lat stara się być w Paryżu modelistą, ale mu jakoś nie wychodzi. Wobec tego zbuntował się, rzucił anatęmę na całą obecną modę, postanowił otworzyć własny dom i pokazać rzeczywiście nowoczesną modę — taką, jaka będzie w roku 1980. Nie ma jeszcze własnego salonu, wobec tego pierwszą kolekcję pokazał w luksusowym hotelu Hiltona, otwartym przed kilku miesiącami.

W pięknej sali, gdzie miał się odbyć pokaz, goście zastali trzy nowiućienkie samochody (oryginalnej wielkości, prawdziwe, a nie pomniejszone modele):



(Płaszcz „kawalerski“)



sportowy Jaguar, Caravelle Renault i DS-21 Pallas Citroën'a. Zebrało się ponad sto osób, Ruben Torres podszedł do mikrofonu i zupełnie płynnie po francusku wyjaśnił swą koncepcję mody:

— „Zobaczycie dziś państwo mężczyznę i kobietę, od bielizny do ubrania wieczorowego. To mała kolekcja, ale starałem się pokazać wszystko, od kapelusza do obuwia, wszystko, co można na siebie włożyć. Niestety nie jestem zadowolony z ubrania, w jakim mnie widzicie (miał na sobie normalny, popołudniowy garnitur)). To nie jest ubranie mego ojca, ani mego dziadka, ale przeznaczone dla mego pradziadka. Ja go nie chcę, w tym garniturze ogarnia mnie wstyd przed tym nowoczesnym Jaguarem! (Dowiedzieliśmy się więc, po co ustawił tu te trzy samochody). Jestem może dobrze ubrany do konnej jazdy, ale moje życie symbolizują te samochody, ten nowoczesny hotel — ten postępek obecnej epoki. Duszę się w tym krawacie na szyi! (Tu zdjął go i rzucił o ziemię). Poprawnie ubrany mężczyzna w Londynie ma 21 kieszeni, z których połowa od 550 lat jest pusta. (Chciałem protestować, bo moje kieszenie są zawsze pełne i sądzę, że mam ich za mało). Wiem, że bez krawata nie wpuszczą mnie ani do Maxima, ani do Opery. Ale kpię sobie z tych staromodnych przybytków...“

Rozpoczął się pokaz, od bielizny przyszłości. Wbiegła młoda, zgrabna jak laleczka modelka i zrobiła się cisza. Wydawało się, że ma na sobie tylko małe slipy — bez góry, jak monokini. Przy bliższym badaniu okazało się jednak, że góra jest, z cieniutkiego, zupełnie przezroczystego trykotu — do tego bez biustonosza. Tu nie tylko nogi trzeba mieć zgrabne, ale i... górę, bo widać wszystko — jak w strip-teasie. Dwóch chłopaków pokazało podobną bieliznę męską, też bardzo obcisłą i ciekawą! Ciekawe, że modele męskie w czasie takich pokazów mają strasznie głupawe miny i nie bardzo wiedzą, co ze sobą zrobić. Później toaletyienne, obcisłe jak długie kalessony, spodnie, dla obu płci. Męskie kurtki bez guzików,

bez kieszeni i bez kołnierzy. Zamiast trzewików boty i buty, do pół łydki, lub pod kolano, miękkie, podobne do lotniczych. Kapelusze? Jeden model — plastyczny, ochronny kask, bo życie w nowoczesnym mieście jest niebezpieczne. Jest to kapelusz funkcjonalny. Kilka kobiecych toalet wyścigowych, to rodzaj pełnego kostiumu kąpielowego, tak przedłużonego, że tworzy on z razem pończochy z podszewkami — a więc i obuwie. Czyli, by zmienić pantofelki trzeba wszystko zdjąć, od góry do dołu, bo to jedna sztuka. Na wieczór kilka

kostiumików z minispódniczkami, a pod żakietem znowu ten obcisły, cieniutki, ale podobno bardzo ciepły (bo to materiały przyszłości), prawie przezroczysty trykocik. Znowu wszystko widać, ale pozory zachowane.

Po pokazie najciekawsza część seansu, bo bardzo obficie zaopatrzone w dobrego szampa i whisky bufet. Przy najmniej to było klasyczne i nie w formie jakichś ekstraktów typu 1980 roku. (Poza tym najbardziej podobał się mi Jaguar).

Jan Claude

KWIATEK Z MOCZAROWEJ ŁĄKI

W związku z niedawno zakończonym procesem Tadeusza Lipskiego w Szczecinie, oskarżonego „o przemyt literatury emigracyjnej i nielegalny handel dewizami“ ukazał się w czasopiśmie „Prawo i Życie“ artykuł Filipa Grabosia pt. „Przemyt i Dywersja“. Autor znany ze swych powiązań z UB oskarża działaczy niepodległościowych w Szwecji a w szczególności Koła Lwowian, o szpiegostwo, sabotaż, skrytobójstwo za pieniądze... rewizjonistów niemieckich. Graboś dzieli w swoisty sposób wszystkich Polaków na Zachodzie na różne kategorie, przydzielając każdej właściwą jej (zdaniem Grabosia) rolę. Oto próbka:

„W procesie szczecińskim nie padły nazwiska bardziej znanych polityków emigracyjnych, jako bezpośrednio zaangażowanych w życie sztokholmskiej grupy. Przeciwnie, w okresie, którego dotyczy proces, ambasada polska w Sztokholmie gościła czołowych polityków emigracji i prowadziła z nimi rzeczowe dialogi w duchu rzetelnej oceny rozwoju i postępu kraju i jego współczesnych problemów. W tym samym jednak czasie grupa, której nie można określić inaczej jak męty emigracyjne, tym bardziej nasilała do maksymalnych granic swoją handlowo-szpiegowską i dywersyjną działalność“.

A więc „góra emigracyjna“ pakuje z komunistami, działacze niepodległoś-

ciowi zaprzędają się Niemcom, a „masy Polonijne“ przez nich terroryzowane modlą się do p. Gomulki... Może niezadługo dowiem się, że nauczyciele polskich szkół sobotnich znajdują się na usługach Chin komunistycznych i wpajają polskim dzieciom genialne myśli Mao Tse-tunga? (b.)

Odnowienie prenumeraty na czas to najlepsza pomoc dla pisma!

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID

FRANCJA

66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 57, Bruxelles 3, k-to pocz. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bienkowski, #627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy.

Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



GRYF — Księgarnia S. P. K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. i P. C. A.
PUBLICATIONS LTD.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.
Tel.: KNI 3500

Nasze nowości wydawnicze

Kazimierz Sosnkowski

MATERIAŁY HISTORYCZNE

720 stron druku w oprawie płóciennej

Cena: £ 3.3.0; \$ 9.00; F 45.00

J. A. Narbut-Łuczyński

U KRESU WĘDRÓWKI

464 stron druku, 20 stron ilustracji oraz szkice w tekście

Cena: £ 2.12.6; \$ 7.00; F 38.00

Posiadamy na składzie książki
wszystkich wydawców emigracyj-
nych, a z własnych wydawnictw
polecamy:

ZBRODZIA KATYŃSKA. \$ 5.00, 35/-.
J. Otwinowska — ICH MŁODE LATA.
\$ 1.50, 9/-.

M. Sokolnicki — ROK CZTERNASTY.
\$ 5.00, 35/-.

W. Anders — BEZ OSTATNIEGO
ROZDZIAŁU. \$ 5.00, 35/-.

L. i A. Ciołkoszowie — ZARYS DZIE-
JÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO.
Tom I. \$ 9.00, 63/-.

K. Klochowicz — CZTERY NIEDO-
TRZYMANE PAKTY. \$ 3.00, 21/-.

J. Lubodowski — KOMUSZE, W STA-
NICY. DROGA POWROTNA. Try-
logia. \$ 7.00, 51/-.

J. Męcarska — WĘDRÓWKA PO
ZIEMIACH WSCHODNICH R.P.
\$ 2.50, 16/6.

Z. Nowakowski — WIECZORY POD
DĘBEM. \$ 6.00, 42/-.

A. Piłsudska — WSPOMNIENIA.
\$ 5.00, 35/-.

J. Piłsudski — O POWSTANIU 1863.
\$ 5.00, 35/-.

M. Sokolnicki — DZIENNIK ANKAR-
SKI. \$ 7.00, 52/6.

M. Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY.
\$ 5.00, 35/-.

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 73 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 60/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/9
 $\frac{1}{2}$ but. — 30/6, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 16/0, Setka — 8/10, Min. — 4/9

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label)

$\frac{3}{4}$ ltr. — 50/9
 $\frac{1}{2}$ but. — 25/11; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 13/4

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 43/0

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 50/9; $\frac{1}{2}$ but. — 25/11

WÓDKA SOPLICA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/6

WIŚNIÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/6; $\frac{1}{2}$ but. — 30/0

Setka — 9/0; Min. — 4/9

JARZEBIAK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/6; Min. — 4/9

ZUBRÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/6; Min. — 4/9

ŚLIWOWICA 69 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 57/9; $\frac{1}{2}$ but. — 29/3
WISNIAK 42 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 45/0; $\frac{1}{2}$ but. — 23/3
KRUPNIK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 41/0; Min. — 5/3
STARKA 87 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 51/3; Min. — 5/6
SPIRYTUS 100 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 39/6
SPIRYTUS 140 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 53/6; Min. — 7/10
GOLDWASSER 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 40/0; Min. — 4/9
CASSIS 61 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 35/3; Min. — 4/6
WINA OWOCOWE butelka — 11/3

MIODY :

WAWEL — $1\frac{1}{2}$ litra — 38/6; $\frac{3}{4}$ litra — 18/6; Setka — 3/4

STAROPOLSKI — Gąsiorek $\frac{3}{4}$ litra — 18/6

NADWIŚLAŃSKI w kolorowych kamionkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 24/6, Min. — 4/9

BABUNIA w specjalnych butelkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 29/0

PIWO TATRA - ŻYWIEC i Porter

Do nabycia po powyższych zalecanych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek

Wyl. Importer

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, LONDON, W. 1.

Tel. GER 3367

JUŻ W POCZĄTKACH LISTOPADA UKAŻE SIĘ
Kalendarzyk Kombatanta na rok 1967

Zawiera m.in. bogaty dział adresowy organizacji, instytucyj, urzędów oraz firm handlowych we wszystkich krajach polskiego osiedlenia.

„KALENDARZYK KOMBATANTA” — ma od dawna ustaloną renomę i jest nieodzownie potrzebny każdemu Polakowi na emigracji.

Zamówienia prosimy kierować do:

**KSIĘGARNIA S.P.K. — 20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.**

CENA 1 EGZEMPLARZA WRAZ Z PORTEM 6 SZYLINGÓW

**DOM POLSKI
W WIEDNIU**

**Klub — Czytelnia —
Restauracja**

Przyjemna atmosfera
Dobre miejsce spotkań

**SCHELLEINGASSE 2
WIEN IV.**

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego

A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)

Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)

Persantin 75 dragées (NIEMCY)

Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)

Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)

Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data Poznań 2.1.1966

Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

*P.S. Doradzam załatwić
przez TAZAB w Londynie, bo
wykona natychmiast!*

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE - 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

**273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5**

Tel. FRE 1186

**MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683**

**BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526**